

Krystyna Januszewska
PRZYTULĄĆ KAMIENIE
Zysk i S-ka Wydawnictwo
Copyright © 2002 by Krystyna Januszewska
Projekt okładki Magdalena Broniszewska
Redaktor Jan Grzegorzczak
Wydanie I
ISBN 83-7298-215-5
Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, tel./fax (0-61) 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

•-

I

Pokój szpitalny, gdzie czystość objawiała się bielą ścian, pościeli, zasłonek, podkreślona bielą śniegu widocznego przez okno, stał jeszcze pusty. Czyste i zimne wnętrza, bez duszy, choć z duszami mające tak wiele wspólnego, bo niejedna z nich przeniknęła te ściany, ulatując w inny wymiar. Wnętrze, które daje i odbiera nadzieję. Gładkie, wylizane ściany, pozbawione szczelin i zadrapań, bez jednej, najmniejszej skazy, wprawiały w rozpacz oczy poszukujące jakiejś odmiany, punktu zaczepienia, na który można by spojrzeć w momencie tęsknoty za nieznanym.

Już szykują lokatora, czeka pod drzwiami w pokrowcu z pościeli. Kim będzie, jakie wniesie ze sobą tajemnice? Już ściany pokoju drżą lekko z wrażenia na myśl o ciepłych 36,6°C, o cudzych myślach szepczących jak duszki po kątach, dręczących jak zgryźliwe strzygi. Czy przyzwyczajają się do siebie: on, zimny i biały, ono, słabe i wymyte. Jak im będzie ze sobą. Ten pokój jest taki przerażająco biały. Gdyby nie ciemne kontury przedmiotów, niczego nie dałoby się w nim odróżnić.

Wielka, rozbudowana pustka, w której trudno doszukać się oznak życia, jeśli nie liczyć tego, czego gołym okiem zobaczyć się nie da. Jak ten chudy pajak ukrywający się w prawym rogu pokoju, za stolikiem. W szparce nad podłogą drzemie głodny i nerwowy, że tak ciężko mu żyć na tym świecie. Czeką, by znów poruszyło się powietrze i przyniosło w swym oddechu trochę włochatego jedzonka na sześciu nóżkach, teraz skrytego w niedostępnym materacu, w źle wypranym kocu zamkniętym w białej poszewce, jedzonka wnoszonego na butach. Jego wychudzone ciało tęskni za wyżerką, a długie patyki odnóży sterczą na tle jasnej ściany. Ukrywa się tu od jesieni i nie pozwoli wykurzyć

5

byłe komu. Przetrzył aldehydowe opary i chromiankowe kąpiele, znieśli z honorem zimowe wietrze. Z kąta, w którym mieszka, jest piękny widok na czystą podłogę z wydeptaną ścieżką od łóżka do drzwi, a zarysowania od metalowych nóg stojaka wskazują kierunek, z którego może nadejść pierwszy posiłek. Gruba bura nitka po szmacie z ostatniego mycia podłogi została już przez niego dokładnie oblizana i wyssana z odżywczych soków, a mały pęczek kurzu, który nie zauważony przyczepił się do zadry przy nodze od krzesła, jest obrany do czysta jak kość wrzucona w mrowisko. On, Pan pajak, epikurejczyk z przekonania, skazany na zmianę filozofii przez przypadek, który miał pokierować odnóża w stronę puszystej zasłony na ciepłym poddaszu, przeznaczył mu los pustelnika, nie pozostawiając swobody wyboru. Mimo nędzy ciała nie poddał się przemocy i dyktatowi otoczenia, pozostawiając sobie spory margines niezależności w postaci ocalałej w szufladzie stolika sporej grudki wyschniętego sera, do której schodziły się jak ćmy do ognia przeróżne stworzenia i co jakiś czas ratowały pajaka od śmierci głodowej. Lecz prawdziwy ratunek mógł przyjść tylko z zewnątrz, i przyszedł w samą porę. Zgrzyt otwieranych drzwi przerwał monotonię wydarzeń, rysując podłogę wystającym z framugi ostrzem gwoźdźca tak, że drażona w podłodze bruzda przybrała kształt półokręgu. Gwar wielu głosów wdarł się w ciszę niezrozumiałym bełkotem. Słychać było grubą wionolonzelę, niskie basy, skrzypce. Bogactwo tonów i melodii od podnieconych wysokich do niskich spokojnych, leniwych. Za dźwiękiem pojawił się ruch. Zaburzył biel wnętrza, wprowadzając do niego kilka niepokojąco kolorowych elementów. Rozsypały się w promieniach wpadającego do pokoju słońca, jaśniały świetliście, fioletowo, niebiesko i nawet szarość wydawała się w nich purpura.

Fruwały po pokoju jak motyle wśród białych sprzętów, wznosząc wokół siebie drobiny kurzu, widoczne w smugach światła.

To najważniejsze nastąpiło już po chwili. Na czarnej ceracie wózka, ułożona jak struna na gryfie, wjechała nowa lokatorka pokoju 19 prywatnej kliniki doktora Szyca w Ostam. Dwóch

6

potężnych mężczyzn podniosło jej ciało, jakby unosili w ramionach powietrze. Aż ze zdziwienia nad jej lekkością jak na komendę wystrzeliły w górę ich łuki brwiowe, a zaskoczone źrenice spotkały się w porozumiewawczym spojrzeniu. Dwie ułożone wzdłuż ciała blade ręce zwały się z otoczeniem, a drobne zaciśnięte dłonie wciąż oznaczały życie. Głowa w koronie ciemnych włosów, ułożonych na poduszce, trwała w oczekiwaniu na zbawienne tchnienie, które jak pocałunek życia zabarwi blade policzki, uniesie powieki i zakreśli przestrzeń przytomnym wzrokiem. Gdzieś tam w środku biło miarowo serce, odmierzając powolny oddech, cichy i niewyczuwalny. Łagodny podmuch powietrza musnął kosmyk włosów i wplótł go pomiędzy rzęsy, leciutko łaskocząc.

Zamieszanie powstałe wokół tych okrucich życia odwróciło uwagę od mężczyzny stojącego w otwartych drzwiach pokoju. Przenikliwym spojrzeniem oceniał sytuację, śledził każdy ruch personelu. Ostre łuki brwiowe, wykreślone ciemną linią na szerokim czole, prosty nos, błękitne oczy, no i ta szczeka. Marzenie wszystkich kobiet. Zaciśnięta, wydatna, z prosto zakończoną brodą i wąskimi bladymi ustami. Nieodgadniona twarz, do której tak nie pasowały przekrwione spojówki i zmęczone spojrzenie zbitego psa. Trudno byłoby się doszukać bardziej zdumiewającego kontrastu. Lewą ręką przecierał policzek pokryty grubym zarostem, prawą chował w kieszeni spodni. Marynarka uniesiona w tym miejscu drżała, jak drżało całe wystające z kieszeni ramię. Jedno, czego pragnął, to zachować pozory spokoju. Patrzył na Marię z uwagą, jakby spodziewał się jakiejś zmiany.

Tymczasem jej wzrok, wciąż martwy i zimny, bez cienia uczucia przepływał przez jego ciało na wylot, nie zatrzymując się ani na moment, i nawet przez ułamek sekundy nie zawahał się na jego widok. Nigdy czekanie tak mu się nie dłużyło. Godziny przestane, przesiedziane przy łóżku, te małe łyżeczki jedzenia, które wciskał jej siłą przez zaciśnięte szczęki, prześladowały go, były jego czyścem na ziemi. Nie radził sobie ze strachem, tracił grunt, szarpał się z własnym sumieniem, miotał bezradnie. Aż w końcu postanowił przywieźć ją tutaj i ratować za wszelką cenę. Nic więcej nie mógł zrobić. Czuł się rozdarty, męczyły go złe

7

wątpliwości. Poddał się woli czasu. Czekanie na cud wypełniło każdy kolejny dzień, powracało w myślach, nie dawało szans na wymarzony spokój. W głowie miał kłębowisko myśli, na gwałt musiał wyzwolić się z pułapki.

Biały pokój, na progu którego stał i patrzył na ludzi zajętych jednym, niemo tłącym się życiem, był jak kartka wydarta z katechizmu i grzechem byłoby zapytać, dlaczego wszyscy oni upierają się, by zatrzymać na świecie jednego człowieka? Żałośnie wbijał wzrok w wątłe wychudzone ciało i gdyby myśli były widoczne, to między nim a nią można byłoby zobaczyć grube liny biegnące w kierunku łóżka, oplatające metalowe nogi, metalową konstrukcję, okręcające jej ciało. Byłoby widać, jak bezwstydnie wpełzają pod przykrycie, koszulę i tula się do miękkiej, ciepłej skóry, nasłuchują bicia serca. Dlaczego jeszcze tak niedawno było tyle spraw ważniejszych od niej, a teraz nie liczy się nic? Wspomnienia, strach, mechanicznie wykonywane czynności, to wszystko nabiera teraz nowego wymiaru i znaczy już całkiem coś innego. Nawet kłopoty, których nie oszczędził mu los, brak powodzenia w wielu sprawach, wypada z gry wobec tego jednego oczka w sieci losu, niespodziewanie rozdartego.

Zaszumiał cicho automat regulujący ułożenie ciała pacjentki tak, że jej twarz wynurzyła się nagle z zagłębienia w pościeli. Z miejsca, z którego na nią patrzył, wydawała się arcydziełem natury pozbawionym najmniejszej skazy. Jak grecki posąg ze skórą nie nasyconą żadnym kolorem, zapadała w wieczny sen, w świat pełen zjaw, wolna, odciążona od złudzeń, od niego, od swojego bólu, gdzieś do punktu wyjścia, w przeszłość, w przyszłość, w utratę ostateczną. Zostawiała go samego, z tą wyniszczającą tęsknotą, pogrążonego w wyrzutach sumienia, obciążonego winą, a jednocześnie bezbronny i zagubiony w labiryncie własnych słabości. Jego kolejna trauma, zakręt, po którym może już nie być niczego, żadnej ciągłości, nadziei – czy jej podola, czy da radę kolejny raz podnieść się z samego dna, bez niej? Co zrobić, gdy tęskne poszukiwania własnej tożsamości prowadzą w takie

miejsca? Jak odbudować stawiany starannie zamek, jakiej hojności od losu jeszcze oczekiwać?

8

Czas wziąć się w garść, pomyślał chyba setny raz. Ana] ;ro_ wanie wciąż na nowo niczego już nie zmieni – zabrzmia}0 ostatecznie. Poniekąd poczuł się zdradzony i oszukany. Spra. wiedliwe świadectwo nie istniało. Grzech był, była wina, należało się odkupienie. Pełen sprzeczności i zwątpień dryfował p0 bezkresnych przestrzeniach i bał się zajrzeć we własną duszę__

jak on, rozdarty nieustającymi konfliktami z sumieniem, potrafi znaleźć sposób na właściwe widzenie tego, co się stało z jego życiem.

Oczy zmęczone podróżą zwęził w wąskie szparki. Patrzył na swoją Marię i wydawała mu się święta, choć nigdy przedtem tak o niej nie myślał. Ten obraz przysłonił wspomnienie, jaka była przedtem, przed dwoma miesiącami, zanim to się stało. Teraz dostrzegał ją w bieli, a wokół niej dziwne światło, jakby rzucone z niewidzialnej lampy. W mrokach zwątpień kryły się obawy, czy to aby nie jest zły znak. Pragnął jak nigdy, by świat rzeczy drobnych i małych przestał istnieć, a wszystkie siły natury skupiły się na ratowaniu samego sedna sprawy. Uciekał przed ogarniającą go gorączką w głąb i szukał tam spokojnego zapiecka, by móc orzeźwić się odrobiną nadziei. Coś pchało go do nieruchomego ciała Marii, bo właśnie stamtąd dopływały echa żywego uczucia, choć ta, o której właśnie myślał, wydawała się zimna i pusta jak wydrażony owoc. Bóg tylko jeden wiedział, jaka teraz była naprawdę. Szedł zwężając się ścieżką, widząc przed sobą tylko ciemną ścianę.

*

Wąska serpentyna drogi wiła się zdradziecko ku dolinie. Mgliste powietrze ograniczało widoczność, a mimo to zarysy hotelu widać było z daleka. Spowity w nadciągający zmrok, majaczył na skraju drogi – hotel widmo, jedyny budynek w okolicy, zatopiony pośród szczytów Alp. Jerzy zjechał z trasy na boczną drogę. Niski płotek, oklejony białym szronem, wytyczał kierunek jazdy, a drzewa pochylone pod ciężarem białego puchu jak czarne ptaki rozciągały nad nim drapieżne skrzydła. W perspektywie dostrzegł zarysy murów i światło. Uległ złudzeniu. To,

9

co wydawało się blisko, na wyciągnięcie ręki, jak niedościgniony cel oddalało się z każdą minutą. Mrok gęstniał, pochłaniał białą dolinę i skracał pole widzenia. Śnieżne opilki błyszcząły w światłach reflektorów, kaleczyły oczy. Jerzy miał dość, był wycieńczony fizycznie i psychicznie. Wiózł ze sobą natrętny zapach szpitala, a uczucie dyskomfortu nie odstępowało go ani na krok. Tego nie lubił. Czuł się oblepiony potem, zmięty, słowem nieświeży. Przejechał kawał drogi, pragnął odpoczynku, chwili wytchnienia. Musiał spokojnie pozbierać myśli i zaplanować kolejny dzień.

Brama wjazdowa pojawiła się niespodziewanie. Jerzy ostro zahamował i cudem zmieścił się pomiędzy barierkami. Patrzył na dyskretny neon oświetlający wejście do budynku. Nareszcie! Uczucie ulgi rozluźniło napięte mięśnie. Poczuł się bezpiecznie. Przymknął oczy i potarł ręką czoło. Cóż za droga, odsapnął. Wciąż czuł w kolanach karkołomną jazdę po oblodzonych górskich drogach. To nic dziwnego dla kogoś nieobytego z tutejszymi warunkami. Czy zdoła opanować tę umiejętność i pokona strach? Jerzy z obawą myślał o jutrzejszym dniu i wszystkich następnych. Ale o to będzie się martwił jutro. Tymczasem miał przed sobą wolny wieczór i okazję, by wypocząć po męczącej podróży. Źle znosił długie trasy, reagował bólami mięśni i ogólnym rozbiciem. Z przyjemnością odpocznie, zaszyje się na kilka godzin w samotności.

Zjazd do hotelowego garażu trwał kilka minut i już po chwili Jerzy wbiegał po schodach na trzecie piętro, omijając z daleka windę. Wolał iść piechotą. Chciał rozruszać kości i spięte mięśnie. Te ostatnie dni przed wyjazdem srogo rozprawiły się z jego nerwami. Miał nadzieję, że wyjazd dobrze mu zrobi, oderwie nieco od kłopotów. Mylił się jednak. Resztki spokoju, które w sobie zachował, rozpięchły się bezpowrotnie i pozostawiły go odkrytego na ciosy. A przecież powinien zachować zimną krew i pamiętać o tym, po co tu przyjechał? Ten wysiłek musi się opłacić. Ktoś, kto mu polecił tę klinikę, zapewniał, że w Ostam (tak nazywała się miejscowość) jak nigdzie zajmą się przypadkiem Marii i pomogą wyprowadzić ją z głębokiej depresji. Wierzył w to, a jednak myślał, że wkrótce odjedzie i nie będzie mógł

10

jej obserwować, pilnować, budziła w nim szczerą niepokój. Każdego dnia niecierpliwie czekał na nowe wiadomości. Kolejny ranek witał przekonany o odwracalności procesu, któremu ulegała, jednocześnie bojąc się, co potem nastąpi. Gdyby mógł tu pozostać, znaleźć w sobie tyle siły, czasu, czułby się pewniej. Mógłby kontrolować postępy leczenia, obserwować zmiany, oceniać. A tak? Bał się myśli, że za jakiś czas wyjedzie i straci ją z oczu, pozostawi na łasce obcych i pozostanie mu jedynie telefon i skromne informacje podawane w pośpiechu przez lekarza. Był nieufny.

W hotelowym holu hałasowały elektryczne froterki. Pośrodku stał wózek wypełniony wiadrami i środkami czystości. Kręciła się przy nim młoda śniada dziewczyna. Ciemne włosy wymykały się i zawijały wokół szyi. Maria też miała takie włosy. Bardzo ciemne i zawsze poskręcane. Trudno było je utrzymać w ładzie. Gdy je rozpuszczała, wystawały poza linię szerokich ramion. Nie była szczupłą. Miała mocną budowę ciała, choć nie przesadnie. Lubił kobiety postawne. Unikał wiotkich roślin – budziły w nim strach. Podobały mu się masywne klacze, bo na nich można było wesprzeć się w razie potrzeby, przytulić bez obawy, że zapiszczy z bólu. Taka była Maria, kiedyś. Teraz choroba zabrała jej wszystkie atuty i jak na ironię losu zamieniła w kryształową figurkę.

Pokój, w którym zamieszkał, pachniał czystością. Jerzy wniósł swoje bagaże, położył je na łóżku i rozejrzał się ciekawie. Standardowe meble, nieco podniszczone, telewizor, radio, szerokie łóżko z satynową pościelą. Zawiało chłodem. Otrząsnął się odruchowo. Musi wypić coś mocniejszego – poszukał wzrokiem lodówki. Chciał się trochę rozluźnić, spokojnie zebrać myśli i pozbyć się uciążliwego napięcia, które ciągle czuł pod łopatkami i na karku. Pod zamrażalnikiem znalazł kilka piw, jakieś soki, napoje i butelkę wódki. Poczul głód – będzie potem musiał zamówić coś do jedzenia. Przemierzał pokój w tę i z powrotem. Podłoga cicho trzeszczała, kończąc każdy jego krok tępym klapnięciem. Wyglądało na to, że parkiet, ukryty pod miękką wykładziną, wymagał już remontu, a więc hotel nie należał do najnowszych. Po nogach ciągnął strumień zimnego powietrza. Lekko

11

uniesiona firanka bezbłędnie wskazywała winowajcę – to dlatego było tak chłodno. Wystarczyło zamknąć uchylone drzwi tarasu, by odgradzić się od ostrego powiewu. Jerzy pomyślał, że trudno tu znaleźć przytulne miejsce. Jedynym wyjściem była gorąca kąpiel. Tylko ona mogła przynieść ulgę i upragnione ukojenie. Zrobił mocnego drinka i zajrzał do łazienki. Tak, to było to, z kaloryfera buchało ciepłem. Rozebrał się z koszuli i bielizny, jeszcze nieskazitelnej, choć według niego już nieświeżej, i wszedł do wanny.

Do czystości i wyglądu przykładał wielką wagę. Często powtarzał, że nawet najlepszy specyfik, gdy umieścimy go w brzydkim opakowaniu i nie zadbamy o jego prezencję, mimo wartości, jakie posiada, nie odniesie pożądanego skutku. Bo czasami więcej niż to, co jest w środku, znaczą linia słoiczka, rodzaj szkła, kolor zakrętki i nawet dźwięk, jaki słyszymy, odstawiając go na półkę. Mówi się „kształt zapachu” – flakon w kształcie wazonu, zapalniczki, kobiety, kwiatu – nadaje zapachowi indywidualny charakter. Często zamknięta w buteleczce woń ma mniejsze znaczenie niż jej oprawa wykonana z kryształu czy innych drogocennych kruszców. Jerzy znał się na rzeczy. Nauczył się tego również w swoim zawodzie, choć przecież nie był perfumiarzem. Umiejętność podawania potraw, tak by oczarować, była nie mniej ważna. Ubranie półmisków w kunsztowne ozdoby z owoców i warzyw, w wyszukane girlandy z cukru i syropów czasami znaczyło więcej niż smak głównego dania. Nikt nie zauważał w artystycznie podanym posiłku mankamentów konkretności. Nawet zwykły ziemniak, przewiązany kokardką z pora i przyozdobiony odrobiną kawioru, kleksem śmietany i płatkami nagietka, wyglądał jak największy przysmak. Albo jajko po benedyktyńsku, ugotowane w kwaśnej wodzie i polane holenderskim sosem, z drobinami świeżych seledynowych pistacji i z czerwonym pieprzem – to raj dla oczu. Jerzy przestrzegał tych zasad każdego dnia i stosował je do wszystkiego. Dlatego dwa razy ubrana koszula nabierała dla niego znamion nieestetycznego łaucha i nadawała się do wymiany. Tak samo ciało, musiało być nieskazitelnie czyste i pachnące. Po nie przespanej nocy, męczącej podróży

12

i ciężkim dniu nie ma nic lepszego, jak kąpiel, czysta koszula i sen. Miłość do komfortu ujawniła się u niego nie tak dawno. Odkrył ją pewnego dnia, gdy znalazł się w gronie osób wybranych z pisemnych ofert do pracy w najbardziej

renomowanej w mieście restauracji. Wcześniej nosił przydługawe swetry, workowate kurtki i wydawał się sobie bardzo seksowny. Gdy w takim stroju pojawił się w eleganckich wnętrzach, poczuł się nieswojo. Otoczyli go tam nieskazitelnie odziani mężczyźni, gładko wyczesani i owiani zapachami drogich kosmetyków. Większość z nich dostała pracę, on nie, choć miał najlepsze świadectwa i praktykę. Zapamiętał to, a ponieważ był pojętnym uczniem, więc wykorzystał nowe doświadczenie w praktyce. Dziś już nawet nie lubi oglądać starych zdjęć, na których nie prezentuje się dość godnie. Zaciera pamięć o sobie z tamtych czasów. Ostatnio do elegancji dołączyła jeszcze nonszalancja, pomagająca ukryć braki w kindersztubie. Z wielką swobodą nosi dziś na sobie markowe garnitury. Nabral pewności siebie, obyczajowego luzu, swobody, więc zaskoczyło go, że bez Marii tak szybko stracił grunt pod nogami. Czyżby ona była motorem aktywności w ich tandemie? Niejeden raz zadawał sobie to pytanie, gdy w pustym domu przełączał bezmyślnie telewizyjne programy. Mieszkanie, w którym oboje i tak byli mieszkańcami nocy, stało się bez niej martwe jak muzealna komnata. Gdyby nie kot, dodatkowy lokator, nie dałoby się w nim żyć. Było za duże i zbyt ascetyczne, jak dla samotnego faceta. Nie czuł się dobrze wśród gładkich ścian i prostych mebli.

Leżał w wannie i analizował mijający dzień. Wczoraj, po długiej, czternastogodzinnej podróży, ogarnęły go wątpliwości, czy kuracja, której miano poddać jego żonę, nie jest tylko zabawą w czary-mary lub czymś na kształt pasjansa, który miał rozstrzygnąć walkę o jej zdrowie. Nie wiedział, co zastanie na miejscu i czy aby nie wyrzuci pieniędzy na szaleńców, którzy zamiast leczyć, będą biegać wokół niej z kadzidłami i różdżkami. Wahał się i gdyby nie znajomy, który dobrze znał właściciela kliniki i zapewniał o jego skutecznych metodach leczenia, Maria nigdy nie

13

wyjechały tak daleko od domu. Ważną rzeczą w jej przypadku był czas, a więc marnowanie go na nietrafione kuracje mogło jedynie zaszkodzić.

Nie było łatwo kochać Marię. To wymagało specjalnego przygotowania. Ona nigdy nie otwierała się do końca. Wielkością jej ducha można by zmierzyć cały świat, ale drzwi, za którymi żyła, otwierało się tylko za pomocą specjalnego klucza i szyfru. On znał ten szyfr i dawno wszedł w posiadanie klucza. Dorabiał go przez wiele lat, zanim zasłużył na wejście do środka. Za drzwiami do jej skrytej duszy prowadził kręty szyb wentylacyjny, którym wydobywały się natchnione westchnienia, był długi korytarz, wijący się jak koryto rzeki i obwieszony obrazami jej przemyśleń. Były też komnaty zwątpień i całe skrzynie niespełnionych planów, na które wciąż jej brakowało czasu. Trudno było się połapać w krętych korytarzach oczekiwań i pomóc odnaleźć w ciemnych zakamarkach strychu, na którym ukryła marzenia i iluzje. Tej sfery życia nie chciała odsłonić nawet przed nim. Wędrowała w niej, zasłuchana w siebie, i jak to on określał: nabijała sobie głowę głupstwami, cierpiąc za cały świat i próbując go uzdrowić siłą perswazji. Często o tym rozmawiali. Gdy widział, jak snuje się po domu, nie mogąc znaleźć wygodnego miejsca, chowa twarz w dłoniach i myśli, wtedy wyciągał ją na spacer albo na zakupy. Zakupy zawsze wprawiały Marię w dobry nastrój. Była w tym podobna do innych kobiet. Mały drobiazg potrafił zdziałać cuda. Taka magia przedmiotów niepotrzebnych, kupionych dla kaprysu, działała jak kieliszek mocnego wina.

Kochała wszystko, co było wytoczone lub wykute z kamienia. Twardość kamiennej bryły, gładkość wypolerowanej skały była dla niej tą najczystsza formą. W ich mieszkaniu wszystkie drobiazgi stanowiące dodatek do surowego wystroju były zrobione z kamienia. Kamienne misy, wazony i dzbany, wypolerowane kule z granitu, marmurowe jaja, piramidy w kolorach egipskiej pustyni, białe sześciany z wapiennych skał z południa Włoch albo alabastrowe figury ateńskich filozofów, wszystko z kamienia, aż dziw, że nie spała na kamiennym łożu. Pod ścianą, na mahoniowej komodzie, stała wyrzeźbiona w różowej skale łódź. Za nią, na

14

ścianie, wisiała oprawiona w drewnianą ramę fotografia przedstawiająca górski szczyt pokryty śniegiem.

Maria też była podobna do kamienia. Chłodna i prosta w formie, wewnątrz której drzemało serce wulkanu, poskramianego jedynie godzinami rozmyślań w poszukiwaniu prawdy. Nie było w tym nic dziwnego, gdy się wiedziało, jak spędzała większość swojego czasu i czemu poświęciła życie zawodowe. Zakopana w stosach starych książek, obcując z dziełami wielkich ludzi, przewracając strony starych

inkunabułów, obrosła mądrością wieków. Jerzego fascynowała w Marii jej tajemniczość i wrażliwość, a jednocześnie podziwiał stałość i niezłomność, jaką umacniała ich związek. Trudno mu było znaleźć drogę do jej serca, lecz gdy już stał się jego posiadaczem, zapewniła mu poczucie bezpieczeństwa i moralnego spokoju. Być może komuś wydawałaby się nudna, nawet męcząca z tym swoim podejściem do życia, lecz jemu dawała oparcie moralnymi podstawami, a on zabierał ją ze sobą w szalone krainy rozkoszy i wiecznego niepokoju.

Kiedy wychodził z hotelowej łazienki, namaszczony pachnącymi kremami, przypominał sobie o telefonie do Anny. Obiecał jej, że gdy dojedzie na miejsce, da znać. To spóźnienie na pewno nie ujdzie mu na sucho. Anna była starsza, przyrodnią siostrą Marii. Wprawdzie nie lubiły się zbyt, bo Anna nachalnie wtrącała się do ich życia, ale siostrzana miłość w chwilach ciężkich zawsze odrasta ze wzmożoną siłą. Teraz odrosła, aż nadto, i stała się dla niego uciążliwa. Jej wścibstwo i podejrzliwość przechodziła granice przyzwoitości, a nawet przemieniała się w okresową wrogość. Anna była dziwna. Zupełnie niepodobna do Marii. Z trudem znosił jej towarzystwo. Gdy czasami odwiedzała ich dom, wolał zaszyć się w ciemny kąt, niż znosić odwieczne pouczania. Maria wysłuchiwała cierpliwie wszystkich uwag, w końcu były siostrami. Jerzy wściekał się i długo wracał do równowagi po jej wizytach.

– Mówi Jerzy – odezwał się, potulnie ścisząc głos i odruchowo kuląc głowę w ramiona, jakby spodziewał się ciosu. – Przepraszam, że wczoraj nie zadzwoniłem. Byłem strasznie zmęczony, jazda trwała w nieskończoność, ale Maria zniosła ją do-

15

brze. Jechałem za nimi cały czas, tak jak chciałaś, nie spuszczałem ich z oka. – Jednak skłamał. Tak łatwo kłamać przez telefon. Nie miał odwagi wyznać, jak było naprawdę i tego, że jechał całkiem inną drogą, i tego, że wyjechał kilka godzin wcześniej niż ambulans, bo chciał mieć nieco więcej swobody w wyznaczaniu tempa podróży.

– To dobrze – odezwała się z nie ukrywaną ulgą. – Wiesz, jak to jest w dzisiejszych czasach, ten handel organami i sprzedawanie kobiet do różnych podejrzanych instytucji. – Wzięła głębszy oddech przed następnym zdaniem. – Nie mogłam przez całą noc zmrużyć oka, tak się o nią martwiłam.

Poczuł mdłości na dźwięk słodczy w jej głosie.

– Mogłaś nie czekać i zadzwonić pierwsza – odparł.

– Nie chciałam być natrętna – usprawiedliwiła się i zaraz zmieniła temat. – Chcę tylko wiedzieć, od kiedy zaczną terapię i czy już wiesz dokładnie, co jej tam będą robić?

– Dzisiaj przeprowadzają badania, chcą mieć obraz ogólnego stanu zdrowia. Jutro mam się spotkać z lekarzem, który mi wszystko wyjaśni. Teraz nie wiem jeszcze nic. – Wycierał energicznie rękami mokre włosy i próbował zakończyć rozmowę. – Muszę kończyć. – Znowu skłamał. – Ktoś puka do drzwi. Zadzwonię do ciebie jutro wieczorem.

– Będę czekała, dziękuję – słodko zaćwierkała. – Aha. – Coś sobie nagle przypominała. – Byłam u was w domu nakarmić kota i natknęłam się pod drzwiami na jakiegoś podejzranego osobnika. – Podniosła nerwowo głos. – Pytał o ciebie i chciał wiedzieć, kiedy wrócisz. Oczywiście nic mu nie powiedziałam, udawałam, że nic nie wiem.

– Anno, twoje podejrzenia są śmieszne. Nie możesz we wszystkim wietrzyć przestępstwa, w każdym widzieć wroga albo szpiega. Oprócz nich na świecie żyją jeszcze normalni ludzie. Westchnął, przypominając sobie, że umówił się na wczoraj z agentem ubezpieczeniowym. – Możesz być całkiem spokojna. Wiem, kto to był, zapomnij o nim.

– Gdybyś był trochę bardziej przezorny – zaintonowała wysoko – może miałbyś w życiu trochę mniej kłopotów, a tak

16

wiecznie wdajesz się w jakieś afery. Zresztą – dodała – to nie jest rozmowa na telefon. Jak będzie okazja, to sobie podyskutujemy – zabrzmiało obiecująco. – Proszę cię tylko o jedno, opiekuj się moją siostrą.

– Oto bądź spokojna – zakończył i szybko odłożył słuchawkę na wypadek, gdyby miała jeszcze coś do powiedzenia.

Nie mylił się. Za chwilę zadzwonił telefon.

– Jerzy, jeszcze jedno – zawahała się przez chwilę. – Gdybyś poczuł się samotny w tym Ostam, nie rób głupstw – wyrzuciła jednym tchem. – Przepraszam za te

przestrogi, ale Maria jest moją siostrą i muszę dbać o jej dobro.

Tego było za wiele, na moment stracił zimną krew.

– Za dużo sobie pozwalasz – powiedział krótko. – Postaraj się zachować jakieś granice i zostaw dla siebie takie uwagi. – Mówiąc to, wyobraził sobie jej minę, oczy pełne zadowolenia, że mu dokopała. Teraz na pewno trzyma w ręku wiecznie wiszący na szyi srebrny łańcuch i okręca go dokoła wskazującego palca, raz w jedną, raz w drugą stronę. Kręci nim zawsze, gdy jest zakłopotana. Czerwieni się przy tym aż po uszy, a na dekolcie wychodzą jej duże fioletowe plamy.

– Nie mam do ciebie żalu, że ją tam zostawisz. – Anna kontynuowała rozmowę jakby nigdy nic. – Wiem, nie masz wyboru, musisz wrócić do pracy i nie możesz pozwolić sobie na dłuższą przerwę, ale jej choroba bardzo mnie przybiła, a na dodatek boję się, jak zniesie rozłąkę.

– Lekarze twierdzą, że trzeba ją koniecznie odizolować od miejsca, w którym żyła. To jest warunkiem rozpoczęcia kuracji. Oderwanie od źródła stresu, samooczyszczenie pozwoli zbudować na nowo jej tożsamość. Odeszła od nas z jakiegoś powodu i trzeba to uszanować. Chce być sama ze sobą, więc niech tak będzie. Musi na jakiś czas zapomnieć o naszych twarzach i głosach. Gdy dogada się ze sobą, to wróci, a my będziemy cierpliwie czekać. Przyjdzie czas, tylko najpierw pozwólmy jej spróbować. – Po drugiej stronie słychać było pociąganie nosem.

– Dziękuję ci za słowa otuchy. – Szczerze się rozkleiła. – Przepraszam, pa!

17

– Pa! – Z ulgą odłożył słuchawkę. Chłodna satynowa pościel przyjemnie ziębiła, a wypity alkohol grzał wnętrze i przynosił ukojenie. W głowie łagodnie szumiało, ogarnęła go senność. Nad sobą miał biały sufit, taki sam, jaki wisiał w tej chwili nad głową Marii. Patrzył w jeden punkt, zastanawiając się, jak długo można leżeć na wznak i przyglądać się nudnej bieli, gdy jeszcze niedawno prowadziło się normalne życie? Przypomniał sobie bajki o śpiących królewnach, o wybawcach, którzy przychodzili w samą porę i pocałunkiem budzili je ze snu. Sen przyszedł niespodziewanie szybko. Cudowna miękkość, w której się unosił, sprawiła, że zapomniał, kim jest. Płynął nisko nad ziemią, rzucając na nią olbrzymi cień rozpostartych skrzydeł. Spoglądał w dół, miał pod sobą nieskazitelnie czysty krajobraz. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozpościerały się zielone łąki, porośnięte soczystą trawą, leśne gaje, schludne miasta, a w nich ludzie. Spacerowali spokojnie, bez konkretnego celu, rozmawiali, gestykulowali. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie zauważyli jego wielkich skrzydeł ani wiatru, który powstawał. Leciał i przyglądał się twarzom tych ludzi, opanowanych i skupionych na sobie. Szukał wśród nich tej jednej, najważniejszej. Nie potrafił przypomnieć sobie jej wyglądu, ale wierzył, że gdy się pojawi, będzie pewny, że to ta. To, co widział pod sobą, było jak land-szafcik z fototapety, bajkowy krajobraz krainy szczęśliwej, beztroskiej i bezgrzesznej. Widział wszystko oczami ptaka i nie mógł powstrzymać radosnego bicia serca. Płynął i płynął, a im dłużej to trwało, tym coraz nudniej i zwyczajniej się robiło. Opanowało go znużenie świętością, uderzającą z wielką siłą w jego nadwerężone ramiona. Zapragnął znaleźć się na powrót w świecie opanowanym przez codzienność. Zwolnił lot, zatoczył jeszcze jedno duże koło, ostatnią rundę wokół złudnych mirażów, i osłabł. Serce biło wolniej, oddech stał się płytszy, a ramiona bolały z wysiłku. Im bliżej był ziemi, tym mniej wydawała się piękna. Powiało chłodem, niebo nad łąką pociemniało. Rozglądał się podejrzliwie po okolicy – coś się stało, dojrzał w tym idealnym krajobrazie pewne skazy, fałszywe akcenty – jakieś drogi prowadzące donikąd, krzywe domy, spróchniałe drzewa, martwe ptaki.

18

Świątobliwy obraz czystości pękł nagle, niczym szklana bańka, a na jego miejscu pojawiła się w rozplywających konturach, rozmytych jak akwarela na deszczu, twarz kobiety. Zniekształcone rysy nie przypominały nikogo. Ciemna plama włosów rozlewała się wokół jasnej plamy twarzy. Z kącików ust spływała różowa farba, a zamiast oczu, w pustych oczodołach zebrało się nieco brunatnej cieczy. Jerzy czuł przez sen, że się spocił. Chciał się obudzić, wiedział już, że śni, lecz jakaś siła zatrzymała go w miejscu. Jakby deszczowy obraz unieruchomił jego ciało, osadził je w kamiennym łożu niczym skałę. Nie bał się, ale wyczuwał złowrogiść, czającą się w obrazie. Twarz zaczęła pęcznieć od nadmiaru wilgoci, aż zmieniła się w kolorowy balon, na którym pozostały już tylko zamazane resztki kształtów. Balon powiększał się coraz bardziej, robił się cieńszy, później zaczął pękać, tworzyć wąskie szczeliny jak zbyt mocno rozciągane ciasto, aż

rozlażł się całkiem i zmienił w gęstą kolorową papkę. Jerzy zerwał się i usiadł na łóżku.

Rozmazany obraz kobiecej twarzy skojarzył mu się z przeczytanym w pewnym szowinistycznym piśmie, gloryfikującym męski stan, cytatem ze starych jedenastowiecznych rozpraw o czystości natury męskiej i nędzy kobiecego ciała, że powab kobiety „składa się z flegmy i krwi, wilgoci i żółci” i „jak przeto możemy pragnąć, by obejmować worek łajna”. Pamiętał, że ta stara filozofia wydawała mu się obrzydliwa. Choć nie podejrzewał u siebie skłonności do demonizowania różnic pomiędzy mężczyznami a kobietami, to przyznał, że to rozmowa z Anną i bliższy z nią kontakt mógł wywołać u niego jedenastowieczne skojarzenia.

*

Anna, wbrew temu, co myślał o niej Jerzy, nie czuła się wcale taka obrzydliwie demoniczna. Była wprawdzie nieco dziwna i ekscentryczna, lecz to małe skrzywienie nie robiło z niej ani szantrapy, ani obłudnicy. Wyglądała jeszcze wciąż jak seksbomba i choć upływ lat zniekształcił nieco jej powab i odebrał sprężystość w ruchach, była kobietą niebywale zadowoloną z siebie i ze swojego życia. A życie miała pełne wrażeń, spełnionych macierzyńskich planów i zawodowych osiągnięć. Była matką

19

prawie od zawsze, od momentu, gdy jej pamięć zarejestrowała pierwsze nogawki od męskich spodni. Następnego dnia już była w ciąży. Powtórzyło się to cztery razy z pozytywnym skutkiem, i tak cztery razy została obdarowana potomstwem. Przyjmowała te podarunki radośnie, radząc sobie z problemem szybko i bezboleśnie. Nie oczekiwała od nikogo pomocy, była zwinna i pracowita. Pogodzona ze swoim losem, nosiła wysoko koronę macierzyństwa. Swoim dzieciom wpajała poczucie własnej wartości, pozostawiała wiele swobody i uczyła samodzielności. Aż strach było patrzeć, jak szybko wysyłała je w świat. Kochała bardzo swoje dzieci i chciała dla nich jak najlepiej, lecz życie przecież nie mogło się skończyć na wiecznym poświęceniu.

Dzieci rosły jak na drożdżach, łapały garściami, co życie dawało w swojej łaskawości, i jak z katapulty wyskakiwały w dorosłość. Nie wiadomo, co było powodem ich błyskotliwości i fantazji, swobody w poruszaniu się po świecie? Być może wielka miłość, którą otrzymały od rodziców, a może ich pogodna, otwarta natura. Nie wszyscy potrafili wytrzymać ich styl bycia. Zarażały swoją ruchliwością i zniechęcały do siebie towarzyszącym temu hałasem. Śmiało dopominały się własnych praw, bez skrępowań odbierały należne profity i parły przed siebie. Jednym słowem, odpadły od piersi dość wcześnie, i o to chodziło. Anna mogła bez przeszkód realizować własne plany. Mąż Anny, kierowca rajdowy, wcześniej zakończył karierę zawodnika i pracował we własnym warsztacie przy unowocześnianiu silników do samochodów sportowych, a Anna, doksztalając się na rozlicznych kursach, otworzyła niebawem wymarzony salon kosmetyczny. Myślała o tym od lat. Czasy nie były sprzyjające, lecz ona jakoś przebrnęła przez kłopoty z zaopatrzeniem i rozpoczęła rozwijanie własnego interesu. To bawiło ją przez jakiś czas, lecz nie za długo. Była inteligentną osobą i chciała się rozwijać. Marzyły jej się wyższe loty, miała apetyt na coś większego, bardziej ekskluzywnego. Gdy nadarzyła się okazja, wyjechała do Francji. Postanowiła poznać nowe trendy w sztuce upiększania i odmładzania. To była wielka próba. W Paryżu mieszkała prawie dwa lata. Podszlifowała język, ukończyła potrzebne kursy i prze-

20

szła trzymiesięczną praktykę w zakładzie kosmetycznym, a właściwie w olbrzymim kombinacie zdrowia i urody, mieszczącym się na południu Francji. Do kraju wróciła natchniona nowymi pomysłami. Z zapałem wcielała je w życie, topiąc w nich wszystkie swoje pieniądze i oszczędności Stefana. Rodzina patrzyła z przerażeniem, ufając mimo wszystko, że inwestycja się powiedzie. Gdy Anna uporała się z problemami finansowymi, narodził się w miejsce zakładu kosmetycznego salon piękności i odnowy biologicznej z wielką klasą i z rozmachem. Bawiła się nim i cieszyła jak wymarzoną zabawką. W miarę napływu gotówki udoskonalała swoje pomysły i dbała o prestiż zakładu. Spełnienie zawodowe okupiła wielkimi wyrzeczeniami, miesiącami niepewności, strachu, czy interes się na pewno powiedzie. Lecz trud się opłacił. W krótkim czasie zaczęła odczuwać pełną satysfakcję.

Dzieciństwo Anny nie upłynęło w sielankowej atmosferze, a życie nauczyło ją

wcześnie samodzielności. Nie miała o to żalu ani pretensji. Widać los tak chciał, a na los nie ma rady. Była w połowie sierotą. Straciła matkę dość wcześnie, a gdy ojciec zaangażował się w nowe uczucie i powtórnie ożenił, postanowiła nie być mu zawadą w dopominaniu się o ojcowskie uczucia. Wybrała na swój dom szkolny internat. Wytłumaczyła sobie, że tak będzie lepiej dla niej i dla niego. Bardzo kochała matkę i trudno jej było wyobrazić sobie, że ktoś inny będzie teraz przytulać się do jej męża. Nie chciała patrzeć, jak się kochają, jak ze sobą śpią i rozmawiają, siedząc w tych samych fotelach, przy tym samym stole. Z trudem znosiła obecność obcej osoby w jej rodzinnym domu. Nie chciała popsuć układów z ojcem, zrazić go, a może nawet stracić. Wolała tęsknotę niż zazdrość, bo mniej bolała i nie miała takich niszczycielskich skutków. To była ciężka próba i dała Annie wiele do myślenia. Brakowało jej domowego ciepła i intymności we własnym pokoju. Chętnie przyjeżdżała do domu na ferie i wakacje, a wkrótce jakoś pogodziła się z sytuacją i zaakceptowała zmiany, które zaszły w jej rodzinie. Jednak jakiś uraz pozostał. Musiała bardzo się starać, by żal uspiiony gdzieś na dnie serca nie zakłócił poprawnych kontaktów pomiędzy nią a rodzicami. Ten stan niedosytu, głód prawdziwego uczucia spra-

21

wiał, że czuła się trochę odtracona. Jak brzydkie kaczątko, nie przytulana przez nikogo, skrywała w sobie tęsknotę za prawdziwym dzieciństwem. Czuła się samotna, łaknęła prawdziwej bliskości i poczucia wyłączności na czyjaś miłość. Toteż, nie czekając na wielkie objawienie, wyszła za mąż za pierwszego mężczyznę, który się jej oświadczył. Zaryzykowała i dobrze trafiła, a życie odplaciło jej prawdziwą, kochającą się, choć nieco zwariowaną rodziną. Anna wiedziała, jak powinna funkcjonować taka wspólnota. Wymarzyła sobie dom i robiła wszystko, by te marzenia wprowadzić w życie. Teraz podchodziła z dystansem do swoich dokonań. Poznała prawdziwy smak spełnienia i gorycz rozczarowań. Gdy przerobiła dokładnie cały kurs dojrzewania, już nie było dla niej spraw nie do rozwiązania. Anna posiadała niesamowitą intuicję w ocenianiu ludzi. Czasami wystarczyło jedno spojrzenie i bezbłędnie odkrywała cudze intencje, te złe i te dobre. Dlatego, choć nie chciała być nachalna, czuła w sobie obowiązek, by pomóc siostrze uporać się z życiem. Bolało ją to, co stało się z Marią. Wyczuwała, że w związku siostry czegoś brakowało. Zastanawiała się tylko czego? To, że Jerzy jest dziwny, było dla niej jasne od samego początku. Zawsze spięty i nastroszony, atakował ją i łapał za słówka. Anna źle czuła się w jego towarzystwie i nie potrafiła przełamać niechęci. Maria wbrew jej obawom wyglądała na szczęśliwą. Broniła Jerzego i łatwo usprawiedliwiała jego liczne niepowodzenia w interesach. Minęło kilka lat od ich ślubu. Byli zgodnym małżeństwem, wprawdzie mało udzielającym się towarzystwo, bardzo zamkniętym, ale raczej szczęśliwym. Anna dała spokój podejrzeniom, w końcu to nie był przecież jej mąż. Pozostała w stosunku do niego w pozycji ostrożnego obserwatora i hamowała się z ocenami. Tylko czasami, gdy mocno wlaź jej za skórę, potrafiła odplacić. Nagła choroba siostry wstrząsnęła nią. To dziwne i głębokie załamanie wydawało się Annie nieuzasadnione. Maria była wprawdzie osobą nietuzinkową i trochę niedzisiejszą, ale jednocześnie spokojną i zrównoważoną, zupełnie niezdolną do hysterii, której teraz ponoć uległa.

Dlaczego o miłości do siostry przypominała sobie dopiero po

22

latach? Anna szukała dla siebie usprawiedliwienia. Przeczyna, że dużą rolę odegrały w tym uprzedzenia i różnica wieku. Maria była przecież konkurentką w walce o uczucia ojca. Miała oboje rodziców, ich miłość i opiekę. Została dostatecznie wyposażona na życie, nie musiała martwić się o pieniądze (matka Marii była zamożną kobietą). Anna straciła to pewnego dnia, choć nie było w tym przecież jej winy. Odeszła z domu, gdy siostra miała zaledwie kilka lat. Spotykały się w czasie wakacji i świąt, niby bliskie, a jednak dalekie. Urodzone przez inne kobiety, miały odmienne temperamenty i oczekiwania. Anna wiedziała o tym i rozumiała, co je różni tak bardzo od siebie. Lecz teraz, gdy obie były sierotami, różnice zacierały stopniowo swoje ostre kontury. Anna dawno zapomniała o tamtych latach. Wygasły w niej dziecięce wątpliwości o sprawiedliwy podział uczuć w rodzinie. Teraz trzeba pomóc dorosłej siostrze pozbierać się i doprowadzić do porządku wszystkie nie załatwione sprawy. Postanowiła więc na własną rękę zbadać wszystko i niezależnie od woli Jerzego pojechać do Ostam. Telefon od niego tylko ją w tym upewnił. Zdecydowała, że gdy upora się ze swoimi sprawami, pojedzie na rozpoznanie. Czuła, że jest to siostrze winna.

II

Jerzy wczesnym rankiem przebij ał się przez zaśnieżoną drogę. Podziwiał piękne widoki i z uwagą śledził drogę. Wysokie zbocza gór, wznoszące się po obu stronach doliny, jak szpitalne parawany odgradzały krętą drogę od świata poza nimi. Szosa prowadziła wzdłuż szerokiego strumienia płynącego u podnóża doliny. Spieniona woda uderzała o kamienie lodowatą bryzą. Jerzemu przeszły po plecach ciarki na myśl o zimnej kipieli. Śnieg był wszędzie. Przykrywał ziemię i brzegi strumienia, którego koryto wyglądało jak szrama wytopiona w bryle lodu. Zbocza gór, sięgające nieba, całe białe, pulchne, obłożone poduszkami ośnieżonych drzew, trwały nieruchomo zastygłe i błyszcząły w promieniach porannego światła. Rozległe stoki, poprzecinane pajęczyną wyciągów narciarskich, zdumiewały karkołomnością. Wiły się coraz wyżej, ginęły gdzieś za kolejnym grzbieciem, by po chwili pojawić się z drugiej strony. Wprost nie do wiary, że człowiek miał odwagę wjechać tak wysoko, spoglądać w dół, stojąc na zdradzieckich deskach, i odczuwać przy tym zadowolenie. Niżej, na płaskich szerokich półkach stały domy, większe i mniejsze, zabezpieczone metalowymi osłonami, chroniącymi przed lawinami. Samotne, połączone ze światem niewidzialną drogą, trwały przymarznięte długimi soplami do nieba. W zachwycającej ostrości powietrza najwyższe skalne szczyty ukazywały swoje kontury, wyraźnie odcinając się od świeżej bieli. Pomiędzy szczytami migały raz po raz słoneczne refleksy i padały na zatopioną jeszcze w cieniu drogę. Jerzemu wydawało się, że widzi migotanie powietrza, że światło padające przez szczeliny w skałach wypełnione jest drgającą materia, jakby rojem złotych owadów osiadających na powierzchni śniegu. Był sam na drodze,

24

zwolnił. Chciał ze spokojem nasycić się widokiem. Miał dziwne wrażenie, jakby to się nie działo naprawdę. Nie mógł uwierzyć, że to właśnie on jedzie drogą wśród szczytów Alp, sam, daleko od domu i od pokrytego brudnym błotem miasta. Było dość wcześnie, niewielki ruch na drodze zdradzał, że w tym kierunku nieczęsto podróżowano. Trasa, prawie nietknięta kołami pojazdów, wtapiała się w krajobraz, ginąc pomiędzy drzewami i zlewając z poboczem, uciekała w las. Trzeba było uważać, by przez nieuwagę nie wylądować na śnieżnej polanie. Sytuację ratowały ostrzegawcze tablice. To one wyznaczały kierunek jazdy i uprzedzały o warunkach. Mniej więcej co dwa kilometry uderzał w oczy napis: „Kierowco, daj szansę swojemu aniołowi”. Wtedy Jerzy odruchowo naciskał pedał hamulca.

*

Do gabinetu wprowadziła go sekretarka. Nie pytała o nic, wskazała tylko fotel i wyszła. Został sam, w nowym, nieznanym otoczeniu, gdzie jedynie mowa sprzętów dawała nieco do myślenia. Spoglądał chłodnym okiem, bez zbytniego angażowania zmysłów, bez wczuwania się w unoszącą w powietrzu aurę. Miał wrażenie, jakby bezosobowość pokoju i jałowość, którą wyczuwało się w powietrzu, uwalniała go od wszelkich uczuć. Siedział wyluzowany i senny, w myślach ustalał swój porządek dnia i program pobytu. Przed nim było ważne spotkanie z lekarzem i to należało załatwić jak najprędzej. Od rozmowy i tego, co usłyszy, zależeć będzie scenariusz najbliższych godzin i dni w Ostam. Zanim nie pozna diagnozy, nie może podjąć żadnej decyzji. W tej chwili nie dało się niczego przyspieszyć, jedyne, co mógł zrobić, to wykazać się cierpliwością i poczekać na przybycie lekarza. Spojrzał na zegarek. Bransoleta zwiisała mu luźno z nadgarstka. Pomyślał, że schudł. Te przeżycia dały mu się mocno we znaki. Zaczął się niecierpliwić. Umówił się na dziewiątą, minęła dziewiąta trzydzieści. Zacierał nerwowo ręce i poprawiał krawat. Może pomylił godziny albo pokoje, może przyjechał zbyt wcześnie albo lekarz, z którym był umówiony, ściga się jeszcze po krętych drogach ze swoim aniołem stróżem?

25

Wstał i nerwowo przechadzał się po pokoju. Gruby dywan tłumił jego kroki. Gabinet, w którym się znalazł, pomalowany był na śmieszne, różowe kolory, jaśniejsze, ciemniejsze, ale zdecydowanie niemęskie. W pierwszej chwili tego nie zauważył. Teraz, gdy jego oczy przyzwyczyały się do jednostajności, zaczął dostrzegać szczegóły. Według Jerzego wyglądało to podejrzanie. Pomyślał, że gdyby miał gabinet, nigdy, przenigdy nie wymalowałby go w takie „świńskie” barwy. Na ścianach wisiały obrazy, wszystkie w białych ramach, przedstawiające prymitywne rysunki. Na jednym pływało małe stadko ryb, na następnym namalowano świecę stojącą w misce wypełnionej wodą, jeszcze inny przedstawiał rozbite jajko z wylewającym się żółtkiem. Paranoja, pomyślał i zaraz przypomniał sobie, że

jest u czubków.

Jego wrażliwość, mimo wiary we własną doskonałość, gdzieś się jednak kończyła. Istniała ta na pozór niewidzialna granica, której mimo starań nie udało się przeskoczyć. Z każdego człowieka można wydestylować indywidualny eliksir jego możliwości, wysublimować ulotne i nieuchwytne prawdy. To od nich, od ich stężenia zależy, co można otrzymać w darze. Świat pacjentów z kliniki w Ostam, ludzi zagubionych, dla których ostrze żyłетки było jedyną drogą do normalności, był niedostępny dla ignorantów, tym gorszych, im mniej o swym ignorancie wiedzących. Nie wynikało to bynajmniej ze złych intencji, lecz z prostej niewiedzy. Jerzy miał w sobie same dobre chęci. Miłość do kobiety, której pragnął, uskrzydliła go, lecz mimo to, oprócz namiętności i poczucia fizycznego bezpieczeństwa, dla ducha Marii niewiele był przydatny. Magiczna metafizyka ludzkiego umysłu stawała na drodze porozumienia między nimi. Jerzy po prostu jej nie rozumiał. Zbyt przedmiotowo i kapryśnie traktował sprawy ducha. Prezentował gotowe reguły, wykazywał się otwartością i dobrą wolą w niesieniu pomocy i w zrozumieniu problemu, lecz ciągle w chwilach nieuwagi czy nie kontrolowanej wesołości odkrywał się sam przed sobą, obnażając oblicze jednym nieopatrzonym słowem. Tego dnia tym słowem było „jestem u czubków”. Gdy to powiedział, już po chwili dostał męczącego kaszlu. Zakrztusił się swoją głupotą lub, jak kto woli, wrodzonym

26

i zatwierdzonym przez geny podejściem do problemu. Przed sobą przecież nie powinien mieć sekretów. A jednak miał i chciał mieć, by odgrodzić się od pamięci o tym, jaki był, zanim poznał Marię. Przez ostatnie lata z rozkoszą spychał swój a pamięć do katakumb, by mieć jak najdalej do dna, bo bał się, że otchłania, w którą dane mu było zajrzeć, okaże się nie tylko siedzibą wytwornych i szlachetnych idei, ale także siedliskiem słabości.

Jerzy niecierpliwił się. Rosło w nim napięcie, a czekanie na lekarza podnosiło poziom adrenaliny, porażając jadem niepewności. Czuł dokuczliwe mdłości. Jeszcze chwila i wymiotuje. Zakrył ręką usta, zamknął oczy i próbował się uspokoić. W ciszy gabinetu słychać było jego rytmiczny oddech i głośny świst wciąganego przez nos powietrza. Oddychał głęboko, aż piekło w krtani. Ból odwrócił uwagę od strachu. Jeszcze kilka głębszych oddechów i wszystko minie, wróci do normy. Otworzył oczy, wyprostował plecy i otrzepał z rękawów niewidzialny pył. Weź się chłopie w garść, powiedział sam do siebie.

Był raczej realista, wolał interpretować fakty, lecz równie łatwo ulegał namiętnościom. Drogo za to płacił. Były takie sfery jego pragnień, które nie mogły się urzeczywistnić. Stwierdził, że życie realne nie wystarczy do spełniania ludzkich marzeń. Bez wyobraźni i odrobiny fantazji byłoby nudne. Tak więc, gdy nie dało się dojść do czegoś drogą czynów, przychodziło na świat nieuchwytne i ulotne życie sekretu, a wraz z nim rodziły się prywatne demony. W nowym świecie, zbudowanym z pragnień i fantazji, czuł się zagrożony poczuciem nieautentyczności, więc najpierw oszlifował swoją nową osobowość, a potem wybrał przewodnika. Jerzy był czystą formą nowej formy, dzieckiem, którego życie wymknęło się schematom i poszło tam, gdzie dojść można było tylko drogą gorących pragnień i śmiałych czynów.

Tak czuł się teraz, wrzucony w obcy świat, w świat ludzi pewnych siebie, nastroszonych wagą problemów, które podjęli się rozwiązać. Skrępowany dokuczliwym uczuciem pustki i duchowej frustracji, sam wśród obcych, zdany na swoją błyskotliwość, podparty siłą pieniędzy, które miał w kieszeni. Powtarzał sobie słowa ojca słyszane w dzieciństwie, który mówił mu cza-

27

mi przed snem: „Pamiętaj, synu, panem sytuacji jest zawsze ten, kto płaci”. Jakże przyda mu się teraz tamta rada, choć ojciec nie na wiele mu się przydał. Poprawił się w fotelu, wyprostował i już nieco spokojniejszy oczekiwał na dalszy bieg wydarzeń. Zrozumiał, że nie jest tu po to, żeby drwić z czegoś, czego nie rozumie, lecz by zaufać. Przywiózł Marię do Ostam i powierzył ludziom, którzy znają się na rzeczy. Nie może teraz zwątpić w ich umiejętności, bo sajego ostatnią deską ratunku. Zawiodły już wszystkie inne, ta kuracja musi się powieść. Był przekonany, że bliskość gór, powietrze i spokój więcej działają niż najlepsza tabletki.

Nikt nie znał Marii lepiej od niego i tylko on rozumiał jej potrzeby. Odsłaniał przed nią nowe strony życia, bo uważał, że zbyt słabo zna jego uroki. Gdy wracała do domu z głową pełną zaśniedziałych metafor, nad którymi ślęczała i

które interpretowała dla potomności, tylko on potrafił ją rozweselić, namówić na coś tuzinkowego, banalnego aż do przesady, zainteresować światem zapisanym codziennością. Gotował jej wtedy wspaniałe potrawy, przyrządzał niebiańskie desery i karmił, gdy zmęczona wykręcała się od jedzenia. Namawiał na robienie różnych głupich rzeczy. Potem pozwalał się wygadać, opowiedzieć o tym, co wypełniało ją po brzegi. Maria ciągle coś czytała. W pracy, od rana do popołudnia, a potem w domu do wieczora, czasami na głos, gdy coś ją zaintrygowało. Jerzy wolał raczej żywy obraz, choćby spłaszczony telewizyjnym ekranem. Jeśli nie zajmowali się sobą, to i tak byli zawsze obok siebie. Jemu trudniej było usiedzieć w bezczynności. Maria nie miała nigdy dość czasu, by przeczytać wszystko to, co zaplanowała. Paliła wtedy w łóżku lampkę i zapominała o całym Bożym świecie. Jemu wystarczyło, że miał ją obok spokojną i zadowoloną. Teraz, gdy czekał na lekarza, zastanawiał się nad tym, w jakim kierunku potoczy się rozmowa i na jakie pytanie będzie musiał odpowiedzieć w pierwszej kolejności, czego będzie chciał się dowiedzieć od niego o Marii. Po tym zawsze można rozszyfrować sedno rozmowy i główny temat, wokół którego będzie się kręciła. Nawet gdy pozornie oddali się na moment, to nieuchron-

28

nie powróci jak bumerang. Wycierał w chusteczkę spoczone ręce, by przy powitaniu nie wstydzić się ich wilgoci. Stres to takie niemęskie, niedobrze pokazać się zaraz od tej słabej strony. Wyszło mu w gardle, więc z rozrzewnieniem marzył o puszcze zimnego piwa lub coca-coli. W takich chwilach jak ta, gdy nie wiedział, co się może zdarzyć, najchętniej uciekłby tam, gdzie pieprz rośnie, i nie wrócił. Takie chwile ciągle w sobie musiał pokonywać. Pocięczał się, że rozmówca, z którym ma się spotkać, będzie Polakiem, podobnie jak większość tutejszego personelu. To ułatwiało sprawę, bo choć dobrze znał angielski, jednak dyskusje o zdrowiu wolał prowadzić w języku polskim. Czy lekarz, na którego czeka, okaże się normalnym facetem i uda im się bez problemów nawiązać kontakt, czy będzie „dużym” doktorem, który weźmie go w krzyżowy ogień pytań?

W pokoju słychać było tylko monotony szum stojącego w kącie aparatu. Co kilka sekund włączało się i mrugało zielone światełko. Pulsowało delikatnie, tykało jak bomba zegarowa. Jednostajny dźwięk, jak odliczanie baranów, kołysał i usypiał, zamiast ostrzegać. Pięć razy tyknięcie, przerwa i długi jednostajny dźwięk. Znowu tykanie i przerwa. Jerzy odliczał bezwiednie do pięciu i powoli zapadał w sen.

Doktor Szyc okazał się na szczęście całkiem sympatycznym człowiekiem. Wszedł bezszelestnie do gabinetu, przerywając Jerzemu krótką drzemkę, w którą niespodziewanie zapadł. Jerzy, trochę nieprzytomny, poderwał się nerwowo z rozgrzanego fotela. Wystrzelił wysoko w górę i jak łódź podwodna wyrósł Szyco-wi przed oczami, co najmniej o głowę wyższy. Widząc tę przewagę, poczuł się dużo lepiej. Doktor, nie spieszony, z łaskawym uśmiechem i uprzejmą prostotą podał mu rękę. Usiedli naprzeciwko siebie przy małym szklanym stoliku, na którym niemal natychmiast pojawiły się filiżanki dymiącej kawy i kruche ciasteczka. Jerzy posłodził sobie kawę i zabielił sypkim proszkiem. Pragnienie, które wcześniej odczuwał, uwolniło go z obowiązku powolnego sączenia. Jednym solidnym haustem wypił wszystko, odstawiając na bok pustą filiżankę. Doktor Szyc spojrział na to ukradkiem i uśmiechnął się.

29

– Proszę się nie krępować – wskazał na dzbanek z kawą – ja też sobie trochę doleję. – Usłużnie pochylił się nad stolikiem.

– Naraziłem pana na czekanie – próbował się usprawiedliwić.

– Było to jednak konieczne, ponieważ dopiero przed kilkoma minutami otrzymałem wszystkie wyniki badań. Bez nich nie miałem się po co pokazywać – zażartował. – Musimy znać możliwie najwięcej szczegółów. Przejrzałem dokładnie całą historię choroby, którą pan nam przekazał listownie, i drobiazgowo przeanalizowałem każdy szczegół – przeszedł szybko do sedna sprawy. – Chyba mam już ogólne rozeznanie. Chciałbym jednak usłyszeć wszystko jeszcze raz, widziane już tylko pana oczami. Wnioski z bezpośredniej obserwacji to zupełnie coś innego niż zimna kalkulacja objawów i metod leczenia. – Położył na biurku plik papierów, które przyniósł ze sobą. – Według przeprowadzonych badań i uzyskanych wyników przypadek pańskiej żony wygląda na szczególnie rodzaj depresji, spowodowany być może, ale niekoniecznie, niespodziewanie silnym przeżyciem albo wstrząsem i w efekcie wycofaniem się ze wszystkich sterowanych wolał czynności – to takie całkowite wyłączenie, rodzaj katalepsji, w której dochodzi do odrętwienia ciała, całego lub jego części,

połączone z utratą kontroli nad ruchami – tłumaczył cierpliwie. – Nie jest to typowy letarg, bo żona okresowo budzi się, otwiera oczy, czasami rozgląda, lecz robi to nieświadomie, nie rozumiejąc zupełnie, co się z nią dzieje. Na szczęście nie broni się przed przyjmowaniem jedzenia, a więc nie uspiła w sobie całkowicie odruchów samozachowawczych i to daje jej jakieś szanse. Odgrodziła się od terażniejszości, lecz jak można się domyślać, nie w celach całkowicie destrukcyjnych, a raczej po to, by przeczekać coś lub przemyśleć. To, że pozwala się nakarmić, może nam dać do myślenia. Wychodząc z założenia, że ona planuje powrócić do normalnego życia – możemy się oczywiście mylić – musimy jej pomóc, by nastąpiło to możliwie najwcześniej. – Zamilkł na chwilę dla zaczerpnięcia tchu i spojrzał na Jerzego. Mierzył go przez chwilę, jakby oceniał, i zaraz potem zapytał: – A pan? Co pan o tym myśli? – Skoncentrował wzrok na Jerzym i czekał. Potem podniósł do góry palec i uśmiechnął się

30

przyjaźnie. – Może zacznijmy inaczej. – Zastanowił się i zanim Jerzy zdążył otworzyć usta, kontynuował: – Proszę mi opowiedzieć najpierw o sobie. Ha, ha! – zaśmiał się rubasznie. – Oczywiście to nie ma być seans na kozetce – zapewnił pospiesznie. – Musimy po prostu bliżej się poznać. – Rozłożył szeroko ręce i znów czekał na odpowiedź.

Jerzy zaskoczony odruchowo obejrzał się za siebie – czyżby źle słyszał? To on miał być bohaterem dzisiejszego interview? A to kawał, tego się nie spodziewał i nie przygotował na taką sytuację. Leczenie żony poprzez rozszyfrowanie męża, kłania się Freud. Pytanie doktora Szyca zawisło w powietrzu jak skowronek. Jerzy nabrał głęboko powietrza i szybko wypuścił, zupełnie nie wiedząc, jak ma się dalej zachować. Lekarz uśmiechał się kusząco, maskując ciekawość.

– To nic trudnego – zachęcał do rozmowy. – Wystarczy zacząć od początku. – Położył palec na dolnej wardze i wycedził powoli, jak nauczyciel przepytujący ucznia. – A może powie mi pan coś o swojej pracy. Kim pan jest z zawodu i gdzie pracuje? – Uśmiechnął się łobuzersko i szybko dodał: – To wszystko wbrew pozorom może mieć znaczenie. Wiele problemów wynika właśnie z relacji pomiędzy chorym a warunkami funkcjonowania najbliższego otoczenia. Bo na przykład, gdyby był pan kaskaderem albo kierowcą wyścigowym – zażartował – no cóż, byłoby się o kogo martwić i przez kogo wpadać w depresję, a jeżeli jest pan informatykiem, księgowym albo kompozytorem, wpływ czynnika stresogennego wynikającego z zagrożenia pańskiego życia byłby niewielki. Pozwoliłem sobie zażartować, żeby wyjaśnić moje intencje, zmniejszyć między nami napięcie. Szczerowość jest w tej chwili najlepszym sposobem dojścia do sedna problemu. Żona w stanie, w którym się znajduje, nie będzie nam mogła pomóc. Musimy dogadać się między sobą, pan i ja. Pan zdradzi mi wszystkie rodzinne sekrety, a ja zrobię z nich właściwy użytek, tak byśmy obaj mogli być zadowoleni. A więc do roboty, zaczynamy od prozy życia, czyli od pracy.

Jerzy poprawił się w fotelu i obciągnął nieco zgniecioną marynarkę. Początkowy dystans powoli przemieniał się w słabą

31

nić porozumienia. Nieufność i nieokreślony strach rozeszły się po kościach, spięte ramiona opadły w dół, oddech nabrał miarowości. Na twarzy pojawił się błysk sympatii, a może wdzięczności za otwartość rozmówcy. Jednak mimo to, a może właśnie dlatego, Jerzy bał się wyznać swoje prozaiczne – „Jestem kucharzem”. To było okropne uczucie, wstydzić się samego siebie. Boże, przecież nie miał czego, był swego rodzaju mistrzem, artystą, wirtuozem. Dlaczego się zawahał?

– Jestem kucharzem – wyszeptał niewyraźnie i zaraz potem lekko zakaszał, jakby chciał zagłuszyć to, co przed chwilą powiedział.

Szyc, zupełnie poważny, przerzucał kartki notatnika, a potem spokojnie zapytał:

– Czy pan się tego wstydzi? Jerzy uśmiechnął się zmieszany.

– Być kucharzem to żaden wstyd – tłumaczył. – Jednak wolałbym powiedzieć, że jestem ministrem spraw zagranicznych, lub choćby jego charge d'affaires. Ludzie różnie reagują na kucharza.

– Mam znajomego – Szyc też chciał wziąć udział w zabawie – który jest palaczem. Po prostu dorzuca do ognia w jakiejś starej przedwojennej kotłowni. Gdy zadają mu pytanie: Kim pan jest, odpowiada: Ingenier von der Zentmlheizung. – Znów się roześmiał. – Jak pan widzi, wszystko można jakoś nazwać, tylko czy to coś zmieni? Pewien mędrzec powiedział kiedyś: „Chcecie, aby ludzie mieli o was dobre mniemanie. Nie mówcie dobrze o sobie”.

– A mnie powiedział kiedyś ojciec, że lud ceni dobrze urodzonych i tych, co mają pieniądze. – Jerzy nie dawał za wygraną. Ta sytuacja zaczęła go śmieszyć. Przecież nie miał zamiaru niczego ukrywać. Samo jakoś tak wyszło. Czuł, że nie ma sensu brnąć w tę szermierkę słowną i postanowił ustąpić. Szyc celowo prowokował, by lepiej go poznać i ocenić. Zrozumiał podstęp i bez owijania w bawełnę opowiadał o sobie, rozświetlając gabinet jednym z tych swoich zniewalających uśmiechów. – Więc z zawodu jestem kucharzem – powtórzył. – Wprawdzie,

32

jak mówi moja żona, niezwykłym, ale jednak kucharzem. Jedyne, co mi grozi w pracy, to skaleczenie się ostrym przedmiotem lub oparzenie, choć, szczerze mówiąc, niewiele mam wspólnego z czystym procesem przygotowania potraw, raczej zarządzam. Prowadzę restaurację w Hotelu Rzymskim. Skończyłem średnią szkołę gastronomiczną w Łodzi – poprawił opadający kosmyk włosów – i Culinary Institute of America, czyli CIA w Hayde Parku, niedaleko Nowego Jorku. Proszę nie mylić z Central Intelligence Agency. – Uśmiechnął się chytrze.

– Do licha. – Szyc cichutko gwizdnął. – Musi pan być rzeczywiście niezwykłym kucharzem. Słyszałem cuda o umiejętnościach ludzi, którzy skończyli Amerykański Instytut Kulinaryny. – Dość wylewnie podkreślił swój podziw. – Czy w Polsce doceniono aby pana wykształcenie? – zapytał.

Jerzy nabrał odwagi i całkiem swobodnie poddał się wymianie zdań.

– Jestem zadowolony ze swojej pracy, choć może nie jest ona ukoronowaniem moich marzeń i możliwości.

– Wyobrażam sobie. Przecież dyplom CIA to przepustka do najlepszych restauracji świata, a gaża w nich oznacza niebagatelne sumy. – Zachwyt na twarzy Szyca wyglądał na szczery. – Muszę się panu przyznać – ściszył głos i rozejrzał się tajemniczo – że dobre jedzenie przysunął się bliżej i wyszeptał – to moja słaba strona. – Poklepał się niedwuznacznie po zarysującym się lekko brzuszku. – Ta słabość wiele mnie kosztuje. Nie myślę o pieniądzach, lecz bardziej o kaloriach. Walka z nimi to wielki problem. Oddałbym wszystko za soczysty befsztyk w ananasach i mus z homara, a na deser gruszki w karmelu. Do tego kieliszek – przymknął powieki i z rozrzewnieniem wyszeptał – Pinot Noir.

– Odpowiedniejsze do tego byłoby Sauvignon Blanc – wtrącił Jerzy. – Jest lżejsze, nie zabija smaku potraw.

– Czuję, że nie będziemy mieli problemu ze znalezieniem wspólnej płaszczyzny porozumienia – zażartował Szyc. – Z artystami rozmawia mi się dużo lepiej.

– Chciałbym, żeby pana słowa stały się faktem. Co do moich

33

artystycznych umiejętności, trudno się będzie o nich przekonać. W Polsce jeszcze wciąż nie mam pełnych możliwości wykazania się swoją wiedzą. U nas gotowanie musi być kalkulowane według kieszeni klienta, brakuje smakoszy, którzy zapłacą za wyszukane dania. Więc znajomość kilkadziesiątu gatunków chleba, dwustu rodzajów win, tudzież innych trunków oraz przyrządzanie potraw z najwyszukańszych ryb świata dla mnie niedługo przejdzie do historii.

– To jest to – gorliwie potwierdził Szyc. – Wiadomo, że praktyka czyni mistrza, bez niej, tak pan jak i ja, nic nie jesteśmy warci. – Pokiwał głową. – Jedno mnie tylko frapuje. – Spojrzał Jerzemu głęboko w oczy. – Jak udało się panu dostać do tej szkoły? Wiem, że to prawie niemożliwe. Córka kolegi lekarza, zamożnego i z kontaktami, marzyła, żeby się tam dostać. To najlepsza szkoła kucharska w świecie i jedna z najdroższych. Musiał pan mieć zamożnego sponsora.

– Tak... – Jerzy potwierdził. – Rzeczywiście, miałem szczęście. – Zrobił taką minę, jakby nie chciał o tym rozmawiać. Szyc zorientował się błyskawicznie.

– Racja, tę historię zostawimy na inną okazję. Czas wziąć się do roboty.

Wbrew obietnicom rozmowa jeszcze nie raz podpływała nieśmiało ku brzegom kulinarnych rozkoszy i ku wymyślnym przepisom francuskich sosów, włoskich makaronów i meksykańskich, wypalających trzewia przypraw. Szyc, wielki degustator, popisywał się talentem w pogłębianiu gastronomicznych przepisów. Widać był człowiekiem obytym i odczytanym, potrafił podjąć każdy temat z zadziwiającym znanstwem. Ciekawe, czy wynikało to z dociekliwości, czy wiesznie niezaspokojonej potrzeby poznawania, czy też było następstwem specjalnych umiejętności psychoanalityka, który brylując precyzyjnie przez niezgłębione obszary wiedzy, wyławiał z pozornie nic nie znaczących dialogów informacje niezbędne do rozszyfrowania przeciwnika. Jeżeli tak, robił to w stylu iście mistrzowskim, bez cienia fałszu czy podstępu, a elektrody zatopione dyskretnie w

ciele rozmówcy przekazywały mu misternie skrywaną prawdę. Wtedy obserwo-
34

wał, jak zmieniają się maski na twarzy pacjenta, gdy unikając czystych faktów, zatapiał się w narzucony mu od niechcenia świat fikcji, iluzji. Jak wytyczając kierunek rozmowy, potrafił przebrać spośród sztucznych znaczeń, wydumanych symboli ziarno prawdy. Gdy w słowach rozmówcy materializują się marzenia, gdy odkryta przyłbica odsłania ukryte żale, ukazuje się jak na dłoni jego duchowa kondycja.

– A więc nazywali pana „Sailor”. Dlaczego?

– Miałem dość mocno wykształcony odruch brylowania. – Jerzy zagłębiał się coraz dalej w przeszłość, wspominając lata nauki. – Byłem jedynym studiującym tam w owym czasie Polakiem. Musiałem wytrwać, a jednocześnie czegoś się nauczyć. Wierny narodowej umiejętności radzenia sobie w każdej sytuacji, pływałem, by nie odpaść z zawodów. Byłem wtedy samotnym, młodym, bardzo zagubionym człowiekiem. Moi rodzice już nie żyli. Obszerne mury pięknego jezuickiego seminarium, w którym mieściła się uczelnia, trochę mnie przytłaczały. Spadłem tam jak podrzutek z szarych ulic, na murawę parku, gdzie nieopodal jaśniały przepychem rezydencje Rooseveltów i Vanderbiltoów. Przemieszczałem się między trzydziestoma sześcioma szkolnymi kuchniami i uczyłem w czytelni biblioteki Hiltona, liczącej pięćdziesiąt tysięcy książek kucharskich. Żyłem wśród ludzi, którzy przybyli jak ja na ten jeden skrawek ziemi z trzydziestu różnych krajów. – Uśmiech rozjaśnił zasępioną twarz. – Wtedy poznałem swoją żonę. Nie została nią od razu. Oj, wiele wody upłynęło, nim zwróciła na mnie uwagę, jeszcze więcej, zanim dała się namówić na randkę. Jest ode mnie starsza o dwa lata. Teraz to się nie liczy, ale wtedy byłem dla niej smarkaczem.

– Więc jednak nie był pan jedynym przybyszem z Polski. – Szyc poprawił poprzednie stwierdzenie Jerzego.

– Ona nie studiowała. Przyjechała tam z delegacją UNESCO. Brała udział w przygotowywaniu spisu starych ksiąg, napisanych przed wiekami w Polsce i przetłumaczonych na język angielski, w celu przekazania tradycji kulinarnych za ocean. No, wie pan, takie przyżółcone szpargały, pisane cyrylicą, pachnące stęchlizną i oklejone roztocznymi. Mam do nich swój własny, dość

35

oryginalny stosunek, ale mają żona je uwielbia, jest z zawodu bibliografem i to szperanie w starych trocinach sprawia jej ogromną frajdę. – Jerzy zawiesił nagle głos i spojrzał zasępiony przez okno. Biel kłuła w oczy, zmrużył je więc, chroniąc przed ostrymi promieniami.

Szyc w milczeniu cierpliwie obserwował swojego rozmówcę. Taksował go niepostrzeżenie, by wyrobić sobie opinię o jego powierzchowności. Wygląd i sposób noszenia się wiele znaczył dla lekarza – z gestów, mimiki musiał zbudować prawdziwy obraz badanego. Szyc traktował Jerzego jak pacjenta, na równi z jego żonę. Wiedział z doświadczenia, że duże znaczenie w leczeniu depresji u ludzi ma uzdrowienie ich otoczenia. Czasami okazywało się ono bardziej chore. Maria Jaros, pacjentka z Polski, przywieziona przez swojego przystojnego męża, będzie dla niego prawdziwym wyzwaniem. To przypadek, który zdołał zaprzatnąć jego umysł i miał być potwierdzeniem posiadanych umiejętności. Nie wystarczy zwykła terapia i delikatna perswazja. Ten tajemniczy stan był jak diabelska sztuczka, wykonana na wrażliwym mózgu. Ofiara złapana w potrzask przestaje funkcjonować. Jest jak żywy trup, uwięziony w klatce przerażenia, pogrążony w całkowitej niepamięci – ustala własny porządek, wyznacza terytorium niegodziwości, która go spotkała, i zamyka się w swoim milczeniu. Zaczyna się dramat duszy osaczonej, nie akceptującej kierunku, w którym wszystko podąża. Wtedy na powierzchnię wypływają upiory. Podczas takiej depresji świat znika, język również, a wewnętrzny głos zmusza do prowadzenia dialogu z samym sobą lub powoduje wykreślenie wszystkich funkcji myślowych. Po co mam trwać dalej, jeśli istnienie przynosi taki ból, że w jego obliczu staję się nieszczęśliwy i bezradny, odgradzam się od życia, udaję, że mnie nie ma. A wtedy gasną światła i zalega cisza. Tak jest najprościej, a jednak nie tędy droga. Zadaniem dla Szyca było odwrócenie tego procesu. Tylko czy podoła zadaniu? Czy przypadek, z którym się zetknął, zakończy się sukcesem?

– Pięknie tu – odezwał się Jerzy, przerywając ciszę. – Maria kocha góry, a teraz nie może nawet na nie spojrzeć. –

36

Splótnął nerwowo ręce i wykręcił z całej siły, aż suchy trzask stawów rozszedł się

po pokoju. – Byłem z nią tego roku przez tydzień w St. Jakob. – Wyciągnął rękę w kierunku gór przykrytych grubą warstwą śniegu. – To miejscowość leżąca niedaleko stąd, w paśmie Defereggental. Mieszkaliśmy w hotelu Alpenhof, w dolinie, dokoła której unosiły się szczyty trzytysięczników. Z tarasu widać było przepływające kłęby chmur, a skaliste szczyty urzekały tajemniczością i grozą. Wszystko jakby na wyciągnięcie ręki, tak bliskie i jednocześnie odległe. Ostatniego dnia przed wyjazdem Maria spojrzała na widok za oknem i wtedy obiecaliśmy sobie, że za rok tu wrócimy.

Szyc zrozumiał aluzję.

– Niestety. – Rozłożył bezradnie ręce. – Tego się nie da przyspieszyć i nie należy oczekiwać cudów. Punktem wyjścia leczenia jest właściwa diagnoza. – Nie mógł pozwolić na to, by ten pomyślał, że wyleczenie jego żony to proces, który da się szybko przeprowadzić. – W chorobach układu nerwowego trudno ustalić szybką diagnozę. – Zgrabnie przeszedł z rozmowy o marzeniach do dyskusji o konkretach. – Badania laboratoryjne, prześwietlenia, miejsca, które można dotknąć, zmierzyć organy, które da się usunąć, to nie dotyczy chorób ludzkiej duszy. Z nią trzeba się obchodzić w całkiem inny sposób: intuicyjny i delikatny. Nie istnieją testy dające stuprocentową odpowiedź na pytania. Objawy wielu zaburzeń nakładają się na siebie, a każdy pacjent manifestuje je w inny sposób. – Kartkował stronicę grubej książki, jakby szukał w niej odpowiedzi. – WTięc cóż nam zostaje?

Skupiony wzrok błędził po twarzy Jerzego. Na tle białych gór, które majaczyły za oknem, owal jego głowy wisiał jak różowy balon, odcięty od reszty ciała linią kołnierzyka. Wyczuwał, jak napięte mięśnie szyi obracają się sztywno na szerokim karku i drżą z napięcia. Myśli Szycy toczyły się według intuicyjnego szyfru, przeskakiwały niektóre słowa, próbując dokonać podsumowań. Nie pasują do siebie, pomyślał o Jerzym i jego żonie. Nic o niej nie wiem, ale mam przeczucie, że nie pasują, powtarzał w myślach. Odkrycie przyniosło mu ulgę i natychmiast po tym

37

zwątpienie, bo cóż to znaczyło? Przecież nierzadko taka różnorodność mogła gwarantować równowagę. Ludzie dobierali się właśnie na zasadzie przeciwieństw i te przeciwieństwa doskonale ze sobą współgrały. Mógł się mylić, czasami tak było. Dlaczego teraz był taki pewny? Skąd powstało w nim przypuszczenie, że ten duet nie jest trafiony? Któż do końca potrafi zrozumieć kobiece gusty? Szyc za mało znał swoją pacjentkę, miał o niej zbyt jednostronne informacje, by móc do końca wydawać wyroki. Czuł, że przesadził w swoich osądach. Przez pryzmat wrażeń, jakie wywarł na nim Jerzy, chciał dotrzeć do prawdy. To, co wiedział o ich małżeństwie, to zbyt mało, by oceniać jednego człowieka na korzyść innego. Dopóki nie pozna drugiej strony medalu, zanim wszystkie karty nie zostaną odkryte, musi powstrzymać się od ostatecznych wyroków. A może powinien współczuć temu człowiekowi, który przejechał taki szmat drogi, by zapłacić krocie za ratowanie zdrowia ukochanej kobiety. Może w tym właśnie tkwi tajemnica, a nie w nieuzasadnionych awersjach. Kto, nie bacząc na trudności, łapałby się takiej kosztownej deski ratunku jak pobyt w jego klinice? Szyc wędrował w myślach, słuchając równocześnie tego, co mówi Jerzy. A Jerzy miał wiele wątpliwości.

– Nie mogę uwierzyć, że współczesna medycyna nie zna sposobów na odczytanie takich symptomów. Dzisiaj przecież można już prawie wszystko.–Jerzy próbował słowami wydobyć jakieś zapewnienie.

– Słusznie pan zauważył: prawie wszystko. Choć postęp, jaki dokonał się w ostatnich latach w dziedzinie neurologii, jest oczywiście znaczny, nie da się porównać z postępem w innych działach medycyny.

– Słabo mnie pan pociesza.

– Bez przesady. – Szyc wstał z fotela i zaczął przechadzać się po gabinecie. – Możemy już dzisiaj posłużyć się precyzyjną aparaturą. Na przykład dokonać pomiarów impulsów mózgu, określić niektóre związki chemiczne i ich interakcje. Potrafimy przeprowadzić obserwację jego struktur, wywołać ich obraz poprzez aparaty do tomografii komputerowej, rezonansu magnetycznego. Mimo to

38

pytanie o przyczyny tych chorób pozostaje bez odpowiedzi. Wiedza w zakresie genetyki, biologii i psychologii dostarcza nam jedynie sposobów do wejścia w problem. Istnieją teorie wpływające na kierunki badań naukowych, ale tylko nieliczne się potwierdziły. Istnieją dowody na to, że wielki wpływ na występowanie chorób psychicznych i skłonności do depresji mają czynniki genetyczne, psychologiczne i środowiskowe. Wiedza ta pozwala przybliżyć się do

problemu, lecz nie stanowi gwarancji powodzenia. Wciąż za mało wiemy, by działać ze stuprocentową pewnością.

– Czy powodem tego jest zbyt małe zainteresowanie wśród naukowców. Bo na przykład na takie choroby, jak rak czy AIDS, czy chociażby problemy przeszczepów, przeznaczają się olbrzymie nakłady finansowe, gdyż jest to wymuszane przez nacisk społeczeństwa. Bogaci finansują badania z czystego asekuranctwa, chcąc zapewnić sobie tym samym ewentualną drogę do długowieczności. Choroby psychicznej nie widać gołym okiem, na nią się nie umiera w bólach, lecz gaśnie cicho w cieniu sypialni lub na strychu domu, dyndając na grubym sznurze. – W Jerzym z minuty na minutę rosło rozdrażnienie.

– Trudno dopatrywać się w intencjach ludzi przyczyn trudności w leczeniu psychoz. Jest pewna granica w możliwościach poznawczych w tej dziedzinie. – Szyc sięgnął po dzbanek z kawą, nalał jej w obie filiżanki. Kawabyłajeszczcie ciepła i pachnąca. Miała być chwilowym przerywnikiem i elementem obniżającym temperaturę rozmowy. – Musi pan zdać sobie sprawę z tego, że w naturze nie ma niczego bardziej skomplikowanego niż mózg. Dla większego paradoksu, jego wielkość zbliżona jest rozmiarami do owocu grejpfruta, a więc nie jest duża. Składa się tylko z dwóch substancji: białej i szarej, ale za to zawiera 10 do 17 potęgi komórek mózgowych, do tego liczba połączeń międzykomórkowych jest niewyobrażalnie wielka. Proszę zrozumieć, jak trudno jest ogarnąć tę skalę wielkości.

– Może ma pan rację, lecz ja odnoszę wrażenie, jakby w psychiatrii od lat nic się nie działo.

– Ale dzieje się, i to wiele, wiedzą o tym ci, którzy się nią zajmują.

39

– Mogę więc liczyć, że i mnie będzie dane przekonać się o tym?

– Szybciej, niż się pan spodziewa – odpowiedział spokojnie Szyc. – Widzę, że tłumi pan w sobie wielkiego sędziego, a to męczy. Lecz jeśli przyjmujemy, że tam, gdzie najbardziej boli, zaczyna się zdrowienie, to można mieć nadzieję, że ten twardy osąd na coś się przyda.

– Chciałbym w to wierzyć i przekonać się, że jest możliwe.

– W jednej chwili opuściła go cała pewność siebie. Dziwnie sflaczał i ze zmęczenia osunął się głęboko w fotel. Szyc chodził miarowym krokiem po pokoju i wyprowadzał go tym z równowagi. Nagle poczuł się potwornie zmęczony.

– Są rzeczy, których człowiek zawsze może być pewien. – Szyc starym zwyczajem wprowadzał do rozmowy filozoficzny akcent. – Jest ich niewiele, dlatego tak je cenimy. Na pewnikach chętnie się wspieramy, lecz, niestety, są kruche i ulotne. Cóż można wymagać od świata, gdy nawet sami siebie nie możemy być pewni do końca i do końca wierzyć w to, co robimy. Niestety, największa niepewność czeka nas ze strony drugiego człowieka i jest to okrutne doświadczenie. Brak zaufania podważa wszelkie podstawy. A najbardziej boimy się nieznanego i to doprowadza do utraty równowagi – obojętnie i spokojnie komentował wypowiedź Jerzego, nie zwracając uwagi na jego stan, jakby nic się nie zdarzyło. – Niepewność przepełnia lękiem, tym gorszym, im bardziej skrywany. Wtedy najłatwiej się wyizolować. Uciec i jak dziecko schować głowę pod znajomo pachnącą poduszkę. Tak się dzieje z człowiekiem, któremu wiara i nadzieja zostały nagle odebrane.

Jerzy nie odpowiadał, milczeli więc obaj. Potrzebował czasu, by odzyskać równowagę. Był zły na siebie, że tak łatwo poniosły go emocje i że rozkleił się jak mięczak.

– Maria jest silną kobietą – stwierdził, przerywając ciszę.

– Niestety, skomplikowaną i zamkniętą. Trzeba ją dobrze poznać, by zrozumieć. Jaja znam jak nikt. Wciąż powtarzała, jaka jest zadowolona ze swojego życia, z pasjonującej pracy. Musi sobie poradzić z tą chorobą.

40

– Czy tymi słowami chce pan uspokoić mnie czy siebie? – zapytał Szyc.

Jerzy rzucił mu szybkie spojrzenie.

– To pan zna się na ludziach, nie ja. Pan wie lepiej.

– Wszyscy boimy się prawdy, więc udajemy, że ją znamy. Może prawda o Marii jest całkiem inna? Proszę się nie denerwować, ja jestem tu po to, żeby prowokować. W tym gabinecie wszystkie chywy są dozwolone i nie ma żadnej pewności, co za chwilę zostanie powiedziane. – Szyc uśmiechnął się kwaśno, przechylił przez oparcie fotela i poklepał Jerzego po ramieniu. – Niech się pan nie gniewa, to tylko prowokacja.

Jerzy spojrzał na niego, pokiwał głową i sięgnął po filiżankę z kawą.

– Może jest w tym jakaś racja. Może wcale nie znałem mojej żony, tylko tak mi się wydawało. – Rozłożył z rezygnacją ręce. – Myślałem, że ona jest jak dojrzałe wino, boski napój, który nigdy się nie zmienia, nie psuje i nie znudzi, chociaż mijają lata, ono wygląda tak samo, smakuje tak samo i kosztuje majątek, niczym drogocenny klejnot. Wydawało mi się, że taka jest Maria: niezniszczalna.

– Może pańska żona jest jak potrawa. Jej smak zależy od przypraw. Gdy przesadzi się z ostrością, nie jest wcale taka idealna?

– Chyba pan nie chce porównywać jej do zupy? – Jerzy znów się nastroszył.

– Skądże, chcę tylko powiedzieć, że wszystko wymaga właściwej troski i pielęgnacji. Gdy o tym zapominamy, to na konsekwencje nie trzeba długo czekać.

– Nie zaniedbałem jej, tylko ostrzegałem. Nie chciała słuchać, gdy odciągałem ją od książek. Czytała całymi dniami, w pracy i w domu. Wtłaczała w siebie historię wieków i nosiła w duszy cierpienia pokoleń. Zatruiła serce przeszłością, która wcale jej nie dotyczyła. Raz była świętą Kingą, biczującą się z umartwienia, zapamiętała w modlitwie i cncie, to znów przenosiła się do Niemiec, by stać się odważnym Lutrem, walczącym o nowe oblicze chrześcijaństwa, innym razem tarzała się w mrokach średniowiecza, licząc na zbawienie. Wolała przeszłość, mówiła, że to jedyna rzecz, której nie da się zmienić.

41

– Z pana słów wyłania się całkiem inny obraz. Mówi pan o dwóch różnych kobietach, jednej pogodnej i zrównoważonej, innej wrażliwej i szukającej podpory w historii. Która z nich jest prawdziwa?

– Jak to która? – zdziwił się Jerzy. – Obie są prawdziwe. Jedna nie wyklucza drugiej. Maria raz była taka, a raz inna, jak każdy człowiek. Czasami żyła na pełnych obrotach, by zaraz potem zatopić się w refleksjach i wątpliwościach. Może tylko była mniej odporna? Może czasami traciła tożsamość i wyprawiała się w dalekie podróże do swojej książkowej krainy, ale nie na długo. Zawsze w końcu wracała.

– Myślę sobie – Szyc zatrzymał się na chwilę i spojrzał Jerzemu prosto w oczy – że tym razem pańska żona wyjechała na dłużej i nie wróci, dopóki sama nie uzna tego za stosowne. Ten wulkan gniewu i żalu, który w niej eksplodował, musi wygasnąć.

– Więc zamierza pan tylko czekać? – zachnął się Jerzy.

– Cierpliwe czekanie, działanie farmakologiczne i oczywiście psychoterapia. Wykorzystamy, co się da. Moje doświadczenia wykazują, że nie wolno odsuwać na bok tradycyjnych metod. Więc z drugim człowiekiem jest być może najpotężniejszą naszą bronią.

– Jak chce pan to przeprowadzić, skoro z pacjentką nie można wcale nawiązać kontaktu?

– Mamy na to sposoby, zapewniam pana, że skuteczne.

– Chciałbym zapoznać się z nimi, zanim wyjadę. Będę spokojniejszy o zdrowie żony.

– Niech pan będzie dobrej myśli. Nasza klinika to nie jest przybytek szarlatana. – Szyc żartował nieco urażony.

– A jednak wolałbym wiedzieć. –* Kiedy pan wyjeżdża?

– Pod koniec przyszłego tygodnia muszę wrócić do kraju.

– To się dobrze składa. Wystarczy czasu, żeby zobaczyć pan na własne oczy, co tu się będzie działo. Pracę zaczynamy o ósmej, ale na oddział można wejść wcześniej.

– Lubię wcześniej wstawać. Postaram się przyjeżdżać z samego rana.

42

– Jest jeszcze wiele spraw, które musimy omówić. – Szyc usiadł za biurkiem. – Będę pana zamęczał pytaniami.

– A co chciałby pan jeszcze wiedzieć?

– Interesuje mnie wszystko, co wydarzyło się wcześniej. Na przykład, jak zachowywała się żona przed tym, zanim znalazł ją pan nieprzytomną? Czy była inna, bardziej lub mniej nerwowa, a może przygnębiona?

– Działo się z nią coś dziwnego. Przez kilka dni nic nie czytała ani nie pisała. To było do niej niepodobne. Od kiedy pamiętam, książka towarzyszyła jej wszędzie. Mało ze sobą rozmawialiśmy. Unikała mnie, zamykała za sobą drzwi do pokoju. Coś ją dręczyło, na pewno.

– Niczego się pan nie domyślał?

– Mówiłem już, mało ze sobą rozmawialiśmy. Wiem tylko, że kilka dni wcześniej pokłóciła się z siostrą. Miała też kłopoty w pracy.

- Jakiego typu?
- Ktoś narobił im bałaganu w dokumentach, zniweczył wiele miesięcy pracy.
- To znaczy kto?
- Trwa dochodzenie, sprawa nie została jeszcze wyjaśniona.
- Czy to było na tyle poważne, by mogło spowodować szok i amnezję? Jak pan sądzi, panie Jaros?
- Nie nazywam się Jaros. To nazwisko żony. Ja nazywam się Nieziółowski – wyjaśnił zdziwiony.
- Przepraszam, nie wiedziałem. – Teraz Szyc wyglądał na speszzonego i zbitego z tropu. Miał sobie za złe, że popełnił taką niezręczność. – To nieporozumienie. Zasugerowałem się nazwiskiem na karcie chorobowej.
- Nie ma sprawy. Jestem do tego przyzwyczajony.
- A tak z ciekawości. – Szyc nie wytrzymał. – Czy żona miała coś przeciwko panu nazwisku?
- Raczej nie.
- Więc dlaczego?
- Gdy braliśmy ślub, Maria miała prawie trzydzieści lat. Wtedy trudno rozstawać się z przyzwyczajeniami. Nie chciała komplikować sobie życia i pozostała przy swoim nazwisku.

43

Szyc chwilę się zastanawiał i zanim zadał kolejne pytanie, długo pisał coś na marginesie kartki.

- Wspominał pan wcześniej, że gdy braliście ślub, żona już pracowała. Można wiedzieć gdzie?
- W Bibliotece Narodowej – wyjaśnił Nieziółowski.
- Jako kto?
- Jako ekspert starodruków. Gdy ją poznałem, była asystentem, teraz jest już po doktoracie i zajmuje się katalogowaniem starych tekstów, a w szczególności psalterzy. Proszę mi wybaczyć – spojrział ze skruchą – ale nie jestem znawcą i nie potrafię wyjaśnić szczegółów. Ośluchałem się z niektórymi zwrotami i wiem, co to tekstura gotycka, antykwą – te słowa najczęściej słychać było w jej rozmowach. Niestety, reszta do dziś pozostała dla mnie tajemnicą. Jakoś nie wciągały mnie tajemnicze mroki historii, choć czasem co nieco wpadło mimochodem do ucha. Na przykład wiem, że tuż przed wypadkiem – zaczął szukać czegoś w kieszeniach – Maria pracowała nad jednym z najstarszych psalterzy, zdaje się nad puławskim, napisanym jeszcze przed wynalezieniem druku, a więc bardzo starym, oraz nad książką. Nie orientuję się dokładnie, co to było. Wiem tylko, że pochłonęło to mnóstwo czasu i pieniędzy na wyjazd za granicę.
- Przypuszcza pan, że to mogło spowodować u żony takie załamanie?
- Bardzo to przeżyła, choć bezpośrednio nie była odpowiedzialna za tę pracę. To profesor Brzeski, kolega żony, miał być autorem nowego tłumaczenia psalterza i współautorem książki. To on był szefem. Chciał przed odejściem na emeryturę zostawić nauce polskiej jeszcze jeden ślad po sobie.
- Wspominał pan o nieporozumieniach w rodzinie. – Szyc pominął na razie osobę Brzeskiego. – Czego one dotyczyły?
- Tak, to była przykra sprawa, a właściwie wciąż jeszcze jest. Chodzi o dom, w którym mieszkamy, spadek po rodzicach mojej żony albo ściślej po moim teściu. To trzypiętrowa kamienica w samym centrum miasta. Starsza córka Jarosów, Anna, chce, byśmy jedno z mieszkań wynajmowanych przez nas w tym domu oddali jej na własność. Uważa się za niesłusznie pominiętą w podziałach

44

spadkowych. To nie jest prawda, ale jej się wydaje inaczej, więc draży skałę. Traktujemy z żoną nieco pobłażliwie te pretensje.

Szyc bez przerwy pisał coś w swoim zeszycie. Jerzego denerwowało jego milczenie. Zastanawiał się, czy lekarz ma prawo pytać o intymne sprawy swoich pacjentów? Czy pacjent musi odpowiadać? Czy bez tefspowiedzi nie można pomóc jego żonie? Szyc telepatycznie odebrał jego myśli.

- Nie będę pana dłużej męczył. To nic przyjemnego opowiadać obcemu człowiekowi o swoich osobistych sprawach, ale proszę mi wierzyć, że jest to konieczne. Stojący pod ścianą aparat wydał z siebie gardłowy rechot. Obaj spojrzeli w tym kierunku.
- To automat do oznaczania poziomu leków. – Szyc pospieszył z wyjaśnieniem. – W kuracjach, które stosujemy, podaje się dużą ilość środków farmakologicznych, więc trzeba stale określać ich stężenie w organizmie, żeby nie wyrządzić

pacjentowi krzywdy, to znaczy nie przedawkować. Ten aparat jest bardzo pomocny, służy mi do przeprowadzania własnych obserwacji i pomaga w diagnozowaniu specjalnych przypadków. Jak pan widzi, jest to kolejny dowód na to, że jednak w psychiatrii coś się dzieje. Ale wróćmy do pańskiej żony. Jeszcze tylko chciałbym zapytać o dzieci. Czy macie państwo dzieci?

– Niestety, nie.

– Czy będę niedyskretny, jeżeli zapytam dlaczego?

– To drażliwy temat, nie przeczę. – Oczywiście Jerzego poszybowały za okno. – Żona twierdziła, że już za późno na rodzenie dzieci. To znaczy, że jest za stara – sprecyzował.

– Pan był innego zdania.

– Chciałbym mieć dziecko, ale nie rozpaczam z powodu jego braku. Pogodziłem się. – Przeczesał palcami jasne włosy i spojrzął na swoje paznokcie. Były nienagannie czyste i wypielęgnowane, potarł nimi o nogawkę spodni, żeby nabrały lepszego połysku. Szyc zerkał ukradkiem, zdumiony tymi zabiegami. Też lubił się dobrze prezentować, ale nie znosił przesady. Nie czuł sympatii do Jerzego, przecież nie musiał. W końcu to jest facet. Co innego kobiety. Kobieta zadbana zawsze robiła na nim duże

45

wrażenie. Nawet uroda nie była ważniejsza od oprawy. A może jestem zazdrosny, pomyślał. Czyżbym naprawdę był zazdrosny o to umięśnione ciało? Spojrzął na swoje dłonie, pokryte cienką, wylugowaną częstym myciem skórę, na małe stopy, wystające nieśmiało z nogawek, na kościste kolana, sterczące pod materiałem jak dwa maszty. Nigdy nie podejrzewał siebie o próżność. Rozmyślenia przerwał mu hałas dobiegający z aparatu. Szum mieszających się cieczy, który towarzyszył przez cały czas ich rozmowie, przemienił się w donośny stukot. Z otworu drukarki wysunęła się papierowa taśma, po której potoczyły się równym szeregiem kolumny czarnych cyfr.

*

Mniej więcej w połowie pobytu Jerzego w Ostam doktor Szyc przedstawił mu wstępne rozpoznanie. Nie znaczy to wcale, że dał jakąkolwiek nadzieję czy szansę rychłego wyleczenia. Próbował jedynie zanalizować dotychczasowe postępy w diagnozowaniu, gdyż według niego to one miały w znaczący sposób zdecydować o metodach terapeutycznych. Jerzy, osłuchany nieco z problemami psychiatrii, początkowo uczestniczył w rozmowie, wymieniając z lekarzem swoje spostrzeżenia. Jednakże w miarę zgłębiania tematu, zaczynał tracić wątek i poruszane sprawy powoli wmykały mu się spod kontroli. Po prostu przestał rozumieć, o czym się do niego mówi, a gdy Szyc usiłował wytłumaczyć zawiłości zjawisk sennych i objaśniać fizjologię snu, pogubił się całkowicie. Słuchał więc cierpliwie, kiwał ze zrozumieniem głową i milczał.

Szyc, trzymając przed sobą duże kartki papieru pokryte skomplikowanymi wykresami, próbował powoli opisać wszystko od początku, i wodząc palcami po gęstych liniach raz wznoszących się wysoko, a raz opadających, opowiadał mu o tajemniczych fazach snu REM, o wrotach snu i czuwania, o niewidomych, którzy żyją tylko w rytmie zegara biologicznego, bo nie widzą dnia i nocy. Narzekał na Edisona, przez którego wyzwolone spod władzy ciemności społeczeństwo zaczęło żyć dwadzieścia cztery godziny nadobę, nie przejmując się ani wschodem, ani zachodem słońca, i o Marii, której ten problem dotyczył. Podsumowując

46

swoje wywody, z nadzieją, że już dość dokładnie wyjaśnił temat, przeszedł do sedna sprawy:

– Przez kolejne dni i noce pańska żona podłączona była do polisonogramu. To jest aparat, który pozwala określić strukturę snu i podpatrzyć jego przebieg.

– Czy to jest bolesne badanie? – zapytał Nieziołowski.

– Zupełnie bezinwazyjne, w przybliżeniu wygląda tak jak badanie EKG. Tym przyrządem zbadaliśmy długość i przebieg fal mózgowych w nocy i w dzień. Zegar biologiczny właściwie nie działa już u niej od dłuższego czasu, a organizm znajduje się w fazie wiecznego snu, ale dość dziwnego, bo pozbawionego swoich naturalnych stadiów, pozostając w tak zwanym śnie wol-nofazowym, i nie wchodzi w żadną z faz pozostałych. Nieznaczące ruchy gałek ocznych sugerują, że z jakiegoś powodu nastąpiło u żony całkowite oczyszczenie pamięci i nawet we śnie nie widać oznak jakichkolwiek procesów myślowych.

– Czy takie przypadki często się zdarzają? – zapytał Jerzy.

– Bardzo rzadko. – Ręka doktora błędziła po spoconym czole. Widać było, jak

bardzo zależało mu na wyjaśnieniu szczegółów. – Kilka lat temu mieliśmy pacjentkę, która została porażona prądem. Pamiętała wszystko do dnia wypadku, a potem każdy dzień do momentu, aż nie poszła spać. Sen każdej nocy wymazywał jej pamięć sprzed snu. Tak więc codziennie musiała wszystkiego uczyć się od nowa. Prawdopodobnie pod wpływem urazu porażone zostały struktury kontrolujące i gdy zdrowi ludzie rejestrują nocą wrażenia z przeżytego dnia, u niej sen wszystko wymazywał. Jednakże ta kobieta pod względem czynności normalnie funkcjonowała, chodziła, jadła, rozmawiała, a pańska żona przez cały czas śpi, i to głęboko. Prowadzi swoje życie poza wszelkimi rytмами.

– To znaczy, że nie wie, kiedy jest dzień, a kiedy noc?

– Właśnie. Żyje rytмами typowymi dla niemowląt. Ożywia się tylko na pory karmienia, wtedy, gdy czuje głód. Odruchy obronne organizmu upominają się o swoje. To brzmi śmiesznie. – Szyc usprawiedliwiał porównania. – Ale pozwoli panu lepiej wszystko zrozumieć. Niemowlęta śpiadługo, bo wymaga tego ich

47

rozwijający się mózg. Sen to cena, jaką musimy zapłacić za skomplikowany układ nerwowy, dlatego przesypiamy jedną trzecią doby. Ale u zdrowego człowieka to stan prawidłowy, zgodny z jego biologicznym zegarem.

– W dzisiejszych czasach zegarem biologicznym nikt się specjalnie nie przejmuje – wtrącił Nieziołowski.

– O tak. Kiedyś było inaczej. Nasi przodkowie żyli z nim w zgodzie. My skracamy wciąż długość snu, wydłużamy czas aktywności fizycznej. Robimy to wszyscy, i ja, i pan. To wydaje się całkiem normalne. Zatruwamy się najróżniejszymi używkami, stresujemy, jesteśmy permanentnie niewyspani. Odkreślamy dzień za dniem i w każdym z nich jest coraz mniej miejsca na odpoczynek, a więcej na niezdrową aktywność. Potem szukamy ratunku u lekarza, bo organizm wybity z naturalnych rytmów odmawia posłuszeństwa. Jedynym sposobem, żeby się wyrwać z błędnego koła, są środki nasenne.

– Zdaje się, że medycyna zadbała o to, by pomóc człowiekowi zasnąć, a zapomniała o tych, którzy sami nie mogą się obudzić – zakpił.

– Śmieszne, ale prawdziwe. Okazuje się – zgodził się Szyc – że tajemnice naszego snu wciąż czekają na prawdziwego odkrywcę. Niestety, ja już tego nie zdążę dokonać. – Uśmiechnął się. – Choć bardzo bym chciał. Filozofia snu, stara jak sam sen, otwiera się niezmiennie każdej nocy i wytycza granicę czuwania. Tak wymyśliła to natura, tak jest i pewnie będzie, dopóki żyją ludzie, dopóki nie znajdzie się uczoney, który wymyśli coś w zamian. Wiemy o śnie bardzo dużo, lecz wciąż nie dotknęliśmy jeszcze samego sedna. Trudno powiedzieć, czy to dobrze czy źle dla człowieka. Bo jeśli sen to już ostatni bastion ludzkiej prywatności, ukryte gdzieś głęboko jądro duszy, a w nim zapisana tajemnica ziemskiego bytu, czy warto ją znać? Może dzięki temu, że naukowcy nie dobrali się jeszcze do snu i w nim nie grzebią, pozostajemy wciąż sobą?

– To znaczy, że nie wiemy jeszcze nic o tym, dlaczego trzeba spać i czemu tak trudno człowiekowi bez tego snu wytrzymać?

– Wiadomo już dokładnie, gdzie w mózgu znajduje się zegar

48

biologiczny, i uważa się, że właśnie tam jest ukryty ośrodek snu. Ale co nim kieruje, można jedynie przypuszczać.

– Przypuszczenia, hipotezy, domysły, to niewiele.

– I tak, i nie. W zasadzie brakuje jeszcze tylko jednego ogniwa – zapłonu albo jak kto woli, włącznika i wyłącznika.

– Ależ takim włącznikiem jest przecież zmęczenie i czas – wtrącił Jerzy.

– To byłoby zbyt proste. – Szyc się zaśmiał. – Wszystko, czego się dotkniemy, to skomplikowane procesy, a nie zwykły przewód elektryczny. Podejrzewa się ostatnio, że jest jakieś białko, które gromadzi się w organizmie w ciągu dnia, gdy funkcjonujemy, i powoduje jakby zatrucie. Coś podobnego jak kwas mlekowy, który się tworzy w przepracowanych mięśniach. Gdy stężenie tego białka jest zbyt wysokie, następuje stopniowe wygaszanie czynności organizmu, wyłączenie świadomości i sen. W czasie snu poziom trującego białka opada. Gdy spadnie do zera, czujemy się wyspani i możemy zaczynać od nowa. To białko nazwano hipotoksyną. Niestety, są to tylko przypuszczenia, bo jak dotąd nie udało się go jeszcze wydzielić i zbadać.

– Ale co to może mieć wspólnego z moją żoną? – Jerzy spróbował sprowadzić rozmowę na poziom konkretny.

– Jeżeli ta substancja istnieje, to może oznaczać, że jakiś czynnik zewnętrzny

spowodował zablokowanie jej rozpadu. Wysokie stężenie tej hipotoksyny powoduje u pańskiej żony stałe wyłączenie świadomości.

III

Gdy otworzą się wrota snu, nikt nie potrafi się oprzeć, pogardzić rozkoszą ogarniającą ciało chwilę po tym, jak zamknie się oczy i odpłynie w krainę REM. Patrząc na Marię, można by powiedzieć, że dokonała ostatecznego wyboru i porzuciła trudy życia dla przyjemności spania. Poszybowała ku malowniczym formom iluzji, porzucając okrutną rzeczywistość i gardząc przewrotnymi i zawiłymi formami bytu.

W białym pokoju nasyconym ciszą słyhać było jedynie, jak życiodajne krople elektrolitów osuwają się po ścianach wężyka wprost w przekłutą żyłę pacjentki – Maria piła. Na ekranie monitora zielona linia tętna raz wznosiła się, strzelając wierzchołkami, to znów opadała, prostując się jak napięta lina – to biło Marii serce. Płasanie nitki tętna i muzyka kropelek cieczy składały się na jedyne oznaki życia, wyznaczały jego rytm. Tak Maria zaszczycała tych, co o nią dbali. Jerzy spędzał przy jej łóżku kilka godzin dziennie. Przyjeżdżał wcześniej rano, zanim podano śniadanie, a wyjeżdżał po obiedzie, umykając do hotelu przed nadciągającym mrokiem. Nie narzucał nikomu swojej obecności. Pojawiał się i zniknął jak cień, niemy opiekun, nieugięty i wytrwały. Nie rozmawiał z nikim i nie reagował na próby nawiązywania kontaktów. Personel był wyjątkowo grzeczny, lecz mdły ton przesadnie brzmiącej uprzejmości na dłuższą metę był nie do wytrzymania. Wszyscy chodzili tak uśmiechnięci, że aż nieprawdziwi. Czasami miał uczucie, jakby przebywał w nierealnym świecie. Brakowało mu oznak zwykłej spontaniczności, naturalnej swobody, do jakiej przywykł. Wszyscy byli nieomylni i nieskazitelni, dookoła panował nienaganny porządek i rygor. Źle się czuł w tym idealnym świecie. Jedynie Szyc robił wrażenie nor-

50

malnego. Jerzy wdawał się z nim w częste polemiki, spierając o metody leczenia. Choć nie znał się na nich, lubił mieć w sprawach żony prawo do własnego zdania. O czym rozmyślał długimi godzinami, wpatrując się nieruchomo w krajobraz za oknem, jaki układał plan na nadchodzące czasy, co zamierzał po powrocie do domu? W milczeniu wpatrywał się w wysokie szczyty Alp, w niebo, obserwował ruch samochodów przed kliniką, liczył drzewa przy drodze i ptaki na drzewach, nawet przelatujące samoloty, i czekał. Czasami siadał przy Marii i wpatrując się uparcie w jej bezwolne ciało, próbował wskrzeszać obrazy z ich wspólnego życia i tym usiłował się krzepić. Euforia pierwszych dni już minęła. Nadzieje związane z przyjazdem do Ostam straciły swoją moc. Jerzy popadał w odrętwienie. Sprawy przemykające się za horyzont problemów z Marią nie zajmowały na razie jego uwagi, czekały cierpliwie na uboczu, licząc na rychłe zainteresowanie. A czas płynął nieubłaganie. Jerzy musiał niebawem wrócić do domu, do pracy, do swoich interesów. Nie dało się dłużej tego odkładać. Takie było zresztą założenie. Zawiezie żonę i wróci. Dopiero w Ostam zrozumiał, że to będzie trudne. Najpierw musiał upewnić się, czy może zaufać Szycowi: przyjrzeć się z bliska, jak wygląda opieka nad chorymi, i upewnić, czy nie popełnił pomyłki, przywożąc ją tutaj. Powinien coś postanowić, lecz nie miał odwagi. Nie chciał otwarcie przyznać, że jest zmęczony tą sytuacją i trochę rozczarowany. Z całych sił odrzucał na bok dręczące wątpliwości, oszukiwał siebie pozornym spokojem, choć w duszy gromadził się gniew. Przecież jest gdzieś granica cierpliwości, Jerzy stał na jej krawędzi. Trwanie w nużącej bezczynności stawało się nieznośne, wycofanie z aktywności mogło skończyć się katastrofą i utratą pracy. Walczył z wątpliwościami. W końcu nadszedł ten dzień i nie wytrzymał. Otrząsnął się z letargu i postanowił – dość. Kończy się czas przeznaczony dla Marii – wyjeżdżam! Po wyjeździe Jerzego zrobiło się jeszcze ciszej. Kiedy był obok, coś się działo. Stał lub siedział, milczał, a czasem mówił do niej różne rzeczy. Mówił, bo chciał opowiadać jej o cudach, które

51

na nią czekają, jeśli wróci. Opowiadał, obiecywał, złościł się i urągał, że jest okrutna i mściwa. Czasami wpadał w stan duchowego natchnienia i roztrząsał wszystko na nowo, jeszcze raz, do granic obłędu.

A ona drwiła z jego starań okrutnie i milczała. Jerzy tracił nadzieję. Czternaście dni u jej nóg, początkowo obiecujące, teraz beznadziejnie bezskuteczne. Czas było wracać do domu. Miał dość, musiał odpocząć. Nie wytrzymał już tego napięcia, tej samotności. Nie mógł znieść twarzy lekarza, gdy ten rozkładał ręce i mówił: „Trzeba czekać”.

– Czekać, czekać – przedrzeźniał Jerzy. Obrzydliwe słowo jak ość w gardle przypominało stale o sobie, jak odcisk na pięcie bolało przy każdym kroku. Jak pozbyć się tego słowa, zmienić je w słowo: dostać, odebrać, odzyskać – a może: zrezygnować?

Gdy Jerzy zęgnął się z Marią, myślał z rozpaczą, czy jej nie straci, a wraz z nią nadziei. Patrzył w puste oczy i cichutko nucił na pożegnanie jej ulubioną melodię. Niski głos jak bajka na dobranoc miał jej przynieść uczucie więzi i spokoju. Melodiajak klucz białych chmur unosiła się nad ich głowami, a potem spłynęła mgłą na rzęsy Marii. Jerzemu się zdawało, że lekko zadrżały, zamrugały, jakby chciały powiedzieć: „Słyszę, słyszę”. Patrzył w nie długo, lecz nadaremnie.

Szedł różnym krokiem wprost w oszklone drzwi, które jak otwarta brama więzienia obiecywały wolność. Po drodze odpinał niewidzialne kajdanki, rzucał za siebie grube liny i łańcuchy – poczuł ulgę. Nie potrafił jej ukryć przed sobą ani przed światem. Coś pchało go jak najdalej od tego budynku, od białego pokoju, w którym spędził całe dwa tygodnie. Czuł, że jeszcze dzień i się udusi. Puste białe ściany, chłód aparatów i cisza były przeraźliwe jak przedśmionek śmierci. Obojętność Marii, duszący zapach lekarstw – przywarło to do niego jak pleśń, od której nie można było się uwolnić. Dusił się. Gdzieś wysoko pod gardłem zbierała się gorycz, zaciskał stalowy golf, pod powiekami piekły łyzy żalu. Przed nim majaczyły wysokie góry i pachniało wolnością. Samopoczucie zawsze zależało od pogody, nabierało właściwości pór roku, raz jaśniało majowymi kolorami, innym razem zasnute było

52

ponurym mrokiem listopada. Teraz czuł dokładnie to, co miał przed oczami – biel, aż po wierzchołki Alp, i błękit nieba. Wyszedł na zewnątrz w samej marynarce, lecz nie było mu zimno. Energia, której przyplływ nagle w sobie poczuł, grzała go i rozpierała. Powoli wypełniał się światłem i ostrym powietrzem stycznia”. Nabierał go głęboko w płuca i wypuszczał. Biała para wydobywająca się z ust, wyrzucała ze środka cały żal o rozwiane marzenia. Rozłożył szeroko ramiona i westchnął: Wracam do domu, mam dość. Zbiegł ze schodów wprost pod drzwi przygotowanego do drogi samochodu. Na siedzeniu leżała walizka i torba. Tyrolski śpiew z radia popędzał do drogi. Zatarł dłonie, jakby przed sobą miał niezły kawał roboty, i wskoczył lekko za kierownicę. Wnętrze wypełniał zapach fajkowego tytoniu i gorzkich, męskich perfum. Tak pachniała jego wolność, to był przedśmionek świata, do którego wracał – efektownego, pełnego bogactwa i fałszu, cudzych pieniędzy, i nieodłączny widok schabowego z kapusta w eleganckim opakowaniu. To był jego świat. W nim czuł się jak ryba w wodzie. Pływał raz głębiej, raz płycej, ale zawsze potrafił we właściwym miejscu dotrzeć do brzegu. Urlop, który wziął na ten wyjazd kończył się, to i dobrze. Może praca, długie godziny spędzone wśród gwaru i szumu pomogą mu ocucić uspiony instynkt. Był nieszcześliwy z powodu Marii, ale nie potrafił tak długo rozpacznać.

Doświadczenia mu nie brakowało, otarł się w życiu już o niejedno i wiedział, że dla świata jego sukcesy i porażki nic nie znaczą, wszystko i tak toczy się dalej. Każdy sam musi sobie radzić z kłopotami, każdy może liczyć tylko na siebie. Już nie raz dał dowód na to, że potrafi działać. Obsesyjnie próbował sprawdzić się w interesach i marzył o karierze wielkiego biznesmena. Chyba jednak brakowało mu pewnych predyspozycji, skoro mimo wysiłków kolejne pomysły na zarobienie wielkich pieniędzy nie powiodły się. Nie wystarczało, że zarabiał więcej niż inni, że robił coś, co część ludzi uważała za prawdziwy majstersztyk. Rzucał się w wir czynów, nie bacząc na ostrzeżenia, wbrew możliwościom, licząc na łut szczęścia lub przypadek. Rozliczne interesy rozpoczynane bez wyczucia, nietrafione spółki czy źle

53

ulokowane pieniądze, przynosiły niemało rozczarowań. Gdy kolejne niepowodzenie pukało do pustej kasy, wydawało się, że już ma dość. Lecz to trwało tylko chwilę, bo z porażek leczył się szybko. Gdy nowy pomysł zaświtał w głowie, był natychmiast gotowy do działania. Właśnie za to nie lubiła go Anna, starsza od Marii i bardziej doświadczona, zbyt mocno stojąca na ziemi. Do pomysłów Jerzego podchodziła z dystansem. Podziwiała siostrę za wyrozumiałość w stosunku do męża i ślepa miłość, która jak nadczynność tarczycy wyczierała w jej każdym spojrzeniu. Maria, dość zamożna, nie przejmowała się poczynaniami męża, wprost przeciwnie. Lubiała, gdy porywał się do kolejnych czynów. Był wtedy taki podniecony. Mówiła do Anny:

– Gdy go coś zaciekawi i podnieci, jest jak mały chłopiec, rozmawia tylko o tym i poświęca się temu bez reszty. Nieważne, że coś tam straci, liczy się pasja. – Lubiła mężczyzn, którzy potrafią żyć pełnią życia, mają swoje męskie sprawy i nie zwracają tym głowy kobietom. – Mnie nie przeszkadza jego sposób spędzania czasu – tłumaczyła siostrze. – Nie mamy dzieci ani żadnych spadkobierców. Dla kogo mamy ciułać? Zadowolam się tym, co posiadam. Praca wypełnia mi dzień, a Jerzy jest jego osłoda. Nie chcę go zmieniać, niech walczy, jeśli ma o co. Wiedziałam, że taki jest, gdy za niego wychodziłam. Zawsze snuł szalone plany. Byli małżeństwem od siedmiu lat. Poznali się za granicą. On studiował, ona przebywała na rocznym stypendium. Była dla niego za poważna, ale jednocześnie spragniona czegoś świeżego i nie tak skostniałego jak to, wokół czego obracało się jej życie.

Zbyt dorosła, jak na swój wiek, poruszała się jedynie w świecie fantazji i żyła w krainie książek, w których losy bohaterów zajmowały ją bardziej niż własne. Potrafiła tak mocno związać się z nimi, że jej własne życie wcale się nie liczyło, jakby mogło istnieć jedynie w połączeniu z przeżywaną fikcją literacką. Zapominała wtedy o swoich potrzebach i dryfowała samotnie po orbitach cudzego czasu. Nieraz jej się wydawało, że gdyby mogła nic innego w życiu nie robić, to czytałaby wciąż książki. Niestety, dorosłość była okrutna i zmusiła ją do wzmoczenia życiowej aktywności.

54

– Musisz wreszcie zdecydować – tak oświadczył jej ojciec, kiedy skończyła średnią szkołę – kim chcesz być? – Nie próbowała nawet wybierać. Wiedziała to od dawna. Zdała na bibliotekoznawstwo i już po kilku dniach z rozkoszą zabrała się do studiowania książek. Teraz trochę innych, nieco trudniejszych.

Otóżała się cierpliwą i dokładną studentką. Może nieco ekscentryczną i zupełnie niewspółczesną, ale za to oddaną nauce. Nie przeszkadzało jej to, że wyróżniała się wśród koleżanek wyglądem i zainteresowaniami, że życie mijało ją gdzieś na granicy dnia i nocy, gdy zatopiona w stertach książek nie wiedziała o Bożym świecie. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Często, gdy koleżanki z ciekawości pytały, dlaczego dobrowolnie rezygnuje z praw młodości, bez zastanowienia odpowiadała, że młodość jej nie interesuje.

Została wierna tej zasadzie do końca. Nawet ślub z Jerzym niczego w niej nie zmienił. Choć po tym nieco inaczej traktowała swoje potrzeby, to jednak pozostała nieodwracalnie wierna książce. Gdy porzuciła książkę współczesną dla starych, obgryzionych przez mole książek, zaczęła się prawdziwa zabawa. Poznać myśli ludzi, którzy żyli tak dawno. Zrozumieć ich sposób życia to jakby przenieść się za pomocą słów w tamte czasy, znaleźć się pomiędzy swoimi przodkami. Bezbolesna teleportacja wstecz. Bez jakichkolwiek kosztów, jeśli nie liczyć czasu potrzebnego na poznanie trudnych metod pisania i sposobów przekazywania starych tekstów.

Mijały lata, a Maria doskonaliła swój warsztat. Szybko się na niej poznano, a że nie była żadna władza, tylko wiedza, bardzo przydała się tym, którzy na jej pracowitym grzbiecie mogli się bez trudu pięć po szczeblach kariery. Nie szukała zaszczytów. Wystarczyło jej, że mogła być w oku cyklonu i bez niczyjej łaski brać udział w wielkich odkryciach i przyczyniać się do wzbogacania księgozbiorów. Potrafiła wiele, więc dość szybko została głównym, choć nie utytułowanym mistrzem w zawodzie.

Jerzy był czymś, co się jej nagle przydarzyło. To były czasy, gdy już nieco okrzepła w swoich zawodowych pasjach i usatysfakcjonowana osiągnięciami zaczęła się w końcu przyglądać innym.

55

Najpierw dla porównania, potem z ciekawości, a w końcu z potrzeby. Dużo później niż jej rówieśniczki zarejestrowała obok siebie obecność mężczyzn. Jerzy pierwszy pokazał jej, co mężczyźni potrafią. W wyposzczonej ziemi ziarno miłości szybko wykiełkowało i dało plony w postaci konkretnych decyzji. Wracali do kraju, ona wcześniej, on pół roku po niej, by zaraz po tym połączyć swoje drogi na dobre i na złe. Pozostali ze sobą przez siedem lat, a ponieważ czas nie ugasił jeszcze ich wspólnych ognisk, wydawali się wciąż zakochaną parą. Jerzy był przystojnym, pociągającym mężczyzną, Maria zaś – dobrze zbudowaną, klasyczną w stylu kobietą. Czarne, smoliste włosy błyszcząły niespożyтым blaskiem, podobnie jak jej oczy na widok nie rozpracowanych inkunabułów. Potrzebowała kogoś, kto nie odbierze jej wolności do robienia tego, co lubi. Wybrała go, bo potrzebował jej, a nie jej czasu. Dla kobiety wolność to stan pewnego

uporządkowania, a dla mężczyzny anarchia. W takim związku jak ich dla obu tych filozofii wystarczyło miejsca. On czuł się mężczyzną jutra, więc do pełni potrzebna mu była kobieta dzisiejsza, a może nawet wczorajsza, jak mawiał: młode wampirzyce ssą krew pełnokrwistych mężczyzn, więc bezpieczniej jest znaleźć się w objęciach statecznej niewiasty.

IV

Maria zatrzymała się w połowie drogi pomiędzy tym, kim kiedyś była, a tym, kim być przestała. A przestała w pewnym sensie być istotą myślącą. Niby żyła, a jednak, jak złota rybka w szklanej kuli, zamknięta w niewielkiej przestrzeni, w swym świecie ograniczonym do ubogiej fizjologii, wahała się, w którą płynąć stronę. Co ją trzymało przy życiu i co ją od niego oddalało, pozostawiła w dalszym ciągu w wielkiej tajemnicy. Trwała w stanie pełnego wyzwolenia i nawet aromatyczne kąpiele ze wspomnień nie zaprzętały jej uspiętego umysłu. Wyłączyła receptory, uwolniła ciało od wszelkich wpływów i odeszła poza zasięg ludzkich możliwości. Skutecznie zerwała kontakty z otoczeniem i z pogardą wyrażoną obojętnością wyniszczonego ciała, separowała resztki woli od zatrutej tkanki. Sporadyczne ruchy, ostatnie oznaki życia nie wyrażały niczego. Jej drobne dłonie pełzały po pościeli, wciąż w tym samym kierunku, raz w przód, raz w tył, wydeptując na pościeli drogę donikąd. Oczy, czasami lekko otwarte, bez wyrazu, zapadły się w oczodoły i nie reagowały na zmiany oświetlenia. Nie cieszyło ich słońce wpadające o zachodzie różowym blaskiem ani biel śniegu iskrzącego się królewsko, ani błękit lazurowego nieba w samo południe. Choć kobiety, sprzężone jakąś tajemniczą siłą z naturą, bardziej od mężczyzny reagowały na jej uroki, tym razem ta nie wyjaśniona więź nie dawała o sobie znać.

Nic nie wzruszyło niezmaconej ciszy w pokoju ani nie złamało uporów w martwym wyrazie twarzy Marii. Co bolało tak bardzo w środku gasnącego ciała, co wymazało wspomnienia, przecięło ścięgna łączące go z duszą? Jaka niespodzianka, jaki podarunek zaskoczył ją pewnego dnia, co nią tak wstrząsnęło, że wciąż

57

uparcie milczała? Milczała nie tylko przed innymi, milczała również przed sobą, jakby bała się musnąć myślami tego, co zasłoniło na zawsze obraz za oknem, a ją zamknęło na długo w pokoju bez drzwi. Droga na drugą stronę, na brzeg, z którego już się nie wraca, migotała kuszącym blaskiem, choć nie obiecywała, że po tamtej stronie da się wymazać z pamięci ziemskie bytowanie, że spotkanie z ziemią obiecaną wszystko załatwi. Czy to możliwe, żeby świat człowieka zawierał się w nim samym i jak wiecznie głodny ptak ranił, dziobiąc i koląc?

Życie dociera do nas przez szczegóły. Chcemy prawd uniwersalnych, a przypatrujemy się drobiazgom, i to one psują nastrój, zawodzą. Maria poczuła ten smak zawodu. Wybrała samotność w pełnym wymiarze. Opuściła nawet sama siebie, dryfując w powietrzu wyssanym z uczuć i wrażeń. Nie miał dla niej znaczenia kształt księżyca ani słońca, smak truskawek, zapach maciejki. Porzuciła nawet swoje książki, najważniejszy bagaż na pokładzie łajby, którą przepłynęła swoje dotychczasowe życie. Może to był żart albo czary rzucone przez przodków, a może spełniło się wreszcie marzenie podróży do przeszłości, by na własne oczy poznać bohaterów historii. Czy znajdzie się ktoś na tyle przebiegły i mądry, by zawrócić ją i pomóc na nowo odnaleźć drogę do domu?

Minał kolejny tydzień w Ostam. Postępy były niewielkie. Objawiały się jedynie większą otwartością na przyjmowanie posiłków i coraz częściej powtarzającymi się stanami czuwania. W pokoju, w którym leżała od tygodnia, codziennie przez kilka godzin włączano muzykę. Jej rodzaj zmieniał się wraz z upływem czasu, symbolizując różnorodną interpretacją kolejne pory dnia. Ta muzyka miała wprowadzić Marię w normalne tempo życia. Pośpiech, praca, posiłki, odpoczynek, sen – wszystko miało swój porządek i rytm. W przerwach, kilka razy dziennie, rozlegał się odtworzony z taśmy głos. Recytował wiersze, czytał urywki z książek, opowiadał. Treścią zawartą w tych tekstach chciano pobudzić u Marii normalne toki myślowe. A więc niektóre z nich były jak wyciskacze łez, wzruszające i smutne, a inne podnosiły ciśnienie krwi lub wymuszały reakcje agresji. Kamera umiesz-

58

czona w pokoju rejestrowała każdy kolejny dzień z jej życia. Można było wielokrotnie przeglądać i analizować jej reakcje, w kolejnych fazach i po stosowanych prowokacjach. Po kilku dniach takiej terapii ciałem pacjentki zaczęły wstrząsać krótkotrwałe dreszcze. Częściej przebierała palcami u rąk i szukała oczami kontaktu ze światłem.

Maria przyjmowała duże ilości leków. One również przyczyniły się trochę do ożywienia jej nieruchomego ciała. W obawie o kondycję organizmu wykonywano regularne badania krwi. Jej stan psychiczny coraz bardziej się poprawiał, lecz pogarszały się wyniki analiz morfologicznych. Nieznacznie spadł poziom hemoglobiny, a wzrosła liczba leukocytów i podskoczyło OB. Było to o tyle dziwne, że pomimo wszechstronnych badań nie znaleziono przyczyny tych zmian. Na wszelki wypadek, dla osłony podano Marii antybiotyki, licząc, że ugasi w zarodku potencjalne zagrożenie. Dla osoby leżącej najłżejsze przeziębienie mogło okazać się niebezpieczne. Personel był przez cały czas uprzedzany o ewentualnym niebezpieczeństwie i upominany, by w czasie wietrzenia wywozić pacjentkę do sąsiedniego pomieszczenia, mierzyć jej stale temperaturę i obserwować. Po kilku dniach, gdy zdrowie Marii nie uległo pogorszeniu, uznano, że niebezpieczeństwo minęło. Wprawdzie wyniki nie poprawiły się, lecz fakt, że nie są gorsze, dawał nadzieję na pewną stabilizację. Poziom hemoglobiny nie opadał, leukocyty i OB pozostały niezmiennie. Z braku innych wytłumaczalnych powodów stwierdzono, że przyczyną tego było silne działanie leków psychotropowych. Personel uspokoił się i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie zdarzenia, które nastąpiły kilkanaście godzin później. Maria zwymiotowała śniadanie, a potem obiad i nie chciała już tego dnia jeść. Zaciskała usta i rozpaczliwie mrużyła oczy, gdy pielęgniarka próbowała nakarmić ją deserem. Lekarze wpadli w popłoch. Natychmiast sprawdzono, czy któryś z leków nie został przedawkowany. Potem ustalono dla niej specjalną dietę i to pomogło. Wymioty się nie powtórzyły. Szyca, który osobiście był zaangażowany w leczenie, odetchnął z ulgą.

59

Jerzy dzwonił regularnie, co trzeci dzień. Wciąż z tym samym zniecierpliwieniem pytał o postępy w leczeniu. Szyca ostrożny w obietnicach, celowo nie podawał mu wszystkich szczegółów, by nie wzbudzać niepotrzebnych emocji i nadziei. Sam uważał ten przypadek za bardzo trudny i bał się, że nie uda mu się wyprowadzić Marii z obecnego stanu na tyle, by usatysfakcjonować jej najbliższych. Oprócz męża dzwoniła do kliniki jej siostra Anna. Było mu przykro, że nikomu nie mógł nic obiecać. Do tego jeszcze te sensacje i wymioty. Nie wiedział, co o tym myśleć i jak zaradzić. Musiał koniecznie głębiej się nad tym zastanowić i poszukać ewentualnej przyczyny. Najprościej byłoby zrzucić wszystko na karb leków, które podawano Marii w dużych ilościach. Każdy pacjent inaczej na nie reagował. Dla jednego były jak chleb powszedni, dla innego jak dopust Boży. Dzisiaj trapiła Szycę także inna myśl. Całkowicie niedorzeczna i nieprawdopodobna. Wpadł na nią niespodziewanie i natychmiast porzucił. Bał się przypuszczać, że mogła okazać się prawdziwa. We wstępnych badaniach zapomniał zlecić jeden z testów. To było wyraźne zaniedbanie. Za coś takiego mógł srogo zapłacić. Wprawdzie Maria miała już trzydzieści parę lat, lecz cóż z tego? Kręcił się nerwowo po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie odpowiedniego miejsca. Gdyby nie to, że na dworze padał śnieg i było całkiem ciemno, wsiadłby z pewnością do samochodu i pojechał do kliniki. Postanowił chociaż zadzwonić i się upewnić. Pielęgniarka potwierdziła obawy. Przy przyjmowaniu do szpitala pacjentce nie zlecono wszystkich testów. Natychmiast zlecił ich wykonanie. Niestety, było to możliwe dopiero rano. Pielęgniarka przyjęła zlecenie, przekazując je jako dyspozycję na następny dzień dla swojej porannej zmienniczki.

*

Szyca jechał ośnieżoną drogą, wycinając łańcuchami przypiętymi do kół głębokie bruzdy. Wyjechał wcześniej niż zwykle, bo niepokój wygonił go skutecznie z łóżka. Przed sobą miał dwa wolne od pracy dni, więc chciał wcześniej załatwić wszystkie naglące sprawy, by ze spokojem odpocząć. Wybierał się na sobotę

60

i niedzielę do znajomych mieszkających w głębi Austrii, gdzie zima nie dawała się tak mocno we znaki. Chciał zrzucić z siebie ciężar ostatnich dni i naładować akumulatory. Czuł, że niewiele dzieli go od załamania. Czasami miał serdecznie dość wszystkiego i tęsknił do czasów, gdy poczucie obowiązku nie spędzało mu tak bardzo snu z powiek i można było niekiedy pofolgować obowiązkowi. Od czasu, gdy zdobył potrzebne kwalifikacje i stać go było na założenie własnej kliniki, cały ciężar odpowiedzialności spadł na jego barki. Zaczął się dla Szycy trudny czas wyrzeczeń i ciągłej aktywności. Nie mógł pozwolić sobie na najmniejsze zaniedbanie. To przekreśliłoby na zawsze jego szanse zawodowe i zniszczyło

wypracowaną opinię. Musiał być bezkonkurencyjny i nieomylny. Tylko w ten sposób mógł liczyć na powodzenie.

W Ostam żył samotnie i samotność tę bardziej odczuwał w mroźne wieczory niż latem, gdy dzień znacznie dłużej zaglądał w okna jego domu. Mieszkał w pięknym miejscu, więc latem gościł często znajomych, a i dzieci chętniej przyjeżdżały do niego na wypoczynek. Przywoziły ze sobą wnuki i dom zaraz wypełniał się ich obecnością. Wtedy godziny biegły znacznie szybciej, wkoło pachniały róże, w nocy śnił mu się świat bez wad, a rano budziły oszalałe ze szczęścia ptaki. Zimy nie lubił. Zimą czuł się opuszczony i strasznie samotny. Dzieci zajęte swoim życiem i swoimi kłopotami, zapominały na długo o jego istnieniu, a od czasu, gdy umarła żona, stracił poczucie stałości, które mu dawał ich związek. Gdy byli razem, wszystko potrafili jakoś poskładać i wytłumaczyć. Troski były mniej jadowite, a radości przyjemnie dzielone. Zawsze było z kim się nimi cieszyć. Teraz, gdy jej pokój był pusty, pościel i bielizna zatraciły już zapach jej miękkiego ciała, a dawno nie otwierane szafy żałośnie skrzypiały, świadcząc o upływie czasu spędzonego bez niej, nic już nie było ważne. Może właśnie dlatego tak się przejął Marią. Zaraz pierwszego dnia, gdy ją zobaczył, poczuł do niej sympatię, choć ona w żaden sposób nie chciała mu tego odwzajemnić. Bardzo chciał jej pomóc odzyskać chęć do życia i cel.

Te myśli towarzyszyły mu przez całą drogę. Wtórowały

61

echem, gdy szedł szybkim krokiem przez korytarz i głośno otrzepywał ośnieżone buty. W pokoju zdjął płaszcz i postawił na podłogę swoją dużą lekarską torbę. Chwilę potem w drzwiach pojawiła się jego koleżanka po fachu, młodsza od niego lekarka, która właśnie kończyła dyżur. W rękę trzymała kartkę z laboratorium. Ich spojrzenia spotkały się. Szyc w jednej chwili zrozumiał i opadł zdruzgotany na krzesło, a na czoło wystąpił mu zimny pot.

Maria jest w ciąży. Krew odpłynęła mu z twarzy, był blady i wystraszony. Lekarka, do której nie powiedział ani słowa, wyszła z pokoju. Zanim zamknęła za sobą drzwi, zdażył jeszcze zawołać:

– Asiu, czy to pewne?

– Raczej pewne. – Cofnęła się krok do tyłu. – Test jest wyraźnie dodatni, nie ma wątpliwości. – Jej ciepłe i zawsze przyjazne spojrzenie spadło miękko na wykrzywione usta Szyca. – Był u niej ginekolog. Wezwałam go zaraz, gdy przynieśli wyniki testu. Potwierdził wszystko i obliczył, że to prawdopodobnie ósmy tydzień i że gdybyś chciał znać szczegóły, możesz zajrzeć do niego, jest w swoim gabinecie.

– Dziękuję, że się tym zajęłaś. Zaraz do niego pójde – powiedział zmartwiony i podparł ręką brodę.

– Michał, nie martw się – pocieszała. – To nic niezwykłego, że kobieta jest w ciąży.

– Zgadza się, tylko żeby była w trochę lepszym stanie. Ona jest wrakiem człowieka. Jak tu ma się uchować jeszcze ciąża. – Gdy to mówił, w oczach kobiety pojawiły się łzy. Szyc wiedział dobrze dlaczego. Joanna jakiś czas temu straciła dziecko. Poroniła je na początku ciąży. To było dziecko jej i jego. Był tego pewien, choć ona zaprzeczała. Od śmierci żony łączył ich dziwny związek. Zakładali, że czysto fizyczny. Typowa więź spragnionego samca, odstawionego nagle od kobiecego ciała, z kobietą dojrzałą, poszukującą przystani w ramionach doświadczonego mężczyzny. Układ wygodny i nie obowiązujący, a jednak pełen uczucia fizycznego spełnienia i zrozumienia potrzeb. Spotykali się u niej dość często. Nie dociekali sedna uczucia, które ich łączyło, i choć było im ze sobą dobrze, nie snuli nigdy daleko idących planów. Właściwie to nie wiadomo dlaczego, bo nic nie stało na przeszkodzie, by mogli być razem. Był przecież wdowcem. Ona też była wolna, z nikim nie związana, gotowa dzielić się swoim niezaspokojonym ciałem. Uwielbiała jego pieszczoty, a mimo to nigdy nie padły słowa: małżeństwo, wspólne życie, dom. Milczał on, milczała ona, czekali oboje, by jakiś traf lub przypadek rozstrzygnął za nich. Nie myśleli o przyszłości, nie wymuszali deklaracji, nigdy pomiędzy nimi nie padło pytanie: co dalej?

Któregoś dnia bez wyraźnego powodu zaczęła go unikać, odmawiać spotkań, uciekać. Później przyznała się, że jest w ciąży i że ojcem dziecka nie jest on, więc będą musieli przestać się widywać. Szyc nie uwierzył. Próbował z nią rozmawiać na ten temat, lecz nie chciała. Wykluczyła wspólny związek, chciała odejść z pracy. Nie zrobiła tego, bo ciąży nie udało się utrzymać. Straciła to dziecko po kilkunastu

tygodniach. Znajomości nigdy nie odnowili. To, co się wydarzyło, stało się barierą nie do przebycia. Widywali się w klinice i rozmawiali ze sobą jakby nigdy nic. Po tym związku pozostało jedynie miłe ciepło, które na pamiątkę żarliwych wyznań rozchodziło się po skórze przyjemnym dreszczem i ukrytą w zakamarkach serca tęsknotą za utraconymi złudzeniami.

Szyc odchorował to boleśnie. Zamknął się w sobie i jak ślimak otoczony ścianami swojego domu odizolował od wszystkich. Stał się oficjalny i chłodny, aż do momentu, gdy rozliczył się z przeszłością, pogodził ze stratami i wybaczył. Postanowił już nigdy więcej nie komplikować życia sobie ani innym. Czuł się jak rozległe i żyzne rozlewisko, pełne niespodzianek, okraszone zdarzeniami, jak malownicza woda płynąca leniwie równinami, szerokimi zakolami w nieregularnym korycie. Brzegi życia tej rzeki były gęsto porośnięte wilgotnymi gałęziami olszyn, kępami wierzb i podmokłych traw, a doliny, przez które płynęła, otulone ciepłym torfem. Powierzchnię tej jego wody pokrywała miejscami rzęsa w kolorze nadziei, a miejscami spróchniałe gałęzie, powleczone obślizgłą, mokrą zgnilizną jego zgryzot. Czy dojrzała

63

kobieta, kipiąca wszelakimi żądzami, mogłaby żyć z nim jako jego dopływ, gdy bliżej mu już było do morskiego ujścia niż do źródła?

Żyły Joanny, które zobaczył dzisiaj po raz pierwszy, zaskoczyły go i speszyły. Ona jednak nie dała mu szansy na roztrząsanie swego stanu. Wyszła, pozostawiając po sobie tylko znajomy zapach perfum. Szyc, zajęty kłopotami z Marią, odsunął to na plan dalszy i zajął się studiowaniem kartki leżącej na blacie biurka. Tarł nerwowo w rękach cienki listek żółtego papieru i zapragnął po raz kolejny w swoim życiu uciec od wszystkiego. Może Maria ma rację, że nie chce wracać, że zamyka się w kokonie. Często miał wątpliwości, czy warto się tak męczyć, tak troszczyć o wszystko? Przecież na końcu drogi jest już tylko wielka woda. Cóż więc ma sens? A jednak chciał o czymś decydować, skoro nie zrezygnował z ciężkiej pracy i wracał do niej co dzień, by wieczorem znowu zadawać sobie te same pytania. Podszedł do telefonu i wykręcił kierunkowy do Polski. Czekala go przeprawa z Niezio-łowskim. Jak przyjmie wiadomość o ciąży żony, jak się zachowa? Tego Szyc nie mógł przewidzieć. A jeżeli to nie jego dziecko? Czy ktokolwiek oprócz Marii potrafił na to odpowiedzieć? Słabo znał swoją pacjentkę. Jaka jest, mógł się jedynie domyślać z relacji innych osób, a na tej podstawie nie da się wyciągnąć ostatecznych wniosków. Wspominał rozmowę, którą przeprowadził wczoraj z siostrą Marii, Anną. Wypytywała o wszystko starannie, z troską o detale. Wykorzystał to zatroskanie, bo Anna chętnie odpowiadała na stawiane pytania.

– Maria jest niezwykłą osobą – zapewniała żarliwie. – Uroczą, bardzo mądrą i, niestety, bardzo tajemniczą. Ta tajemniczość ją zgubiła. Nigdy nie było wiadomo, co jej dolega, co gnębi. Wszystko trzymała głęboko w ukryciu. Sam pan teraz widzi, jak daleko się w tym posunęła.

– Dlaczego? Co przemawia za tym, że to tylko pozorna ucieczka, a nie choroba? – podchwycił chętnie tę nową tezę.

– Jestem przekonana, że zamknęła się celowo przed nami, by przeczekać. Od dziecka chowała się w swoim świecie. Bez przerwy czytała. Nie wyobraża pan sobie, ile książek w swoi

64

życiu przeczytała. To nie mogło być bez znaczenia dla jej umysłu. Ona już sama nie wiedziała, kim jest.

– A czy poza tymi książkami odróżniała się czymś jeszcze od swoich rówieśników – postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o przeszłości Marii. – Jaka była w dzieciństwie?

– Poza tym była normalna. Potrafiła być kapryśna i wesoła, szczebiotliwa i zła, jak każde dziecko. Zbyt dokładnie nie pamiętam, jest między nami duża różnica wieku. Gdy ona przyszła na świat, ja rozglądałam się już za chłopcami – stwierdziła z rozbrajającą szczerością. – Niewiele obchodziło mnie małe płaczące dziecko. Potem widywałyśmy się rzadko. Wiem jedno: potrafiła jak nikt inny siedzieć długo w bezruchu. Wtedy wszyscy się z tego śmiali. Teraz widzę, że to nie powinno nas śmieszyć, tylko ostrzec. Często słuchała naszych rozmów w całkowitym bezruchu. Nie poruszała wtedy nawet paluszkami i nie zmieniała pozycji ani o milimetr. To chyba nie jest typowe dla dzieci, one są z reguły hałaśliwe i ruchliwe. Byliśmy przyzwyczajeni do jej zachowania, nikogo nie dziwił widok zamyślanej dziewczynki siedzącej nieruchomo na krześle, wsłuchanej w codzienne

sprawy dorosłych.

V

Jerzy spojrział na zegarek. Było bardzo późno. Przygotowania do bankietu przeciągnęły się niebezpiecznie i zostało mu tylko pół godziny, by doprowadzić siebie do porządku. Powiesił na wieszaku czarny frak, świeżo dostarczony z pralni i jednym szarpnięciem zdarł z niego cienki przezroczysty worek. Lekka folia bezszelestnie spłynęła na podłogę. Spojrział nerwowo na zegarek. Pięć minut na prysznic, pięć na suszenie włosów i golenie, reszta to zdecydowanie za mało, by się ubrać i dojechać na czas. W sobotni wieczór, jak zwykle, na ulicach jest spory ruch. Tmdno będzie przebić się samochodem przez zakorkowane skrzyżowania, ostrzegał sam siebie. Od rana chodził jak we śnie. Wiadomość o tym, że zostanie ojcem, spadła na niego niespodziewanie. Lecz jak tu się cieszyć, gdy stan Marii się nie poprawił. Wolał nie wzbudzać w sobie nadziei. Dlatego rzucał się w wir pracy. To pomagało oderwać się od złych myśli.

Odgłos ekspresu i zapach kawy zwabił go do kuchni. Pił w pośpiechu gorący napój, parząc sobie usta. Otarł je wierzchem dłoni i usiadł przy stole. Powoli i precyzyjnie piłował swoje kształtne paznokcie. Musiały być nieskazitelnie czyste.

Czas było wychodzić. Jeśli miał zamiar dojechać na miejsce o przyzwoitej porze, musiał się pośpieszyć. Stał jednak w miejscu i sam, nie wiedząc dlaczego, zwlekał. Coś zatrzymało go na chwilę, oparł się o framugę drzwi i stał. Fala zmęczenia niespodziewanie wróciła. Rozejrzał się po mieszkaniu i pomyślał: Jak tu cicho. Dobrze byłoby zostać teraz w domu. Wtedy zadzwonił telefon.

Niewytłumaczalne przecucie prowadziło powoli jego rękę w kierunku słuchawki, lecz ociągał się, licząc na to, że telefon zamilknie. Coś przenikało z aparatu, jakiś trujący opar odstraszał. Jerzy wahał się jeszcze chwilę, lecz w końcu odebrał.

66

– Słucham, kto mówi? – Głos zastygł mu w gardle. Nie chciał kolejnych sensacji. Pragnął spokoju.

Po drugiej stronie usłyszał czyjeś sapanie. Z nieczytelnego bełkotu doszło do niego niewyraźne:

– Czy to, czy?... – odezwał się dziwny głos. – Czy tu mieszka?

Jerzy bez słowa odłożył słuchawkę. Przez chwilę trwał w bezruchu. Panicznie bał się przypadkowych telefonów, nieznanymi głosów w słuchawce, milknących niespodziewanie sygnałów, jakby w eterze czaiły się ciemne moce i czyhały na jego duszę. Wtedy jak małe dziecko chował głowę w ramiona i czekał podświadomie na cios. To było silniejsze od niego. Próbował, ale nie potrafił sobie z tym poradzić. Zaciał zęby i czekał, aż strach minie. Gdy nieco ochłonął, ponownie podniósł słuchawkę i przyłożył do ucha. Usłyszał jedynie przeciągły sygnał. Pomyłka, powiedział do siebie i przetarł ręką spocone czoło.

Impreza rozpoczęła się ze sporym opóźnieniem. Goście zajeżdżali jeszcze wciąż pod budynek hotelu. Parkingi pękały w szwach. Ruch utrudniały nadjeżdżające masowo taksówki. Przed wejściem umundurowana służba hotelowa próbowała kierować strumień gości we właściwym kierunku. W szeroko otwartych drzwiach stali wystrojeni w liberie odźwierni i zapraszali do środka. Ciągnęły się po schodach treny wieczorowych sukien, świeciły złociste lamy, jedwabne szale plątały się pod nogami, błyskały flesze aparatów fotograficznych. Czasem w ich świetle zapłonął ukryty w koliai brylant, zalśnił złoty łańcuch. Moda wieczorowa, klasyczna, od lat taka sama: błyszcząca blichtrzem, pachnąca Diorem, Chanel, miążdżąca czernią i złotem, prowadziła schodami w górę.

Bankierzy, adwokaci, przedsiębiorcy, dziennikarze, aktorzy, związkowcy, cała masa utytułowanych postaci zajmowała miejsca przy stolikach. Jerzy, w tym czasie ukryty za cienką ścianą, dokonywał ostatnich poprawek. Wydawał dyspozycje, ustalał kolejny raz cały harmonogram, dowodził swojająłogą. Wyglądał

67

jak kapitan na okręcie, który gotuje się do boju. To był jego świat, miejsce, gdzie sprawdzał się najlepiej.

I już się zaczęło: potrawy jak bukiety kwiatów, płonące półmiski, zakąski ułożone w piramidy, dymiące zupy – wszystko szło jak w zegarku, bezbłędnie. Żarcie to jest to, co łączy wszystkich bez wyjątku. Wiele rzeczy traci swoją ważkość w obliczu największej słabości człowieka. Najszybciej łagodzi napięcia, sprzyja nawiązywaniu kontaktów. To był właściwy czas na załatwianie interesów. Ciało, które ceni rozkosze podniebienia, łatwo się poddaje. Jerzemu nie

brakowało umiejętności w wyszukiwaniu właściwych momentów. Wykorzystał osłabienie przeciwnika i wkroczył do akcji. Ubicie interesu zajęło mu kilka minut. Jakiś mały przekręt z kontem w banku dał mu szansę na podjęcie większej gotówki. Umiejętności manewrowania wokół takich spraw miał opanowane do perfekcji. W rewanżu za przysługi urządzał darmowe kolacje, wystawne poczęstunki dla znajomych i ich rodzin, oczywiście na koszt firmy. Wzajemne usługi, często na granicy prawa, były dla Jerzego chlebem powszednim. Śmiał się z tego, bo wychodził z założenia, że każdemu pracującemu przysługuje od firmy wymierny deputat, nawet wtedy, gdy ta nie chce go dać dobrowolnie. Realizował więc skrupulatnie swoją teorię, nie rzucając się w oczy, a jednocześnie smażąc na ogniu swoją własną pieczeń. Nie miał odruchów wymiotnych na myśl o tego rodzaju kombinacjach. Życie nauczyło go brać, co jest do wzięcia, i korzystać z okazji, które przyplaczą się pod nogi. Gdy coś leżało na ziemi, zawsze podnosił. Nie dorabiał idei, nie szukał wytłumaczenia, po prostu traktował takie przypadki jako specjalny dar od losu. Zatracił się w następujących bez końca pokładach cudownych przypadków, wymazując ze swojej pamięci ich racjonalny sens. Pełna komitywa sumienia z poczynaniami dawała niezaprzeczalne korzyści i byłoby to zupełnie satysfakcjonujące, gdyby nie fakt ciągłego niedosytu. Jak dotąd nie udało mu się stworzyć niczego sensownego. Ambitne przedsięwzięcia zawsze brały w łeb. Jerzy czuł się przez to człowiekiem małego wymiaru, nie zrealizowanymi popychanym przez rozrastający się za oknem wielki świat. Wiedział dobrze, że się zbyt rozdrabnia i nie

68

potrafi stworzyć czegoś wspartego na mocnych podwalinach, co funkcjonowałoby na wzór budzących szacunek finansowych potęg. Brał się do realizowania pomysłów z pełnym profesjonalizmem, i nie wiadomo, co powodowało, że tak szybko dawał się sprowadzić na manowce. Wchodził w ryzykowne układy, ale jak tu działać inaczej, gdy do pełni szczęścia wciąż za mało pieniędzy. Pomysły miał dobre, mógłby się wzbogacić na ich sprzedaży, natomiast realizację powinien zostawić innym. Wychodził przez tylne wyjście. Była czwarta trzydzieści. Ostatnia taksówka odjechała mu sprzed nosa. Poszedł więc dalej z nadzieją, że po drodze natknie się na inną. Ciągnął za sobą zmęczone nogi, w głowie szumiał alkohol. Mżył drobny kapuśniaczek, powietrze przesycone wilgocią i zapachem miasta przywoływało z głębokiej pamięci zamglone wspomnienia. Zawsze, gdy za dużo wypił, łatwiej go było pokonać i osłabić. Szczególnie cierpiał, gdy dopieкло mu zmęczenie i ciężka praca. Chciałby się jakoś nagrodzić za tę pracowitość i nawet wiedział w jaki sposób. Jeszcze tylko walczył z myślami. Wahał się. Oczy natrętnie wiodły go w kierunku znajomego zaułka, gdzie czekała na niego najwierniejsza pod słońcem kobieta. Drogę do niej znał na pamięć, mógłby ją pokonać z zamkniętymi oczami. Obiecywał sobie, gdy od niej wychodził, że to już ostatni raz, że nigdy więcej nie przestąpi progę jej domu. Lecz gdy tylko przebrzmiały wspomnienia, znów myślał o tym, by do niej pobiec. Teraz, gdy nie ma Marii, byłby skończony. A jednak mimo to nie umiał się jej wyrzec, tej czystej i naturalnej biologicznie miłości do potwora. Nie chciał rezygnować z męskiej słabości do zmysłowej i drżącej z pragnienia samicy. Korzystał z jej wdzięków i czerpał z nich niewysłowioną rozkosz, potworną i piękną, delikatną i brutalną, niemożliwą do zastąpienia i do pokazania. Coś ciągnęło go do pokoju na poddaszu, gdzie śpi czujnym snem ta właśnie, dla której jest całym światem, okrojonym do rozmiaru łóżka i łazienki. Ona nie pragnie od niego pieniędzy ani miłosnych wyznań, nie poucza, nie karci, nie ocenia. Siedzi całymi dniami w domu, je i czeka na niego, bo chce się z nim kochać. Chce rozgniatać go

69

swoim wielkim cielskiem, rozmazywać na prześcieradle, pieścić, żeby jęczał i skamlał o ratunek. Na myśl o niej miękły mu nogi, zatykało go w piersiach, omdlewał, wspominając jej drapieżne pieszczoty. Zatrzymał się na moment, by zaczerpnąć tchu. Musiał podeprzeć się o uliczną latarnię. Już widzi przed sobą wąską uliczkę. Sam nie wie, jak tu się znalazł. Wchodzi cicho po znajomych schodach i w połowie drogi wyciąga z kieszeni klucz. Cicho skrzypią spróchniałe deski, nogi grzęzną w mroku, lecz on dobrze zna drogę i idzie bez chwili namysłu wprost do celu, bezbłędnie. Drzwi otwierają się bezszelestnie i Jerzy czuje jej zapach. Zwierzęcym instynktem wciąga głęboko w nozdrza ostry pot, wchodzi do niej obdarty z woli i pozbawiony skrupułów. Widzi, jak leży na szerokim łóżku, olbrzymia, tłusta i różowa. Jej nagie ciało w pełnej

krasie ukazuje wielkie fałdy tłuszczu zwisające na boki, olbrzymie uda i piersi jak napęczniałe mlekiem wymiona. To one za chwilę w szalonym pędzie zatańczą nad nim swój prawdziwy taniec. Rozniesie się w nocnej ciszy głośnie i przeraźliwe kłapanie wielkich pośladków, mlaskanie falbanek wielkiego cielska, jęki i głośnie sapanie, piękniejsze od najcudowniejszej muzyki, najprawdziwsze i najszczerze oddanie swojemu samcowi. Cudownie i delikatnie, jakby ważyła tyle co piórko, długo i cierpliwie ujeżdża swego narowistego rumaka. Kochał ją za tę szczerość prawdziwą i nie udawaną, za radość w wąskich przymrużonych z rozkoszy oczach, nieprzytomną żądzę i zachłanność pieszczot, których potrzebowała. Nie musiał udowadniać, że jest mężczyzną, nie dbał o jej względy. Gdy wchodził do niej, brała go bez pytań i wyrzutów. Zdejmowała z siebie tylko jeden trykotowy fartuszek, zawsze pod nim naga, zawsze gotowa i nieziemsko mokra. Ociekała sokami jak nacięta kora żywicy. W oczekiwaniu na jego przyjście, w marzeniach wydzielala ciepłe, lepkie płyny, a ich nadmiar rozmazywała na wielkim brzuchu, by pachnieć jak najmocniej tym, co on tak lubił. Potem, gdy przychodził, lepiała się do jego skóry. Przyklejała i odklejała, bawiła się jak dziecko jego ustami, oczami, włosami. Tłamsiła go jak maskotkę, lizała jak szczeniaka. To była miłość nieziemska i bezkonkurencyjna.

70

jsie zaznał takiej nigdy od innej kobiety i wiedział, że nie potrafi bez tego żyć. Reszta, wszystko, co robił z innymi, było tylko namiastką tej miłości, żalonym surogatem, udawaniem i przymusem. Zamknął za sobą drzwi i wszedł, by kolejny raz nacieszyć się zniewalającym uczuciem. Wielkie ramiona jak wiosła galeonu zagarnęły go i pochłonięły, wsysając i gniotąc jego ciało.

Obudził się rano obolały i słaby. Leżał na dużym łóżku, owinięty tylko w prześcieradło, i drżał z zimna. Spod niego wystawał brudny materac w brązową kratkę. Pod głową miał szarą i wygniecioną poduszkę i jakoś dziwnie mu to nie przeszkadzało. Jakby dopiero teraz poczuł się naprawdę sobą i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, że on, taki pedant i elegant, leży w barłogu, w dziwnym, ciemnym pokoju, zawinięty w podarty gałgan i jest szczęśliwy. Czuł w sobie niewysłowioną rozkosz i wciąż niezaspokojony spoglądał na drzwi łazienki, zza których dochodził hałas i cichy melodyjny śpiew. Przeciągnął się leniwie, obrócił i podniósł z podłogi ciężką kołdrę, zamruczał jak najedzony kocur i ułożył się wygodnie do snu, kołysząc na boki w rytm cichej melodii. Uderzając głową miarowo w wyliniałą poduszkę, w prawo i w lewo, w prawo i w lewo, jak osierocone dziecko mruczał jednostajną kołysankę. Czuł się oczyszczony i wolny jak szlachetnie czysta forma wyjęta wprost z jądra natury, nie spaczona i szczerą, jak nienamacalna, ulotna materia, uwolniona od otchłani życia, oczyszczona z lodowatego, skamieniałego połysku, którym był zazwyczaj pokryty. Teraz wykiełkował, urodził się na nowo, odnalazł w labiryncie zdarzeń i tak bardzo nie chciał go opuszczać, wracać w inną rzeczywistość, która rządzi się własnymi prawami, własnym czasem, własnymi mitami.

*

W niedzielę wieczorem był już w domu. Wyrzuty sumienia, które zazwyczaj towarzyszyły tym powrotom, tym razem nie dały o sobie znać. Jerzy czuł się usprawiedliwiony. Uważał, że fizjologii nie da się oszukać. Był przecież zdrowym mężczyzną i żeby zachować właściwą kondycję i równowagę psychiczną, musiał rozładować napięcie. Krzątał się po domu, pogwizdując

71

jakaś melodię, i wyglądał na zadowolonego. Po kolacji wykapał się, ogolił i usiadł wygodnie w fotelu, by obejrzeć wiadomości. Nie nacieszył się spokojem. W najciekawszym momencie rozległ się dzwonek przy drzwiach. Niechętnie poszedł otworzyć. Nie miał ochoty na towarzystwo. Marzył, żeby ten wieczór spędzić w samotności. Zaskoczony spojrzął na stojącą w progu Brzeską, żonę zmarłego niedawno profesora Brzeskiego. Stała skromna i nieśmiała, jakby przepraszała za to, że żyje.

– Proszę wybaczyć to najście – zaczęła, przestępując z nogi na nogę. – Nie chciałabym przeszkadzać, lecz jeśli można... – Jerzy otworzył szeroko drzwi, zaprosił ją do środka.

– Przepraszam za bałagan – tłumaczył, zbierając z krzeseł rozrzucone ubrania. – Przez kilka dni nie było mnie w domu. – Odebrał od niej płaszcz i wprowadził do pokoju. Nie wiedział, jak się zachować i czego oczekiwać po tej niespodziewanej wizycie. Najchętniej załatwiłby sprawę przy drzwiach. Niestety, pospieszył się z uprzejmością i teraz miał jak w banku, że Brzeska tak szybko nie wyjdzie. Zanim

zdażył cokolwiek powiedzieć, rozgościła się w fotelu, rozwiewając wszelkie złudzenia.

– Już dawno wybierałam się do pana. – Wyglądała na przestraszoną. Miała w oczach dzikość wypłoszonej kotki. Ręce nerwowo błądziły po guzikach sweterka, jakby liczyły je ciągle od początku, raz w jedną, raz w drugą stronę. – Kilka razy wychodziłam z domu i cofałam się w połowie drogi – wyjaśniła i powolnym ruchem założyła za ucho siwe pasmo włosów. – Jakoś wcześniej nie miałam odwagi, ale w tej sytuacji... Prawie się nie znamy, może nie powinnam, ale teraz, gdy umarł mój mąż, jakoś ciągnie mnie do ludzi. Mam niewielu znajomych. Pusty dom bardzo mnie przytłacza – usprawiedliwiała się, nie dając Jerzemu dojść do głosu. – Pomyślałam, że rozmowa z panem byłaby dla mnie pociechą. Pan przecież znał mojego męża.

– Niezbyt dobrze. – Jerzy próbował jakoś wybrnąć z sytuacji. – Widywaliśmy się czasami.

– Ja wiem, on nie był zbyt rozmowny. Dużo pracował, nawet w domu – próbowała go tłumaczyć. – A jednak życie bez niego straciło cały sens. Błąkam się bez celu po ulicach, żeby nie

72

zwariować, a potem wracam do pustego domu i jest jeszcze gorzej. Wciąż nie potrafię pogodzić się ze śmiercią męża. – Uciekała płochliwie oczami we wszystkie strony, byle tylko nie spojrzeć Jerzemu w twarz. – Mam za dużo czasu i żadnego celu. Wciąż zadaję sobie pytanie: dlaczego? – Zakryła oczy, hamując łzy. – Dlaczego tak się stało?

Jerzy zakłopotany tym wyznaniem szukał w pośpiechu słów pocieszenia. W głowie miał pustkę. Nie na rękę była mu ta rozmowa. Dałby wiele, żeby móc uwolnić się od kłopotliwego towarzystwa.

– Nikt nie odpowie pani na to pytanie i nie ma sensu go zadawać. Nie da się w życiu niczego zaplanować. Ktoś, komu się wydaje, że potrafi wszystko przewidzieć i usprawiedliwić, jest w błędzie. Ja też zostałem sam. Moja żona wciąż nie wraca do zdrowia – próbował skierować rozmowę na swoje sprawy.

Brzeska ożywiła się.

– Czy nie wydaje się panu dziwna ta zbieżność zdarzeń?

– Nie rozumiem?

– Pomyślałam, że to, co się z nimi stało... – Zawiesiła na chwilę głos.

– Sugeruje pani, że choroba mojej żony i śmierć pani męża są ze sobą w jakiś sposób powiązane? – zapytał.

-- W piątek był u mnie ktoś z policji – powiedziała tajemniczo. – Rozmawialiśmy o tym, co zaszło w instytucie kilka miesięcy temu. Wciąż pracują nad tą sprawą. Jerzy słuchał zaskoczony.

– Nie brałem tego pod uwagę – przyznał. – Kilka razy byłem na policji w sprawie kradzieży w instytucie, ale nikt nie sugerował takich podejrzeń. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby te sprawy miały ze sobą coś wspólnego. To przypadkowy zbieg okoliczności.

– Może myślą, że materiały zostały sprzedane za granicę?

– To absurd – zaprotestował Jerzy.

– Właśnie. – Brzeska odpowiedziała, przyciszając głos, jakby za zasłonką w pokoju czaił się szpieg. – Ale oni nie muszą być tego tacy pewni. Mówiąc szczerze, przyszedłem tu z nadzieją,

73

że może pan wie coś więcej na ten temat, może mnie się wszystkiego nie mówi.

– Przesada – obruszył się.

– Więc co ja mam myśleć o tej sprawie? Nic mi pan nie doradzi?

– Za mało się na tym znam. Żona niewiele mówiła o pracy, a ja starałem się nie pytać – próbował zmienić temat. – Raczej odciągałem ją od zawodowych problemów. Było mi żal, że wciąż siedzi w kurzu i zaduchu. Przesiadwała przez lata w ciemnych pomieszczeniach i traciła wzrok.

Nad ich głowami rosła gęsta chmura fałszu i obłudy. Ona jakby przyszła na przesłpiegi, a on postawiony pod ścianą tortur udawał pochłoniętego konwersacją. Brzeska bardzo zainteresowana dola Marii zadawała wytrwale pytania. Jak mógł, unikał odpowiedzi. Wił się jak piskorz, żeby nie powiedzieć za dużo. Kto wie, jakie wnioski mogłaby wyciągnąć. Wyglądała na zdesperowaną. Toczyła w samotności swoje żale i szukała winnego śmierci męża.

– Mnie się nigdy nie udawało wyciągnąć Juliana z domu. Spacer był dla niego karą. Mówił, że chodzenie bez celu to strata czasu. Na szczęście nie mieliśmy

samochodu i wracał do domu piechotą, to była jedyna okazja do zaczerpnięcia świeżego powietrza. Lekarze stwierdzili, że przyczyną zawału było niedotlenienie i stres. Wyszło na to, że miałam rację. Ciągle sobie wyrzucam, że tak łatwo się poddawałam i nie umiałam postawić na swoim. – Spojrzała na Jerzego.

– Nie da się cofnąć czasu i oddać życia do poprawki. – Uśmiechnął się do zgnębionej Brzeskiej. – Od momentu, gdy lekarze stwierdzili u żony depresję, myślę sobie, że wcale jej nie znałem. Nie przyszłoby mi nawet do głowy, że jest tak nieodporna. – Krażył do znużenia przy tych samych tematach. Niechciał zdradzać szczegółów o Marii, więc rozmowa powoli traciła sens. – Może napijemy się kawy? – zaproponował. Miał nadzieję, że to rozładuje nieco sytuację. – Przecież nie spieszy się pani do domu.

– Prawdę mówiąc, z przyjemnością z niego uciekłam. Chęć-

74

nie wypiję coś pokrzepiającego i porozmawiam przez chwilę. W moim obecnym życiu jest teraz tylko cisza i wyrzuty sumienia.

– Niepotrzebnie się pani zadręcza – uspokajał Brzeską. – Nikt nie potrafi tak daleko przewidywać. Przypuszczam, że niewiele by pani wskórała. Proszę już nad tym nie medytować, a ja tymczasem zaparzę kawę. – Zniknął bezszelestnie w ciemnym korytarzu.

Została sama. Z ciekawością rozglądała się po pokoju. Z Marią znała się tylko przelotnie. Spotkały się kilka razy w instytucie, ale nie nawiązały nigdy bliższego kontaktu. Brzeska zaskoczona wystrojem mieszkania, zastanawiała się, czy chłód, jaki od niego bije, odzwierciedla stan duszy jego mieszkańców? Te kamienne przedmioty, piaskowe kolory, ściany gładkie jak marmurowa płyta sprawiały, że czuła się jak w cmentarnej krypcie. Ze zdziwieniem spoglądała na kamienne kule zdobiące nieliczne sprzęty i pytała sama siebie, jaką spełniają rolę? Podejrzywała, że wszystko, na co patrzy, ma swoją wartość i nie zostało kupione przypadkiem. Nie cierpiała nigdy na nadmiar pieniędzy, więc to, jak mieszka, było z konieczności sprawą drugorzędną. Pracowała od lat w banku, obracała się wśród ludzi bogatych, ale sama nie zrobiła na bankowości zbyt dużych pieniędzy, ot, tyle, co inni przeciętni pracownicy. Była sumienna i zaradna, ale nie wybitna. Myślała przez wiele lat, że to dobrze. Uważała, że jeden geniusz w domu wystarczy. W takim duecie musiał być ktoś, kto potrafi zająć się prozą życia, ugotować pożywny obiad i pocieszyć w razie nieprzychylności losu. Byli z mężem nierozłączną parą, jeśli nie liczyć długich godzin, w których pozostawali daleko od siebie. Brzeski połowę życia przesiedział w gabinecie na ulicy Skrytej, a ona w ich starym, zniszczonym mieszkaniu. Czekala cierpliwie, z zawsze gotowym obiadem, bez względu na to, o której wrócił do domu. Była od niego młodsza o kilka lat, kiedyś chyba bardzo ładna, lecz teraz, gdy już dawno zrezygnowała z troski o urodę, wydawała się stara i zmęczona.

Siedziała w fotelu, w obcym mieszkaniu, rozmawiała z prawie nieznanym mężczyzną i to było fascynujące, choć jeszcze dzisiaj rano chciało się jej krzyknąć ze wściekłości na podły los i na

75

pustkę, którą pozostawił jej w spadku mąż. Przez lata wspólnego życia nauczyła się wciąż o kimś myśleć i brakowało jej teraz drugiej osoby. Zdetronizowana, rzucona na pożarcie pustce, szukała towarzystwa, by zagłuszyć w sobie tęsknotę i załatać jakoś dziurę, w której pozostawała jak na zesłaniu od śmierci męża. Po mieszkaniu rozchodził się zapach parzonej kawy. Po chwili wszedł Jerzy z taca i kieliszkami wypełnionymi połyskującym żółto koniakiem. Na wąskim talerzu leżały drobne, równo poukładane herbatniki. Wprawnym ruchem ustawił wszystko na stole i zaprosił ją, by przesiadła się bliżej. Brzeska w dwóch palcach, delikatnie uniosła lekką filiżankę i z przyjemnością upiła mały łyk parającej aromatycznie kawy.

– Parzy pan bardzo dobrą kawę – pochwaliła. – Trochę się na tym znam. – Z uznaniem pokiwała głową. – Kiedyś interesowałam się różnymi sposobami jej przyrządzania. Nawet pan sobie nie wyobraża, na ile sposobów można ją zaparzać i ile jest gatunków kawy na świecie.

Jerzy uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Udawał, że słucha jej z zainteresowaniem, i myślał, o co tu właściwie chodzi i po co tak naprawdę przyszła. Nie chciał jej przerywać i pozwolił, by wygadała się do woli. W ten sposób nie musiał odpowiadać na kłopotliwe pytania. Sam czuł się jeszcze wyprany po sobotnich atrakcjach, więc z przyjemnością przekazał jej pałeczkę.

– Mój mąż nie interesował się niczym poza swoimi starodrukami. Nie zawsze poznawał to, co podałam mu na talerzu, i rzadko mnie chwalił. Ale ja wiedziałam, że nie robi tego przez niegrzeczność. Taki już był, ciągle bujał gdzieś myślami, nigdy zbyt mocno nie stąpał po ziemi. Nie miał nikogo prócz mnie, a ja nikogo oprócz niego. Odsunęliśmy się trochę od rodziny, bo uważała nas za dziwaków.

– A czy teraz nikt się panią nie interesuje? – zapytał Jerzy.

– Owszem – odparła. – Czasami ktoś do mnie zajrzy. Najczęściej brat. Namawia mnie, żebym do niego na jakiś czas przyjechała. Mają w domu dwójkę dzieci, przemiłych. W ich towarzystwie mogłabym przyjść trochę do siebie. Pan ma jeszcze żonę i ma się o kogo martwić. To zawsze coś, szczególnie gdy ma się nadzieję.

76

Jerzy milczał. Nie miał ochoty rozmawiać z nią o Marii. Przyjęła to opacznie.

– Jest aż tak źle? – zapytała zmartwiona.

– Niestety – potwierdził. – Wciąż z nikim się nie kontaktuje. Milczy i śpi. Nie wie chyba nawet, że jest tak daleko od domu. Gdy wyjeżdżałem, jej stan nie poprawił się ani trochę.

– Jest tam zupełnie sama, bez nikogo z rodziny?

– Zupełnie sama, jeśli nie liczyć lekarzy i personelu, ale myślę, że nie dzieje się jej żadna krzywda.

– Z pewnością. Gdyby jednak był przy niej ktoś bliski, może prędzej przysłaby do siebie.

– Lekarze twierdzą – Jerzy dodał nieco szorstko, bo nie lubił, gdy ktoś wtrącał się w jego sprawy – że powinna przez jakiś czas pozostać sama. Poza tym Maria ma tylko starszą siostrę, a ja jestem zupełnie samotnik, całkowita sierotka. – Uśmiechnął się, nalewając do kieliszków kolejną porcję koniaku.

Zrobiło się nieciekawie. Dozwolone tematy były na wyczerpaniu, czas mijał, a gość nie wybierał się do domu. Przeciwnie. Jerzy czuł, że ma w zanadrzu jakąś niespodziankę. Brzeska kręciła się niespokojnie, spoglądając ukradkiem w jego stronę, i szykowała się do skoku. Chciała coś powiedzieć, lecz nie miała śmiałości. Była w kropce, ponieważ przyszła tu nie tylko porozmawiać o mężu. Zastanawiała się przez chwilę, zanim odważyła się powiedzieć.

– Muszę się panu przyznać, że nazwisko Nieziołowski nie jest mi całkowicie obce. Znałam kiedyś dobrze pańskich rodziców. – Zamilkła na chwilę i, patrząc w sufit, próbowała policzyć lata. – Mieszkali wiele lat temu w Gdańsku. Zaraz po wojnie wyprowadzili się do Koszalina. Starsi Nieziołowscy umarli w czterdziestym dziewiątym, a młodzi w połowie lat osiemdziesiątych wyjechali do Stanów. Często jako panna bywałam u nich, sama i z rodzicami. Mieli piękny dom na Mazurach. To byli wspaniali ludzie, szlachetni, otwarci i zamożni. Moja rodzina wiele im zawdzięcza. Pomogli swego czasu różnym ludziom, w tym również i moim rodzicom. Byliśmy wtedy bez środków do życia. Ojca wyrzucili z pracy za przynależność do opozycyjnej

77

organizacji związkowej, matka cierpiała na chorobę krwi. Pomagali nam wtedy finansowo, zdobywali lekarstwa, o które było bardzo trudno. Bez nich marny byłby nasz los. – Zakołysała kieliszkiem, a pachnący napój rozbujał się na boki i niewiele brakowało, by wypłynął z kieliszka. Jerzemu zakręciło się w głowie i lekko zbladł. Brzeska, nieco podchmielona, opowiadała dalej. – Potem straciliśmy ze sobą kontakt. Przykro mi niezmiernie, że już nie żyją. Chciałabym im podziękować za to, co dla nas wtedy zrobili. To dawne lata, był pan wtedy dzieckiem i nie pamięta na pewno ani moich rodziców, ani mnie. Już dawno chciałam na ten temat porozmawiać, ale jakoś nie wyszło. Julian mnie powstrzymywał. Twierdził, że wspomnienia są dla pana zbyt bolesne i nie trzeba do nich wracać. A jednak przyszłam i teraz będzie mi lżej na duszy.

Jerzy udawał, że rozmowa zaczyna go nudzić. To wyglądało śmiesznie, bo właśnie teraz, gdy skoncentrowała się na jego sprawach, nagle stracił zainteresowanie. Manifestacyjnie zaczął ziewać i bagatelizować to, co opowiedziała. Serce waliło mu jak młotem, a mimo to udawał znużenie.

– To prawda – odpowiedział zdawkowo. – To dla mnie trudne. Chciałbym wymazać wszystko z pamięci, a jednak nie potrafię.

Nie poruszali już więcej niebezpiecznych tematów. Jerzy zabawiał Brzeską wrażeniami z sobotniego bankietu, opowiadał o gościach, wielkich przedsięwzięciach i potrawach, które serwowano. To był dobry temat. Ona wyglądała na zainteresowaną, słuchała z uwagą. Nawet nie zauważyli, że minęła druga godzina wizyty. Brzeska zreflektowała się, jak jest późno, i grzecznie

poprosiła o zamówienie taksówki.

Gdy wyszła, Jerzy przestraszony trwał w bezruchu, aż znużenie i sen nie upomniały się o swoje prawa. Upiory z przeszłości powróciły znów, by toczyć swoje ciężkie działa przez jego głowę. Przez te wszystkie lata, od dnia, gdy wrócił do Polski, nawet pies z kulawą nogą nie zapytał o jego przeszłość, a on nie chciał o niej mówić ani słyszeć. Zagrzebał ją głęboko w mule okropieństw, które przez wiele miesięcy nie pozwalały mu normalnie żyć

78

i uczyć się, a potem mocno ubił i nigdy do nich nie wracał, pokonał strach i samotność, uwolnił się od tęsknoty i było mu tak dobrze. Dlaczego teraz, po tylu latach, nagle komuś przypomniała się rodzina Nieziołowskich i ich historia. Nigdy nie zapomni tego dnia. Czekał na nich w kościele. Dokładnie co do minuty wyszedł na zewnątrz i patrzył w kierunku, z którego mieli przyjechać.

Złowieszcze chmury, zbierające się nad małą wiejską osadą, przesuwały się w żółwim tempie, zasłaniając stopniowo całe niebo. Płynęły dziwnie, jakby wiatr popychał je z dwóch stron – z południa i północy. Zataczały półkolisty krąg, którego ramiona wyciągnięte na boki łączyły się ze sobą w połowie drogi. Niebo od brzegu do brzegu zasnuwane było gęstymi chmurami i jeszcze tylko na środku pozostała na nim niewielka jasna przestrzeń. W bezwietrzny dzień zatrzymało się powietrze i gęstniało z minuty na minutę. Przez błękitny otwór, który pozostał na niebie, wpadały ostatecznie promienie słońca i rzucały na ziemię wąski snop światła, tworząc na niej jasnozielone kółko – jakby ktoś zapalił ogromny reflektor. Zaległa cisza, w jednej chwili wszystko znieruchomiało. Nie drgnął ani jeden listek, nie zachwiało się najcieńsze źdźbło trawy. Małe piórko zgubione przez ptaka, zamiast spadać, tkwiło zawieszzone nieruchomo nad ziemią. Pozornie nic się nie zmieniło i trwało jak zwykle naswoim miejscu, lecz ci, którzy zauważyli ten moment, poczuli na plecach lodowate dreszcze. Zdziwione ptaki rozglądały się po niebie, jakby ktoś chciał zabrać tę bezkresną przestrzeń, którą uważali za swoją. Przestraszone koty usiadły pod płótem. Czują czającą się grozę, jak się zbliża i niepostrzeżenie rozwiesza swoje chorągwie, potem daje kilka sekund na zrobienie rachunku sumienia i kilka następnych na to, by zdążyć nakreślić na piersiach znak krzyża.

Drogą wśród zabudowań zbliżał się samochód. Podjeżdżał powoli i zatrzymał się tuż pod murem kościoła. Czekał tam, lecz bał się wyjść. Nagle mały papiererek, wyrzucony na drogę, zakreślił na asfalcie małe kółko. Najpierw powoli, potem coraz szybciej i jak wciągnięty przez wielki odkurzacz, katapultował. Wtedy się zaczęło. Tylko jeden potężny podmuch, który załopotał nad zie-

79

nią. W tym jednym oddechu pękały mury, eksplodowały okienne szyby, łamały się jak zapałki wieloletnie drzewa. Kilka sekund i sielankowy krajobraz zmienił się w pole bitwy. Potężny podmuch wdarł się w wąską dolinę, zmiatając po drodze wszystko, co napotkał. Samochód, który jeszcze przed chwilą stał bezpiecznie przy kościelnym murze, uniósł się, okręcił, a potem wyrzucony w powietrze runął wprost na ocalałą ścianę budynku. Potem już nic się nie zdarzyło. Znowu zaległa cisza, lecz nie taka sama, nie tak bezgranicznie przesycona bezruchem – normalna. Lekki wiaterek kołysał listkami na rozsianych po okolicy konarach drzew, przenosił pomiędzy nimi tumany śmieci, zwoje białych firanek przyczepiających się do wszystkiego swoimi poszarpanymi ramionami. Nieżywe kury leżały wśród wielkiego rumowiska, a ich pióra, rozsiane wokół, delikatnie podrygiwały na trawie.

Kościół został częściowo zniszczony i wyzierał ponad ruinami drewnianych domów ocalałą ścianą. Ta jedyna ostoja przeszłości krzyczała w niebo, wyszczerzając w rozpacz wykrzywione usta rozszarpanych murów. Na nieskazitelnie białej ścianie zatrzymały się niesione wiatrem szczątki drzew. Pomiędzy skrawkami muru, na kawałku ocalałej ściany wyzierała jaskrawoczerwona plama krwi. Cienkimi stróżkami spływała, przeciskając się pomiędzy nierównościami, a potem dotykając powierzchni ziemi, powoli wsiąkała.

Zegar wskazywał drugą w nocy, kiedy demony wreszcie opuściły Jerzego. Już całkiem spokojny położył się spać i zasnął. Nad ranem zaczął się niespokojnie wiercić na łóżku i mówić przez sen. W nocy wróciły odgrzebane koszmary i wróciła pamięć o dniu, w którym wielka biała ściana przewróciła się na niego i zobaczył przed sobą plamę krwi. Tylko że w tym śnie był dorosłym facetem, a na kolanach trzymał dziecko. Patrzył przerażony na krew, która przelewała się pomiędzy palcami, i bał się spojrzeć na kolana. Czuł, że ktoś się do niego przytula, coś

małego i ciepłego. Głaskał zakrwawionymi rękami ten poszarpany gał-gan, a z drugiej strony przez pajęczyny zawieszonych kryształków roztrzaskanego szkła zamajaczyła roześmiana twarz Marii. Pokazywała na niego palcem i podskakiwała radośnie na masce

80

samochodu, przygniatając jajeszcze bardziej do ziemi i miażdżąc leżące pod nią ciało.

*

Brzeska tej nocy też nie mogła usnąć. Wstawiała kilka razy i chodziła nerwowo po mieszkaniu w nadziei, że zmęczy się w końcu i zaśnie.

Wyjęła z szuflady stary album ze zdjęciami. Znalazła to z Mazur. Na zdjęciu ujrzała Sarę Nieziołowską, jej męża Władysława oraz rodziców Jerzego tuż po ślubie. Potem wyjęła późniejsze, z małym Jerzym i jego matką Elżbietą. Ona postawna, ciemnooka, dziecko pyzate i całkiem łyse. Kartki albumu same otwierały się w ciekawych miejscach. Wspominała swoje dzieciństwo, potem dorosłe życie. Zatrzymany na chwilę czas pomagał odtwarzać w pamięci minione lata. Gdy się o nich pomyśli w pośpiechu, wydają się niewyraźne i zapomniane. Dopiero głębsze analizowanie i penetracja sprawiają, że powstaje pełen obraz wydarzeń. Czasami Brzeska udawała się w taką podróż i odwiedzała różne miejsca z przeszłości. Wieczory w pustym domu ciągnęły się w nieskończoność, sterty wolnego czasu walały się po wszystkich kątach i rosły z dnia na dzień. Pozostał tylko telewizor i wspomnienia. Telewizor był bezpieczniejszy, bo nie wprowadzał niepotrzebnego zamieszania w głowie. Odrywał od męczących myśli, przenosił w świat całkiem innych ludzi, cudzych zmartwień i problemów, neutralizował zapiekłe żale, które nosiła w sercu. Julian nie był troskliwym mężem. Wychodził z domu bez słowa i wracał w milczeniu. Jego głównym zainteresowaniem była praca, a żona przydawała się do wypełnienia pozostałej luki. Kochał ją na swój sposób, doceniał urodę i młodość, choć nigdy nie traktował jak partnerki. Z lekką ironią krytykował jej poglądy na życie i sympatie. Nie chciał albo nie potrafił rozmawiać o swojej pracy. Czasami, gdy próbował podzielić się jakąś rewelacją, ona sprowadzała wszystko, o czym mówi, do wartości materialnych. Dla niej wartość miała zawsze wymiar pieniędzy i tylko w tych kategoriach funkcjonowała. Jeśli coś było dużo warte, to ile?

81

Brakowało jej tej iskry Bożej, tego daru wyczuwania głębszych wartości. Zachwyty ograniczała do czegoś kolorowego i błyszczącego. Jego skarby zaś były szare i zniszczone. Gdy podawał jej do rąk, chwytała z obrzydzeniem w dwa palce i odsuwała daleko od siebie. To było jak profanacja jego najświętszej wartości. Początkowo starała się zachować pozory i czasami udawała zainteresowanie tym, co robił, lecz później, gdy ich małżeństwo dojrzało i okrzepło, przestała udawać i pytać.

Troszczyli się o siebie niezmiennie i szczerze. Łączyło ich przywiązanie i przyzwyczajenie. O miłości do siebie zapomnieli dawno. Mijali się, nie dotykając, nie patrząc w oczy, jakby ze wstydu za stracone złudzenia, za rozczarowania, których sobie nawzajem dostarczyli.

Choroba jak mroźny podmuch zwała Brzeskiego z nóg, bez litości i nieodwracalnie. Spadła jak grom z jasnego nieba na klarowny i jasny układ w ich małżeństwie. Ustalony i skrupulatnie przestrzegany rozkład dnia nagle oszalał. Dni stały się długie i nie do wytrzymania, noce jeszcze gorsze, bo bezsenne i pełne demonów. Nagle okazało się, że chłodny i przyjacielski związek dwojga ludzi był pełnym miłości niewolnictwem. Zabrakło jej teraz tego odległego duchem, lecz bliskiego obecnością mężczyzny, powracającego wieczorem do domu. To jemu trzeba było podać obiad, wyprać i przygotować ubranie, porozmawiać, postękać o bólach w krzyżu, o pijanym sąsiedzie, o polityce i pogodzie. Teraz pozostał pusty pokój, półki pełne książek, sterty zapisanego papieru nie wiadomo komu i na co potrzebnego. Brzeska stawała w progu tego przybytku i nie potrafiła nawet ocenić, czy to wszystko ma jakąś wartość i znaczenie. Tak mało wiedziała o jego pracy i tak jej nie lubiła, że najchętniej wyrzuciłaby wszystko do śmietnika lub spaliła. Czuła, że ta praca przyczyniła się do jego śmierci. Zatrzała serce i opętała rozum. Już dawno mógł pójść na emeryturę, lecz nie chciał. Bał się długich dni u jej boku i zwykłych problemów, które nic, ale to nic go nie obchodziły. Gdyby można cofnąć czas, naprawić choćby część popełnionych błędów, porozmawiać o wszystkim, o czym nie zdążyli sobie powiedzieć przez te dwadzieścia lat małżeństwa.

VI

Przed sobą miała tylko jeden obraz. Nie czuła czasu, nie odbierała zmysłami jego wpływu. Trwała w zamkniętej krainie, gdzie czas nie istniał. Nie czuło się przeciekającej między palcami niewidzialnej substancji, jaką było życie. Nic namacalnego, nic sensownego, całkowicie absurdalny stan zawieszenia i ten obraz, jakby urojenie, wywleczone gdzieś z podświadomości, czysty, sterylny od uczuć i emocji widok dalekiej góry. Majestatyczny krajobraz, z centralnym punktem, unoszącą się ponad wszystkim potężną górą, o dwóch wierzchołkach pokrytych wiecznym śniegiem. Cóż mogła znaczyć? Dla Marii w tej chwili nie miała absolutnie żadnego znaczenia. Widziała ją oczami duszy, bo prawdziwe oczy były puste i choć przemykały z pozorną uwagą po otaczającej przestrzeni, nie odczuwały nic poza obojętnością. Patrzyła na wszystko jak ślepiec. Nie zmieniała wyrazu twarzy, nie robiła żadnych gestów świadczących o tym, że coś czuje. Milczące od tygodni usta, jak zasznurowane, kleiły się wargami i nie chciały przemówić, jakby bały się rozstań przy wypowiedaniu słów. Żadnego punktu zaczepienia, żadnej tęsknoty za przedmiotami, za ludźmi. Czysta i nieskalana egzystencja wypełniona powietrzem, jakby ktoś podstępem włączył przeznaczony dla niej program całkowitej destrukcji i samozniszczenia. Pozbawiona świadomości istnienia, nie czuła ani żalu, ani złości, jakby czekała na odkupienie i wolność od samej siebie. Tylko skąd wziął się ten dziwny widok, zawieszony w nicości, w której teraz trwała? Dlaczego właśnie on pozostał po wszystkim, co kiedyś czuła? Gdzie się podział bezmiar informacji, którymi wypełniała w ciągu życia swoją głowę, co zrobiła z wiedzą, z mądrością, gdzie pochowała tony słów pochłanianych każdego dnia, każdej godzi-

83

ny? Jałowość, która ją wypełniała, dodawała jej lekkości i swobody w nieodczuwaniu czegokolwiek. Jedynie te krótkie momenty, w których jakaś nieznana siła włączała i wyłączała wizję w jej głowie. Pojawiał się wtedy zawsze jednakowy widok: olbrzymiej góry, ostatni, a może pierwszy ludzki wymiar, który pozostał w pamięci. Może to właśnie on miał odegrać w spektaklu życia główną rolę i zakończyć albo rozpocząć jakiś proces.

Upływający czas raz mnożył, a raz odejmował z limitu szans przeznaczonych na powrót do życia i nikt nie potrafił rozszyfrować, czy to początek początku czy końca. Wprowadzie wykres na poliso-nogramie zmienił się nieco na korzyść, lecz tempo tych zmian nie budziło wielkich nadziei. Najmniejsza zmiana w zachowaniu była skrupulatnie analizowana. Ciało Marii poddawano systematycznie niezbędnym zabiegom poprawiającym krążenie. Wywożono na świeże powietrze i bez ustanku kontrolowano parametry krwi. Wciąż nie było gwarancji, że Maria poradzi sobie z wykarmieniem siebie i swojego dziecka. Czy pozwoli rozwinąć się nowemu życiu w łonie, które jak bezduszny inkubator skąpo wydzielało uczucia?

Na to pytanie nikt nie potrafił dać odpowiedzi. Maria trwała zawzięcie w duchowym niebycie i kpiła z czynionych zabiegów. Aż do dnia, gdy nagle coś się odmieniło. Twarz nabrała rumieńców, a nieruchome dotychczas ciało zaczęło zmieniać swoją pozycję. Mimo że kamera sekunda po sekundzie rejestrowała każdy ruch w pokoju, nie można było dociec przyczyny tego ożywienia. Głowa chorej wyraźnie zmieniła kąt ułożenia, a martwe oczy szukały wokół siebie światła. Przesuwały się powoli w kierunku okna, aż zatrzymały na blasku słońca, które tego marcowego dnia zaglądało do pokoju. Ciepły promień przecinał poduszkę i właśnie za tym ciepłem powędrowało jej ciało.

Trwający w bezruchu widok góry, który czuła w sobie, zaczął stopniowo ulegać zmianom. Przesuwały się jak w kinie inne obrazy, równie tajemnicze, ale jakieś bardziej znane. Wśród kamienistych zboczy pomiędzy różowymi skalistymi ścianami rozpościerały się zielone winnice i żyzne sady. Obrazy zadziwiająco realne, a jednocześnie bardziej boskie niż prawdziwe sugerowały, że może to obrazy z nieba, do którego kierowała się dusza

84

Marii. Gdyby nie ogromne piramidy kamieni, rozpościerające się w usypanych hałdach, można by pomyśleć o raju. Te kamienie zalegały pomiędzy małymi uprawnymi poletkami i wydawały się bardziej stworzone przez człowieka niż przez Boga. Na skrawkach kamienistej ziemi w nielicznych oazach wyrastały pojedyncze wsie i miasta. Domy, przytulone do siebie, z pustymi oczodołami okien, bez ulic i parków.

Obrazy zmieniające się jak w kinie były jakieś niedzisiejsze, pochodzące jakby z innych czasów i nie dotyczyły w żadnym stopniu Marii, choć wydawały się takie

realne. Wypływały z najdalszych zakamarków duszy, lecz nie były jej własnością. Jakby ktoś z dalekiej przeszłości przesyłał obrazy ze swojego życia. Widziała teraz wielką czaszę w zagłębieniu pomiędzy górami, a tam zielone, płaskie pola, okolone wysokimi zboczami wzniesień. Łańcuch grzbietów górskich otaczający te żyzne pola, pokrywał się o świcie szaroniebieską mgiełką, a zaraz po tym purpurową mgłą wieczornej zorzy i powstawało złudzenie horyzontu iluzji. Dopiero później w tych wizjach pojawił się człowiek, ale najpierw było miasto. Kamienne, szare i bladoróżowe. Miasto jak widmo, gdzie z daleka domy wyglądały jak wymarłe ruiny, zniszczone przez kataklizm. Wkoło kamienie, kamienie i nigdzie nie widać wody. Ulicami pozbawionymi zieleni i innych barw poza różową szarością przechadzali się ludzie, dziewczęta w lekkich pantofelkach, ubrane w bawełniane sukienki i dzieci. Dużo rozkrzyczanych dzieci z wielkimi plastrami czegoś podobnego do sezamków, tylko o wiele większego. Stały i łakomie odgryzały z nich kawałek po kawałku. Po brudnych rękach ściekał im słodki, kleisty syrop. A dalej widziała bazy jak żywe i, o dziwo, pachnące. Maria poczuła zapachy i zobaczyła owoce – granaty, winogrona, brzoskwinie, morele, wielkie i dorodne, aż chciało się wziąć je do ręki i jeść. Obok jadalne kasztany, zważone, ustawione szeregiem w papierowych torebkach. Pomiedzy straganami ludzie, sprzedawcy i kupujący. Wszyscy prawie tacy sami, czarnowłosi, krępi, z lekko garbatymi nosami. Maria bezmyślnie rejestrowała pojawiające się w jej głowie sytuacje. Skąd wziął się ten obraz i co miał oznaczać? Tego nie wiedziała.

85

Pierwszą myślą, jaka pojawiła się w jej głowie, było uczucie ponadczasowości. Jakby spoglądała na wszystko z góry. Widziała bowiem nie tyle płaski obraz, tuż przed sobą, ile nieco oddalony, zaokrąglony jak w panoramicznej perspektywie lub wklęsłym zwierciadle. To, co było w centrum obrazu, malało, a powiększało się w miarę przesuwania na boki. Maria poczuła, jakby pochodził z czasów, których nie powinna pamiętać. Ta świadomość była zbyt delikatna, by żądać od niej jakiegokolwiek syntezy. Dopiero budziła się z głębokiego uspienia, porzucała na chwilę krainę spokoju, by wypowiedzieć wojnę stanowi, któremu tak bezkrytycznie uległa. Co ją do tego zmuszało, co retuszowało złe wrażenia i kusiło, by jeszcze raz spróbować i zmierzyć się z tym kruchym zwodniczym światem o zatartych liniach i kantach. Poczuła się uniewinniona i obmyta, choć nie wiedziała jeszcze z czego.

Najbardziej zdumiewającym odkryciem było odczucie własnego ciała. Jeszcze nie umiała go dotknąć, lecz już zdawała sobie sprawę z tego, że jest. Najpierw odkryła swoje usta. Badała językiem podniebienie, rząd zębów na górze i na dole. Próbowała odgrzebać z pamięci wiedzę, którą kiedyś posiadała, a teraz ukryła głęboko w zakamarkach mózgu. Polizała językiem wysuszone wargi, sięgnęła nim dalej, aż do brody. Drobne włoski na skórze załaskotały śmiesznie. Rozpoznała też smak goryczy w ustach. Potem poczuła swoje ręce. Poruszała powoli palcami, tak jakby chciała zagrać na klawiszach. Uderzała opuszkami o prześcieradło i wiedziała, że jest miękkie. Powtarzała w myśli: miękkie, miękkie, zdumiona, że potrafi określić to, co czuje. Powoli i z obawą w ruchach przesuwała dłonie do góry w kierunku twarzy. Bała się tego, co wyniknie ze spotkania dwóch rzeczy, którejuż rozpoznawała. Dotykała policzków, brody, przeciągnęła palcem po wzniesieniu nosa i dotknęła ust. Były suche, popękane i lekko otwarte. Wsunęła palec do środka i poczuła na języku słony smak skóry. Wydobyło się z niej coś podobnego do śmiechu, jakby krótkie szczerknięcie. Dźwięk uderzył niespodziewanie, zamarła, ale tylko na chwilę. Podobała jej się ta wędrówka. Ciekawe palce wspinały się coraz wyżej, do oczu. Dotykały niecierpliwie zamkniętych powiek, lekko ugniatały miękkie

86

wgłębienie i próbowały dostać się do środka. To zabolalo, cicho krzyknęła. Poznała ból, przypomniała sobie to uczucie, bliskiejak żadne inne. Zdumiona otworzyła oczy. Zobaczyła biel. Wszystko dokoła niej było białe. Nie poruszyła głową, tylko rozglądała się, ostrożnie przesuując gałkami. Nad nią w górze i z boku wszystko było białe. Skąd ten kolor, co znaczył? Pytała swoich myśli, wypatrując na suficie jakiegoś punktu odniesienia, jakiejś drogi. Chciała zrozumieć jeszcze więcej, pojąć, kim jest i skąd się wzięła w tym dziwnym miejscu. Powoli, podpierając się łokciami, nieśmiało unosiła słabe ciało. Zobaczyła pusty pokój i kilka sprzętów, które nic jej nie mówiły. Rozglądała się przez moment, a po chwili opadła zmęczona na poduszkę. Na czole wystąpił zimny pot, rozszalało się

słabe serce. Poczwała senność. W głowie pulsowało tętno, opanował ją absolutny chaos. Zgubiła się w tej nowo odkrytej rzeczywistości i zrezygnowana poddała się odrętwieniu.

Zapadała znów w swój martwy świat i wypuściła z ręki linę ratunkową, rzuconą jakimś cudem w jej kierunku. Oddaliła się od brzegu, choć tak wytrwale czekała na swój zagubiony kawałek ładu. Odzyskana i zaraz potem utracona, oddalała się jak wianek pozostawiony przez kogoś na wodzie. Czwała żal, a może ulgę i nie była do końca pewna, które z tych uczuć było większe, które wolała? Obraz powoli mroczniał, zacierał resztki konturów, stawał się jałowy jak próżnia. Powrócił znów ten sam znajomy bezkres obojętności i chłodu, żadnych smaków, emocji i wrażeń.

Zrazu wydawało się, że wszystko powróciło do poprzedniego stanu. Leżała jak martwa i powoli traciła poczucie bytu. Choć wybrała ucieczkę, to jednak odrobina kobiecej ciekawości nie pozwoliła do końca na wymazanie tego, co przed chwilą odkryła. Łapała resztki umykających obrazów, jak się chwyta koniec nitki odfruwającego na wietrze latawca, i próbowała po tej nitce wspiać się do góry. Nić nie miała końca ani początku, fruwała, bezwolnie rzucona we wszystkie strony podmuchami powietrza. Maria uchwyciła ją mocno w ręce i przesuwała powoli w myślach, czekając, co ujrzy na samym końcu. Nagle nić zmieniła swój wygląd. Stała się grubsza i bardziej puszysta, aż stała się w rękach

87

Marii miękkim jedwabnym szalem. Powróciło wspomnienie miękkości, delikatne i muskające palce. Szal zdawał się nie kończyć. Wspinał się coraz wyżej, stawał coraz większy opór. W oddali zamajaczył jakiś kształt. Na końcu szala pojawiła się niewyraźna postać. Kształt ludzki w mglistej otoczce z miękkiego jedwabiu, owinięte w lekką chmurę ludzkie ciało, zdaje się kobiety. Maria wykrzywiła twarz, zacisnęła mocno powieki, żeby nie stracić tego widoku. Wpatrywała się w wyłaniającą z ciemności postać, niby obcą, a jednak całkiem znajomą. Nie tyle znajomą wzrokiem, ile duszą, ciałem, intuicją, podświadomością. Kim dla niej była, dlaczego tak uparcie się w nią wpatrywała, jakby chciała coś powiedzieć. Przecież pamięta dobrze te ciemne oczy, wiecznie uśmiechnięte i zatroskane. Widziała nie raz to niskie czoło, włosy skręcone, zasłaniające ciemne jak sadza brwi. Zobaczyła złożone na piersiach dłonie, przypomniała sobie ich ciepło i emanujące uczucie. Nagle zrozumiała, że musi zatrzymać te ręce, odkryła niespodziewanie ich bliskość i zapragnęła je odzyskać. Powoli wyciągała przed siebie długie ramiona, szukając jej obecności, i jak ślepiec błądziła nimi w powietrzu, trafiając w pustkę. Wtedy zabrzmiała w niej znajoma melodia. Przypłynęła z całkiem innej strony. Zawisła nad głową i spadła niespodziewanie na twarz gęstą pajęczyną. Poczwała, jak ta nić ją okleja, wchodzi do oczu, nosa, ust. Jad sączący się z melodii skroplony na cieniutkich nitkach spływał po twarzy wraz z łzami, które popłynęły po policzkach. Jednostajna melodia kołysanki, jak diabelski śmiech, spuściła na wszystko ciemną zasłonę zapomnienia i strachu.

Ciało Marii skuliło się, ręce opadły bezwładnie na łóżko, a ona sama cicho i żałośnie zanuciła właśnie to, co przed chwilą wywołało u niej taką druzgocącą reakcję. Śpiewała coraz głośniejsze tony, wydobywając z gardła tajemnicze tony. Głos rozchodził się po pokoju, wirował jak szalony pod sufitem, a potem wymknął się przez szparę w drzwiach na korytarz.

Do pokoju najpierw wpadła zaniepokojona pielęgniarka. Zajrzała przestraszona do środka i zamarła. Zobaczyła wystraszone oczy pacjentki i zaciśnięte dłonie leżące na pościeli. Całym ciałem wstrząsały konwulsje, a niespokojne nogi przebierały pod kocem,

88

daremnie usiłując uciec od tego, co tak przerażało. Po chwili wbiegł do pokoju doktor Szc. Stał nad łóżkiem i przyglądał się, szepcząc do siebie:

– Nareszcie to zrobiła – powtarzał kilkakrotnie. – Wreszcie zdecydowała się wrócić.

Zaskoczona pielęgniarka stała obok i zdziwiona brakiem reakcji ze strony lekarza, spoglądała w kierunku drzwi, jakby czekała, że stamtąd nadejdzie pomoc.

– Panie doktorze – zawołała. – Musimy coś zrobić. Może sobie zrobić krzywdę. Szc uśmiechał się tajemniczo i spokojnie odpowiedział:

– Dajmy jej trochę czasu, żeby się zdążyła rozgościć. Niech krzyczy, jest jej to teraz najbardziej potrzebne.

Przypowieść o dwóch braciach, co dzielili się zbożem, utkwiała w pamięci Anny jak

wyuczony w dzieciństwie wierszyk. Powracała do niej zawsze wtedy, kiedy kogoś zawiodła. Związana była z dość bolesnym okresem jej życia i stanowiła swoisty rachunek sumienia. Gdy wracała do niego pamięcią, pojawiały się dokuczliwe skrupuły jak nieproszeni goście. Teraz, gdy już niewiele można było poprawić, gdy życie wypisało przeznaczony tylko dla niej scenariusz, żałowała swojej obojętności w stosunku do młodszej siostry i wciąż wyrzucała sobie, że tak późno okazała zainteresowanie jej problemami. Przypowieść, podarowana Annie wiele lat temu, powróciła właśnie dziś z jeszcze większą niż zwykle siłą rażenia:

„Było sobie dwóch braci. Jeden był starszy, żonaty, miał czwórkę dzieci i konia. Drugi, młodszy, był kawalerem. Mieszkał samotnie w małej chatce nieopodal domu brata. Gospodarowali obaj na ziemi odziedziczonej po rodzicach. Ziemia była kamienista i jałowa. Trudno było o dobry plon. Ale bracia byli zaradnymi gospodarzami. Codziennie rano wychodzili w pole, by wydrzeć ze skrawka marnej ziemi wszystko, co mogła im dać. Pracowali ciężko, a Dobry Bóg nagradzał za każdym razem ich trud. Gdy nadchodził czas zbiorów, w przestronnych stodołach rosły stosy ziarna i siana. Jednego roku, gdy ich ziemię nawiedziły ogromne

89

susze, nie udało się zebrać tak dorodnego plonu. Trzeba było dobrze gospodarzyć zapasami, by przetrwać zimę i nie zginąć z głodu. Wieczorami, po skończonym dniu, gospodarze zasiadali do palenia tytoniu i medytowali nad tym, co ich czeka w niedalekiej przyszłości. Trapili się, co stanie się z nimi, czy dotrważą w zdrowiu do następnego roku.

Jednego wieczora, gdy na dworze zrobiło się ponuro i zimno, starszy brat, siedząc przy kolacji ze swoją rodziną, pomyślał, jak smutno i ciężko musi być młodszemu bratu. Nie dosyć, że żyje samotnie, to jeszcze, jak to mężczyzna, nie zna się należycie na oszczędnym gotowaniu strawy i dzieleniu zapasów. Brak mu w domu zaradnej kobiety, która pomogłaby w trudnych chwilach i doradziła, jak prowadzić gospodarstwo. Patrzył na swoją żonę, niłą, uśmiechniętą, na zadowolone, syte dzieci i było mu strasznie żal samotnie mieszkającego brata. Postanowił mu pomóc, a że brat był człowiekiem honoru i nie zgodziłby się przyjąć żadnej pomocy, musiał to zrobić w tajemnicy. Poszedł nocą, gdy wszyscy wokół spali głębokim snem, do stodoły i przesypał spor swojego ziarna na stos brata. Pomyślał, że chociaż w ten sposób okaże mu swoją miłość i braterską troskę.

Tej samej nocy młodszy brat kręcił się niespokojnie na posłaniu i myślał, jak ciężko musi być starszemu bratu. Oprócz dbania o samego siebie, musi myśleć i zabiegać o swoją żonę, czwórkę dzieci i konia. Czy starczy mu na zimę zgromadzonych zapasów, czy poradzi sobie z wykarmieniem takiej dużej rodziny. Niepokój nie dał mu zasnąć, więc wstał i poszedł do stodoły. Cicho, by nie zbudzić sąsiadów, zaczął wielką kadzią przesypywać zboże ze swojego kopca na kopiec brata, ciesząc się w myślach z dobrego pomysłu, na który wpadł tej grudniowej nocy.

Jakież było zdziwienie obu braci, gdy następnego dnia ujrzeli swoje zimowe zapasy w nienaruszonym stanie.

Gdy błądy świt wszedł przez szczeliny w deskach do wnętrza stodoły, Dobry Bóg popatrzył na zdziwionych braci i dobrodusznie uśmiechnął się, obiecując otoczyć ich opieką do czasu, aż wiosna nie zawita w ich progi".

Tę historię przypomniawszy jej macocha kilka dni przed śmier-

90

cią. Nie miała już siły mówić, więc słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Anna odwiedziła ją w szpitalu tuż po operacji, która niestety, nie przyniosła spodziewanej ulgi ani ratunku. Jeszcze wtedy nie przypuszczała, że widzi ją po raz ostatni. Macocha leżała blada i na wpół senna, mrużąc cicho pod nosem słowa przypowieści. Pamięta, że potem jedynym tematem ich rozmowy była Maria. Nie rozumiała, dlaczego w jej ostatnich słowach nie było troski o ojca, o nią, przecież w jakimś stopniu też była jej dzieckiem. Wtedy ogarnęła ją złość i rozżalenie, puszczała słowa mimo uszu, a wewnętrzna przekora potęgowała żal. Po latach, gdy miała swoje dzieci, gdy każdej nocy czuwała nad ich snem, gdy czekała niespokojna na ich powrót, zrozumiała, jak ważne dla matki jest bezpieczeństwo dziecka. Nie było więc nic dziwnego w tym, że ostatnie myśli i życzenia, przeczuwającej swoją śmierć kobiety, dotyczyły przyszłości córki. Wtedy gdy zbuntowana stała przy łóżku tej, która odebrała jej ojca, dorosła i samodzielna, nie rozumiała, że Maria, wówczas zaledwie Marysia, była jeszcze dzieckiem, i to dzieckiem dość nietypowym. Nic więc dziwnego, że o jej życie

najbardziej martwiła się umierająca kobieta.

Tą przypowieścią o dwóch braciach macocha chciała uzmysłowić Annie, jak ważna jest siostrzana miłość i to, że w życiu trzeba i można liczyć przede wszystkim na najbliższych, i jeszcze to, że powinna pamiętać każdego dnia i w każdej godzinie o odpowiedzialności, którą w sobie nosi. Ciężkie to było brzemię i niewdzięczne. Wspomniała o nim dopiero po latach. Dojrzała do pewnych spraw, gdy sama uporała się ze swoim burzliwym życiem. Wtedy Maria była już dorosła i nie bardzo przejmowała się przestrogami. A Anna mówiła zawsze prosto z mostu, nie bawiła się w dyplomatę i studziła Marię w jej planach. Dorosły człowiek trudno znosi słowa krytyki, a jeszcze trudniej się im podporządkowuje. Maria słuchała tych pouczeń z przymrużeniem oka, traktując je jak przeżytki i moralizatorskie dyrdymały. Dobrze czuła się ze sobą i odpowiadał jej tryb życia, który prowadziła. Nie miała ochoty dostosowywać się do humorów „podstarzałej” siostry.

91

Matka Marii całe życie podierała się Pismem Świętym. Czy żyła według przykazań, o których tak często była mowa w ich domu, tego Anna nie mogła wiedzieć, bo zbyt mało ją znała. Gdy odeszła z domu w swoją dorosłość, małżeństwo ojca dopiero rozkwitało. Mała Marysia słodko szczebiotała, ojciec, uratowany przed depresją po śmierci pierwszej żony, na nowo czerpał radość ze świeżego uczucia i wszystko wyglądało cudownie. Nudziło ją i śmieszyło to dewociarstwo macochy. Często przeklinała w duchu, że los obdarzył ją kimś tak bardzo staroświeckim. Współczuła ojcu, że ma nudną żonę, i dziwiła się szczęściu, które co dzień bardziej wypełniało jego duszę. Gdy słyszała za drzwiami pokoju radosny śmiech rodziców, wesołe, czasem sprośne poga-duszki, wtedy gotowa była podejrzewać, że świętość manifestowana przez macochę była tylko fałszywą pozą. Czas goi rany i zostawia w pamięci zwykle najlepsze wspomnienia. Tak było i z pamięcią Anny. Przez lata wyidealizowała w sobie obraz drugiej matki i coraz częściej przyłapywała się na tym, że słowa czytanych przed spaniem przypowieści niejeden raz pomogły jej w życiu przetrwać najtrudniejsze chwile i zrozumieć rzeczy pozornie niepojęte. Doszła do wniosku, że jeżeli ktoś już dwa tysiące lat temu spisał te mądrości i radził, by się do nich dostosować, to muszą to być mądrości ponadczasowe, takie, których nie zniszczyły lata okrucieństw zadawanych ludziom przez ludzi, i niezmiennie jak to, że każde życie ma swój początek i swój koniec. Dzięki nim nauczyła się wybaczać wrogom, dłużnikom, krytycznie oceniać siebie, swoje słabości i pamiętać, że „tą samą miarą, którą mierzycie, będzie i wam odmierzona”. Oczywiście, nie zawsze była wierna tym zasadom. Temperamentne usposobienie czasami płało Annie figle i dawała się ponieść emocjom. Wkraczała na wojenną ścieżkę z osobami, które zalazły jej za skórę. Życie nauczyło ją przede wszystkim ostrożności. Niestety, nie nauczyło tego Marii, więc czuła się zobowiązana, żeby przestrzec siostrę i ochronić przed niespodziewanym ciosem. Lecz Maria nie słuchała. Była łatwowierna i prostolinijna. Wyrosła na literaturze i historii, kipiała ideałami i wiarą w człowieka. Choć wiedziała o świecie niejedno, nie kojarzyła tego ze

92

zjawiskami toczącymi się obok niej. Traktowała książki jak coś, co żyło innym życiem, a całe zło, o którym wiedziała, czaiło się tylko na stronach przekładanych kartek, nie w rzeczywistości. Była zawieszona gdzieś pomiędzy światami, na granicy bytu i fikcji, historycznej prawdy i zwodniczej fabuły. Geny ludzi wywodzących się z innych korzeni, przekazanych jej przez matkę, ciemnowłosa kobietę z dalekich stron, w tandemie z genami ojca stworzyły dziwną mieszankę istoty uduchowionej i zagubionej z istotą pełną ufności i wiary. Anna pomna słów macochy często przestrzegała Marię przed złymi wyborami, uczyła rozróżniać wielkoduszność od interesowności i szczerść od fałszu, bezskutecznie. Maria miała swoje własne kryteria wartości i tylko nimi się kierowała.

Anna, im była starsza, tym bardziej odczuwała w sobie misję, jaką otrzymała od macochy w dniu jej śmierci. Coraz mniej myślała o sobie, coraz częściej zastanawiała się, czy jest jeszcze dla niej coś do zrobienia. Dlatego dzisiaj gnała samochodem przez trzy granice, by na własne oczy zobaczyć, co się dzieje z siostrą, i sprawdzić, ile prawdy jest w tym, co powiedział Jerzy. Nie zdradziła się przed nim, że wyjeżdża. O wyjeździe powiadomiła tylko męża, zatankowała samochód i w drogę. Jazda w gąszczu autostrad, wśród śmigających z dużą prędkością samochodów, była dla niej trudną próbą. Lecz cóż to znaczy, gdy zdesperowana kobieta jedzie z misją. Ponieważ była świadoma swoich możliwości,

część drogi postanowiła przebyć w towarzystwie kogoś, kto będzie umiał zrobić to lepiej i szybciej. Skorzystała z pomocy znajomego, mieszkającego na stałe w Austrii, w małej miejscowości Freistadt, blisko granicy ze Słowacją. U niego postanowiła spędzić noc i z nim dojechać następnego dnia do celu podróży. Na miejsce dotarła przed zmrokiem. Znajomy mieszkał sam w niedużym mieszkaniu obok szpitala, w którym pracował.

To była długa podróż. Anna liczyła na to, że gdy dotrze na miejsce, zwali się jak kłoda do łóżka i zaśnie kamiennym snem. Niestety, stęskniony gospodarz urządził z tej okazji prawdziwą ucztę, sownicie zakrapianą. O rychłym odpoczynku mogła sobie tylko pomarzyć. Potem zasypał ją pytaniami o znajomych, rodzi-

93

nę i wszystko, co ostatnimi czasy działo się w kraju. Przegadali połowę nocy. Zanim Annie udało się dotknąć poduszki, była już druga w nocy.

Spała mocno. Za długo, jak na podróż, którą miała jeszcze przed sobą. Poranny kac przeszkadzał zebrać myśli. Ból głowy nie ustąpił nawet po aspirynie, a przebytą poprzedniego dnia drogę wciąż czuła w obolałych mięśniach łydek. Jednym słowem obraz nędzy i rozpaczy.

– Nie wiem, czy mogłabym dzisiaj prowadzić samochód uskarżała się przy śniadaniu. – Wszystko mnie boli, nogi, piec i głowa.

– Głowa ci raczej ciąży od nadużywania alkoholu – zażartował znajomy.

– Wiesz, jaką mam słabość do czerwonego wina, mogłeś mi tyle nie lać.

– Nie broniłaś się.

– Raczej straciłam kontrolę. Przyjemnie się rozmawiało czas tak szybko mijał...

– Nawet nie przypuszczasz, jak mi brakuje tych wspólni przegadanych nocy – przerwał jej w pół zdania. – Z miejsc wymi nie da się pofilozofować. Zresztą nie na darmo mówi się „austriackie gadanie”. A rodak rodaka zawsze zrozumie, a jak nie zrozumie, to chociaż pocieszy.

– To było dawno, mój kochany. Teraz Polacy stąpajmocno po ziemi, liczą pieniądze, inwestują, a potem szybko zapominają o oddawaniu długów. Nie poznałbyś swojego kraju – zażartowała Anna.

– Dlatego nie wybiorę się do was tak szybko. Nie chcę się rozczarować.

– Zobacz, co się z nami dzieje. – Pomyślała o Marii. – Gubimy się w tym gąszczu, tracimy głowę i uciekamy w depresje. – Anna zwiesiła smętnie głowę nad połówką bułki z dżemem i czuła, że nie przełknie ani kawałka. – Dopadł nas ten wielki świat, a nie wszyscy byliśmy na to przygotowani.

– Nie myślisz chyba o Marii – odparł zaskoczony. – To, co się przydarzyło twojej siostrze, miało na pewno zupełnie inne

94

podłoże. Przecież ona nie jest gęsią. Swego czasu dużo podróżowała i dobrze poznała wielki świat. To nie on jest przyczyną choroby. Jestem tego pewien. Maria z przemian w kraju niewiele sobie robiła. Obchodziły ją stare szpargały i pan profesor Brzeski ze swoim nieprzytomnym wzrokiem, płasającym radośnie po stronach ksiąg rozsypujących się w kawałki jak dorodny łupież. Ona nawet nie zauważyła, że coś wokół niej uległo zmianie. Miała swoją pasję, a ludzie z pasją nie dają się tak łatwo pokonać depresjom.

– Myślisz, że coś ją łączyło z Brzeskim? – Skrzywiła się.

– Dlaczego nie? Był częścią świata, który przylegał do niej jak druga skóra. Miłość do Jerzego to jakiś wybryk z jej strony. Pasują do siebie jak pięść do nosa – zaryzykował opinię.

– Ja też nie przepadam za Jerzym, ale są dobrym małżeństwem. – Broniła szwagra.

– Maria nie narzeka. Wciąż jest w nim zakochana, bardzo mu pobłaża, traktuje jak drogą zabawkę. Z Brzeskim to gruba przesada. Ojcował jej od lat, lubiła go.

Ostatnio nie widziałyśmy się – wyj aśniała. – Byłam za granicą, gdy to się stało. Przed moim wyjazdem nic nie zapowiadało tragedii. Nie mam pojęcia, skąd u niej to załamanie?

– Zatem nie ma co gdybać, tylko trzeba jechać i zapytać ją wprost, o co chodzi. Jak już przyzna się do wszystkiego, zabierzemy ją na piwo i wyleczymy. – Rażno podskoczył i zaczął przygotowywać się do drogi.

– Ty chyba nie wiesz, co mówisz, albo tylko udajesz. – Anna dreptała za nim po mieszkaniu. – Przecież ona nas nawet nie pozna. Leży sztywna jak kłoda i nie wiadomo, o czym myśli. Lekarze twierdzą, że to bardzo trudny przypadek. – Anna stała za nim i patrzyła, jak pakuje torbę. Zobaczyła na dnie butelkę szampana. – Po co ci ten szampan? – zdziwiła się. – Chyba nie będziemy go w drodze popijali?

– Ty sobie mów, co chcesz, a ja jak przykładowy Polak jestem zawsze

zabezpieczony. Zabiorę go na wypadek, gdyby jednak Maria się ocknęła na nasz widok. Będzie wtedy czym wznieść toast. – Uniósł do góry zieloną butelkę. – Jesteś jak zwykle niepoprawnym optymistą. Musiałabym

95

zabrać cię ze sobą do Polski. Przydałbyś mi się do rozśmieszania. – Anna potargała mu pieśczośliwie włosy. – Zbieraj się, bo już późno. Musimy jechać. W drodze znów rozmawiali o dawnych czasach. Wspominali młode lata, dni, gdy w oszalałych głowach rodziły się wspaniałe pomysły, układały życiowe plany. Czas zrewidował je i okroił, ale gdzieś pośród kolejnych osiągnięć dało się odnaleźć ich wyraźne ślady. Nie potrzebowali dodatkowych korepetycji, by podejść do kolejnego egzaminu, który przyszło im w życiu zdawać. Dokonali tego, co było w zasięgu ich możliwości, ułożyli wszystko po swojemu i teraz, gdy wskazówka zegara minęła półmetek, poczuli w sobie spełnienie.

Atramentowo niebieskie niebo ostro odcinało się od białego śniegu, wciąż nieruchomo tkwiącego, jakby przyrośniętego do ciała ziemi. Zimowa skóra Alp nie dawała się tak szybko i bezboleśnie zdjąć z powierzchni wzgórz. Gdzieś w dalekich głębinach, bliżej gorącego jądra ziemi, ustawione w pozycji „do startu”, czekały na ostatni gwizdek siły natury. Dzięki nim powoli zaczynało się rodzić życie, choć grunt jeszcze przemarznięty hibernował bezlitośnie wszelkie jego objawy. Energia ukrywająca się w drobinach życia kumulowała olbrzymie pokłady biologicznej siły i czekała na ten pierwszy sygnał, by przystąpić do ofensywy.

W mroku marcowej nocy wydawało się Szycowi, że słyszy pomruki ziemi. Czuł pod nogami delikatne drżenia, jakby spod cienkiej warstwy śniegu miały wystrzelić gorące gejzery. Powietrze pachniało inaczej, bez tego kaleczącego skórę północnego podmuchu, mroźnego i bezlitosnego dla każdej wystawionej na jego działanie istoty. Wszystko, jakby z lekka rozmoczone i nadgniłe, wydzielało zapachy. Spleśniała trawa, przebijająca się miejscami przez śnieg, gryzła ostrą wonią delikatną śluzówkę nosa, wieczorna mgła unosiła się nisko i przypominała zapach mokrego pierza.

Rozpędzone anonimową ręką koło natury przekraczało kolej-

96

ny punkt na mapie czasu i wysyłało sygnały o zbliżających się zmianach. Narodziny uśpionej głęboko przyrody to zaufanie do stałości procesów, wierności zasad i uczciwości w przestrzeganiu jej praw. Natura nie znosi oszustów, nie wybacza zdrajcom, zna się na uczciwych podziałach i bezlitośnie karze za pomyłki. Tej kary Szyc bał się najbardziej. Z własnej omyłności zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, by bagatelizować to, co podpowiadał rozsądek. Natura gości w każdej żywej istocie i jej prawa obowiązują nawet najlichszy organizm. Tam, gdzie w grę wchodzi ludzkie życie, a właściwie dwa ludzkie życia, nie należy pochopnie dokonywać wyborów. Czuł się bardzo osamotniony w obliczu problemu, który przyszło mu rozwiązać. Pozostawiony sam, jak kapitan na tonącym okręcie, szukał wyjścia dla siebie i swojej pacjentki, które pozwoli jemu zachować twarz, a jej i dziecku uratować życie. Lakoniczne telefony z Polski nie rozwiązywały problemu. Nikt poza nim nie odpowie na pytanie, czy choroba Marii jest wynikiem podeptania przez kogoś ustalonych praw czy też karą, wymierzoną jej za lekkomyślność. To przed nim nauka postawiła znak zapytania, bo nie potrafiła zmierzyć się sama z chorobą. Okazała słabość wobec niespodzianki tkwiącej wewnątrz nie odkrytych możliwości ludzkiego ciała.

Szyc miał wrażenie, że uległ jakiejś tajemniczej fobii, że dziwnym trafem stał się współuczestnikiem pewnego zdarzenia, niezrozumiałego procesu rezygnacji z życia poprzez wyparcie się go i porzucenie. Im częściej o tym myślał, im dogłębniej analizował wyniki badań, tym mniej miał do powiedzenia. Przestał w pewnym momencie myśleć racjonalnie i poddał się przeświadczeniu, że został wplątany w porachunki dwóch mocy. W ostatnich dniach działo się z Marią coś dziwnego. Jej ciało budziło się wprawdzie, lecz świadomość dryfowała daleko od brzegu. Burza hormonów spowodowana ciążą wstrząsała jej uśpionym ciałem i zmuszała je do większej aktywności. Za to dusza jak wolny ptak szybowała bezkarnie w przestworzach, nie pragnąc powrotu. Co zrobić, by pogodzić zwaśnione strony? Czy to on będzie mediatorem, czy Maria sama opowie się po czyjejś stronie? Na przykład ciąża. Czy ją zaakceptuje? Według relacji męża zabezpieczała się

97

przed nią od lat. To ustalili już na początku, a Nieziołowski nie protestował,

choć miał w tej sprawie inne zdanie. Musiało mu zależeć na tym związku, skoro ustąpił. Ta ciężyła byłaby jeszcze do przyjęcia. W końcu wypadki chodzą po ludziach, pytanie tylko, co za tym stało? Co skrywa tajemnica, którą Maria zabrała ze sobą w daleką krainę zapomnienia? A to, co stało się wczoraj w czasie wieczornej wizyty? Najpierw pomyślał, że płacze. Ale nie, to nie był płacz. Dopiero po chwili zrozumiał, że ona śpiewa. Ale jak? Co to były za pieśni, takie poważne, śpiewane niskim głosem, nastrojowe i smutne, przypominały zawodzenia mnichów tybetańskich albo kościelne chorały. Czyżby odprawiała nad sobą pożegnalne modlitwy, odchodziła w inne życie, przenikała do nowego świata, który stał tuż za progiem? Czy to było nowe wcielenie czy coś z poprzedniego? Kim była teraz Maria i dokąd się wybierała? Odtwarzał z cierpliwością kasetę wideo, analizował każdy szczegół, zapisywał niezrozumiałe słowa modlitw czy może wierszy, recytowanych uparcie przez Marię, brzmiących jak odprawianie czarów, odganianie nieczystych sił.

Nie mógł spać. Dręczyły go koszmary prowadzące wprost w krainy nieznanne, za kulisy zdrowego rozsądku, w objęcia czarownic. Podejrzewał nawet, że Maria, w oderwaniu od czasu i rzeczywistości, oddawała się jakimś mistycznym przeżyciom, doświadczała połączenia z inną istotą, może z „boską”, może z „duszą świata” lub „wszechnaturą”. W takich przypadkach możliwe jest znikanie, zatracanie w sobie, w Bogu, w naturze. Człowiek pod wpływem takich przeżyć wydaje się sobie wiecznym oceanem lub ogniem, który płonie przez całą wieczność. Najpierw przechodzi drogę „oczyszczenia i objawienia”, a potem składa w modłach swoje ciało na ofiarę, patrząc na poprzedni świat z punktu widzenia wieczności.

Szyc ogłupiał przez rozmaite podejrzenia, całkiem zwątpił w swój zdrowy rozsądek. Przesławał radzić sobie z problemem i wyraźnie potrzebował pomocy kogoś, kto z łatwością wytłumaczy mu znaczenie tajemniczych słów, którymi teraz posługiwała się Maria. Jeżeli pochodzą one od istot żyjących na ziemi, to przecież nie ma przeszkód, żeby je rozszyfrować. Skontaktował

98

się z uniwersytetem w Wiedniu i wysłał tam kasety z nagraniami. Dopóki ta sprawa nie zostanie wyjaśniona, nie można podjąć konkretnych kroków i wypowiedzieć się, co może oznaczać obecny stan chorej. Czas naglił. Maria coraz częściej okazywała niepokojące ożywienie, a nowo zaistniałe przeszkody opóźniały postępy w leczeniu. Radość z częściowego odzyskania świadomości okazała się przedwczesna i zamiast podnieść na duchu, pograżyła w jeszcze większej melancholii. Dziwna przemiana, która nastąpiła u pacjentki, nie posunęła ani o krok efektów leczenia, a pogłębiła tylko przepaść między nią a lekarzem, bo uświadomiła mu, jak skomplikowaną budowlą jest dusza człowieka i jak niewiele można zrobić, by ją otworzyć.

Czuł w sobie tę straszną niemoc i strach przed tym, co odkryje. Nie chciał, by ten dziwny przypadek przekreślił wszystko to, co od lat było dla niego podstawą działania. Bronił się, by nie utracić wiary w wiedzę i praktykę, którą posiadał. Czuł, że każdy dzień zwłoki jest czasem bezpowrotnie utraconym i pracującym na niekorzyść dziecka. Zaczynał powoli wpadać w panikę. Bał się przyjazdu Nieziołowskiego, jego pytań, niecierpliwych, pełnych jadu i złości, ukrywanej skrętnie pod płaszczykiem chłodnej uprzejmości. Obawiał się, że większość tych pytań pozostanie bez odpowiedzi. Jak mógł, tak przesunął w czasie termin jego wizyty. Lękał się, że zanim cokolwiek się wyjaśni, niezadowolony mąż zechce zabrać Marię do Polski. Szczęśliwym trafem dostał wiadomość, że za kilka dni zjawi się z wizytą Anna, siostra Marii. Zadzwoiła wcześniej i zapowiedziała swój przyjazd. Szyc miał nadzieję, że rozmowa z nią wyjaśni mu pewne okoliczności i ułatwi rozmowę z Nieziołowskim.

Przejmujący chłód nocy ocucił go na chwilę z zamyślenia. Na plecach poczuł zimny pot, a w gardle drapanie. To był sygnał, że przeholował z wyczekiwaniem na wiosnę. Teraz nie mógł sobie pozwolić na chorobę. Musiał zachować zdrowie i zimną krew, a zanim dotrze do niego odpowiedź z Wiednia, powinien wziąć się w garść i przygotować na spotkanie z rodziną pacjentki.

VII

Odpowiedź z Wiednia przyszła po trzech dniach. Nie mieli najmniejszych problemów z rozszyfrowaniem języka. Stało się też oczywiste, że Maria nie jest czarownicą, mistykiem ani zjawą z innej epoki. Pozostało tylko pytanie, skąd zna ormiański? Okazało się, że to, co śpiewała, to teksty ze Starego Testamentu, ormiańskie legendy, a nawet ludowe pieśni. Choć zdziwienie Szycy było ogromne, rozpierała go radość, że nie sprawdziły się najgorsze obawy, że Maria nie postradała

zmysłów, a to, co budziło niepokój, jest zapewne niewinnym wspomnieniem czytanych przez nią książek i zawodowych fascynacji. Szyc podziwiał wszechstronność Marii. Posługiwanie się językiem ormiańskim było umiejętnością do pozazdrosczenia. Dopiero teraz zrozumiał, z kim ma do czynienia. W przetłumaczonych tekstach często pojawiał się temat macierzyństwa. To go zdziwiło. Czy świadomość podszeptowała jej, w jakim jest położeniu, czy to tylko czysty przypadek? Bo o tym, że sama mogła cokolwiek czuć, nie było mowy. Cięża trwała zbyt krótko, żeby Maria fizycznie ją odczuwała. Po przeanalizowaniu pozostałych tekstów okazało się, że były dość monotonne w tematyce. Dotyczyły głównie „grzechu pierwородnego, wygnania z raju i macierzyństwa”. A więc to nie był przypadek.

Jakkolwiek by nazwać to zjawisko i uzasadniać, było jasne, że w umyśle Marii dokonują się wielkie przewartościowania, zapadają sady nad sprawcami jej załamania. Wydawało się prawdopodobne, że jako kobieta dojrzała wpadła w pułapkę zastawioną na siebie samą. Wyrzekając się macierzyństwa, świadomie zrezygnowała z przysługujących atutów kobiecości, uznając tym samym podrzędność wobec mężczyzny. Oddała swoje ciało na

100

pastwę losu, zostawiając sobie tylko duszę, w nadziei, że ta, jako bezpłciowa, nie musi wypełniać żadnych zobowiązań. Szyc oczywiście mógł się mylić i opacznie zrozumieć jej intencje, jednak było jasne, że problem jak zadra tkwi mocno w jej ciele i pogłębiony jakimś nie znanym bliżej wstrząsem potęguje depresję. Należało jeszcze tylko poznać przyczynę szoku i droga do duszy Marii będzie stała otworem.

Choć do pełnego szczęścia wiele jeszcze brakowało, a nowe ustalenia nie dały żadnych wymiernych efektów, iskierka nadziei zagościła w sercu Szyca. Nieco spokojniejszy oczekiwał teraz przyjazdu Anny, a nawet liczył na to, że jej obecność pomoże poznać dodatkowe okoliczności w tej sprawie.

W związku z tym, że Maria podpierała się słowami z Biblii, Szyc postanowił poświęcić się tej lekturze dogłębniej, by móc lepiej zrozumieć poszczególne sentencje. Liczył na to, że okaże się dla niego skarbnicą wiedzy i doradcą. Anna przyjechała późnym wieczorem, gdy nad białymi wzgórzami Alp świecił już błądy rogalik księżyca. Drogi były czyste i suche, ale podróż mocno się przeciągnęła. Szyc nie czekał już na nich w szpitalu, tylko u siebie w domu. Przygotował prostą kolację składającą się z żółtych serów, które uwielbiał, razowego chleba i gorącego bulionu. Zarezerwował dla nich miejsca w hotelu i zaprosił do siebie na rozmowę. Czuł się ostatnio bardzo osamotniony, więc spotkanie z rodakami, choć nieznanymi, wydawało się dobrą okazją do miłego, a zarazem pożytecznego spędzenia czasu.

Na gości czekał w fotelu, pałac z przyjemnością swoją ulubioną fajkę. Wiedział, że w tej chwili są w szpitalu i minie prawie godzina, zanim do niego dotrą. Nie chciał spotkać się w klinice, wolał w swoim domu. Na tym gruncie czuł się pewniej i bezpieczniej. Wiedział, co zastaną przy łóżku Marii i jakie wrażenie wyrze na nich jej widok. Najgorsze są pierwsze chwile, gdy widzi się kogoś bliskiego na łożu boleści i nie można znaleźć żadnego sposobu, by mu pomóc. Zanim Anna dojedzie tu z kli-

101

niki, zanim przemierzy w ciemności całą drogę, ochłonie z pierwszych wrażeń i pogodzi się z tym, co zastała. Czas dłużył się niemiłosiernie, a w głowie miał szereg pytań, którymi Szyc chciał zasypać siostrę Marii Jaros, zaklętej przez zły czar w śpiącą królową.

Gości przywitał trzaskający w kominku ogień. Weszli stremowani sytuacją. Chętnie przyjęli zaproszenie do stołu i zaraz zasiedli do przygotowanego przez gospodarza poczęstunku, ale gdzieś w głębi duszy gościł niepokój i podejrzliwość, czym szczególnym zasłużyli sobie na taką gościnność.

Szyc spoglądał na przybyłych i porównał obraz, który nosił w wyobraźni, do rzeczywistego wizerunku Anny. Czuł się trochę zawiedziony. Nie przypuszczał nawet, że mogła się tak bardzo różnić od Marii. Gdy zdjęła z siebie dość wyzywające futro, zrozumiał natychmiast, z jakiego typu kobietą będzie miał do czynienia. Niezależnie od tego, co spodziewał się zobaczyć i usłyszeć, obraz ten nijak nie przystawał do subtelnej i skromnej Marii. Nie, żeby Anna była brzydka. Jej minusem było to, że przedstawiała rodzaj kobiety dalekiej od ideału kobiecości, która odpowiadałaby gustom doktora. Zobaczył przed sobą wysoką, dobrze zbudowaną damę, w wieku trudnym do określenia, dyskretnie uzbrojoną w

gustowną biżuterię, o urodzie dzikiej kotki, nieco potarganej i drapieżnej, która nad wciętą talią nosiła ogromny biust, sterczący i napięty jak nadymane wiatrem płótna żaglowca. Długa, sięgająca prawie do ziemi spódnica zdradzała jakością materiału i fasonem wysoką cenę wyrobu. Anna była z pewnością osobą zamożną. Perfekcyjny makijaż, nie zniszczony podróżą ani emocjami, jakie miała za sobą, starannie podkreślał rysy twarzy, dokładnie tuszując wszelkie mankamenty cery i wiek. Towarzyszył jej nieco ociążały i rubaszny męzczyzna koło pięćdziesiątki, który bez skrępowania i zbytniego wersalu zagajał ochoczo, spoglądając bez żenady na kuszącą kolację. Zanim Szyc zdążył się przedstawić, pierwszy wyciągnął rękę.

– Milczyk – oznajmił krótko.

– Szyc – zabrzmiało w odpowiedzi.

Trudna sztuka konwersacji, nieobca obydwu stronom, już po

102

kilku minutach zaowocowała dość soczystą wymianą wrażeń i nieuchronnie zbliżała ich do podjęcia wiadomego tematu. Dało się odczuć narastające napięcie. Szyc, odpowiedzialny za spotkanie, pierwszy podjął się trudnego zadania.

– Nie wygląda to najlepiej, prawda? – zwrócił się bezpośrednio do Anny, nawiązując do jej wizyty w klinice. – Maria przeszła długą drogę i musi pani wiedzieć, że w porównaniu do tego, jaka była dwa miesiące temu, możemy mówić o dużej poprawie. Odzyskała apetyt, przybrała na wadze i pokochała światło. Powoli wydobywa się z głębokiej depresji i częściej zaszczyca nas swoim spojrzeniem – zabrzmiało nieco patetycznie. – Coś się w niej odblokowało. Dwa miesiące całkowitej izolacji, to był czas potrzebny na przemyślenia. Dokonał się jakiś przełom w jej zdrowiu i teraz wraca do nas. Wygląda na to, że wola życia zwyciężyła.

Cienkie brwi uniosły się wysoko jak wierzchołki gór, chwilę trwały w bezmchu, a potem opadły. Krótkie spojrzenie kocich oczu przeszło Szyca na wskroś. Zglupiał i na moment stracił rezon. Nie spodziewał się po tej z lekka pudłowanej damusi tak ostrej reakcji. Zrozumiał, że nie przyjechała do niego w przypiływie wyrzutów sumienia czy z babskiej ciekawości. Anna była zdesperowana i przygotowana do ataku na wszystkich, którym przyszłoby do głowy drwić choć w najmniejszym stopniu z Marii. Dała mu chwilę na złapanie oddechu i zanim się ocknął, przystąpiła do ataku.

– Nie jestem lekarzem – powiedziała ostro. – Trudno mi ocenić postępy w kuracji, której podjął się pan dwa miesiące temu. Widzę, co dzieje się z nią teraz, i nie wydaje mi się, by miał pan zbyt wiele powodów do zadowolenia. Czy jedyną zmianą na dobre ma być jej poskręcane w dziwnych konwulsjach ciało? Myślałam, że kręci się wokół niej cały świat, a zobaczyłam pozostawioną samą sobie, rozdygotaną istotę. Prawdę powiedziawszy, inaczej wyobrażałam sobie opiekę w takiej klinice. Dziękuję za zaproszenie i zainteresowanie moją osobą, ale to nie ja jestem chora i nieja przyjechałam do pana po ratunek. Dlaczego więc spotykamy się tu, w tym domu, a nie przy łóżku w szpitalu?

Ostry wstęp, którym zaczęło się spotkanie, dał Szycowi po-

103

wód do przypuszczeń, że nie będzie łatwo nakłonić Annę do zwierzeń. Dopóki nie przekona jej do siebie i nie udowodni racji, jakimi się obecnie kieruje, nadzieje, które pokładał, nie spełnią się.

– Proszę się nie unosić – odpowiedział. – Najpierw niech się pani uspokoi, przekąsi coś i wypije. Potem wszystko sobie wyjaśnimy. – Podał jej półmisek z serami, podsunął talerzyk z masłem i nalał do kieliszka niewielką ilość białego wina.

Anna, nieco speszona, podziękowała skinieniem głowy.

– Widzę, że do gaszenia emocji zabiera się pan bardzo fachowo. Chyba nie będziemy się dziś upijać?

– Takim rozcieńczonym winem nie można się upić – uspokajał. – Ono ma tylko podzielać jak herbatka z melisy. – Podał kieliszek milczącemu dotychczas towarzysowi Anny. – Proszę spróbować choć odrobinę.

– Jestem zmęczony drogą, wino zwali mnie z nóg, nawet takie słabe. Poproszę trochę wody albo soku. To mi wystarczy – zdecydował, odsuwając kieliszek.

Szyc z ciekawością zapytał:

– Prowadził pan całą drogę z Polski czy jechaliście na zmianę?

– Wyjechaliśmy rano z Freistadt. Mieszkam tam na stałe. Anna sama przyjechała do Austrii i poprosiła, bym ją tu pilotował. Górskie drogi o tej porze roku są

zbyt niebezpieczne dla nie przyzwyczajonego kierowcy i choć ta kobieta – wskazał palcem – jest osobą odważną i zaradną, wolałem jechać sam aż do celu.

– Od jak dawna mieszka pan we Freistadt? – zapytał Szyc.

– Od stanu wojennego. Wyjechałem kilka miesięcy wcześniej i już zostałem.

– Trudno się było zadomowić?

– Bywało różnie. Początkowo ciężko, ale teraz czuję się jak u siebie i nie żałuję. – Milczyk uśmiechnął się.

– Ja też ustawiłem się tu nie najgorzej, ale wciąż śnią mi się po nocach czerwone maki – rzekł zadumany Szyc.

– Rozumiem. Sam o tym często rozmyślam, lecz do Polski chyba nie wrócę. Nikt i nic tam na mnie nie czeka.

– Można wiedzieć, co robi pan w Austrii, gdzie pracuje?

104

– Jestem lekarzem. Prowadzę w tej małej mieścinie oddział ginekologiczno-położniczy. To dobra praca i właściwe dla mnie zajęcie – odpowiedział szczerze i widać było, że nie kłamie, bo twarz przy tych słowach sama mu się uśmiechała.

– A więc będę miał sojusznika w dyskusji na tematy zawodowe. – Szyc był z lekka zaskoczony.

– Chciałbym, żeby tak było – przytaknął Milczyk poważnie. Szyc poprawił się i wyprostował, zbierając siły na długie i wyczerpujące wyjaśnienia. Ten krótki wstęp zmęczył go. Skomplikowana sytuacja, którą stworzył z własnej woli, nasuwała w myślach tylko jedno stwierdzenie: „Po co mi to było”, pytał sam siebie, zbierając jednocześnie siły na resztę wieczoru.

– Zdam teraz relację z tego, co działo się z pani siostrą przez dwa miesiące pobytu w naszej klinice. – Szyc skierował swoje spojrzenie na Annę. – Proszę uzbroić się w cierpliwość i przygotować na niespodzianki. Będziemy rozmawiali o osobistych sprawach kogoś, kto ze względu na swój stan zdany jest na decyzje rodziny. To, co teraz powiem, jest w zasadzie tajemnicą lekarską. Ponieważ jednak pacjentka nie może decydować w swojej sprawie, muszę państwa poinformować o sytuacji. Pan – zwrócił się do Milczyka – jak rozumiem, został upoważniony do udziału w tej sprawie, bo jeżeli jest inaczej, nie może pan uczestniczyć w rozmowie.

– To jasne, gdyby było inaczej, zostałyby w hotelu – odparła Anna. – Proszę kontynuować, panie doktorze.

– A więc najpierw muszę powiedzieć rzecz najważniejszą. Nim postawiona została właściwa diagnoza, tuż po tym, jak wprowadziliśmy do leczenia środki farmakologiczne, spadła niczym grom z jasnego nieba wiadomość o ciąży. Test ciążowy potwierdził ginekolog. Stanęliśmy więc przed nowymi problemami. – Przerwał na chwilę, by dać słuchającym czas na przyswojenie tej informacji. Oboje nie spodziewali się takiego obrotu sprawy i siedzieli zaskoczeni, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. – Dla nas to też był szok – kontynuował. – Musieliśmy wycofać część leków, przejść na metody mniej inwazyjne, ze względu na dobro dziecka – przerwał, bo widział, jak Anna próbuje pozbierać myśli.

105

– Czy to jest pewne? – Spojrzała na Szyca, a potem na Milczyka, jakby szukała w jego oczach ratunku. – Może zaszła pomyłka?

– Aniu, przecież Maria jest pod opieką lekarzy – próbował tłumaczyć Milczyk. – Ciąża jest faktem, a nie domysłem. Teg nie można przeoczyć ani pomylić z niczym innym.

– Wiem, wiem – wyszeptała. – Ale to jest takie niepra wdopodobne. Brałam pod uwagę różne możliwości, szukałam przyczyn choroby w dzieciństwie Marii, w jej dziwnym usposobieniu, w stylu życia, ale ciąży nie brałam pod uwagę. Czy to możliwe, żeby wiadomość o ciąży tak ją zdenerwowała?

– Wykluczone. – Szyc kategorycznie zaprzeczył. – Badania wykazały, że w dniu przeprowadzenia testów siostra była w ósmym tygodniu ciąży.

– A więc jest nieświadoma?

– Z medycznego punktu widzenia tak.

– Biedna Maria. – Anna zupełnie przygasła. Pewność siebie i tupet, którym zaskoczyła gospodarza, minął bezpowrotnie. Opadł z niej pancierz chłodu, złagodniało spojrzenie. Już nie miała ochoty walczyć. Chciała poznać prawdę, a przynajmniej pomóc w jej dociekaniu. – Czy to możliwe, żeby w takim stanie Maria mogła urodzić zdrowe dziecko? – Patrzyła pytająco na Szyca, wciąż przejęta wiadomością. – Mam ochotę się uszczypnąć. Czy wszystkie złe moce wybrały ją sobie

na ofiarę? – Rozejrzała się, szukając torebki. – Muszę zadzwonić do Jerzego. To jego sprawa, on powinien wiedzieć pierwszy.

– Zadbaliśmy już o to – pospieszył Szyc z wyjaśnieniem. – Dowiedział się natychmiast, gdy ciąża została potwierdzona.

Anna wyglądała na zbitą z tropu.

– A więc ukrył to przede mną, kłamał. Mówił, że u niej wszystko bez zmian. – Wyglądała na zakłopotaną.

– Miał do tego prawo – uspokajał Milczyk. – Może nie chciał przedwcześnie o tym mówić, wolał poczekać, aż wszystko się wyjaśni, wyklaruje.

– Tego mu nie wybaczę – zaakcentowała mocno. – Nigdy!

– Anno, zbyt się egzaltujesz. Maria jest jego żoną i on ma

106

prawo teraz o wszystkim decydować. Przecież sama to przed chwilą stwierdziłaś. Szyc dolał do kieliszków.

– Proszę wypić – zachęcał.

Anna z grymasem przechyliła kieliszek do dna, jakby połykała niesmaczne lekarstwo. Siedziała przez chwilę w milczeniu. Szyc powrócił do innych tematów związanych z pacjentką. Chciał poznać przeszłość Marii, jej styl życia i pracy. Wiele wyjaśniła mu rozmowa z Nieziołowskim, lecz spojrzenie na te sprawy oczami innej osoby, równie bliskiej, mogło rozwiać pewne wątpliwości. Pomiędzy kolejnymi pytaniami zachęcał gości do jedzenia. Atmosfera nieco złagodniała. Nadmiar energii skierowany został do żołądka i rozmowa straciła na ekspresji. Anna usiłowała coś przełknąć, ale jedzenie ledwo przechodziło przez zaciśnięte gardło. Chciała mieć pewność w jednej sprawie. Zapytała jeszcze raz:

– Czy jest szansa, że to dziecko przyjdzie na świat?

– Mamy taką nadzieję. – Ręka z serem zawisała w połowie drogi do ust. – Trudno w tej chwili wszystko przewidzieć. Ciąża rozwija się prawidłowo, lecz co będzie dalej, czas pokaże.

– Który to tydzień?

– Trzynasty.

Liczyła w milczeniu miesiące.

– A więc poród przewiduje się na wrzesień?

– Mniej więcej.

– To mnie przeraża.

– Obecnie wszystko przebiega w sposób naturalny, ale czy tak będzie do końca?

Nie wiem.

– Ona jest taka niespokojna. – Anna przypomniała sobie ciało siostry prężące się nerwowo na łóżku. – Nie zdaje sobie sprawy ze swojego stanu i tym może zaszkodzić dziecku.

– Przecież zdrowa kobieta też nie leży w bezruchu, tylko chodzi, biega, czasem nawet tańczy.

– Ale czuje swoje ciało i zna granice, do których może się posunąć. Maria jest jak pozbawione woli stworzenie.

– Tego nie jestem pewien i o tym właśnie chciałbym z panią porozmawiać. –

Nabrał głęboko powietrza i zaczął opowiadać

107

jej o tym, co zaszło w ostatnich dniach. O dziwnym zachowaniu o jej śpiewaniu i recytowaniu wersetów z Biblii i o związk wypowiedzianych słów ze stanem, w jakim się znalazła.

– Nie do wiary, czyżby coś przeczuwała, czyżby wiedziała.

– Właśnie to mnie zastanawia, nad tym głowię się od pa~ dni. Chciałem jeszcze zapytać. – Nabrał powietrza. – Czy pan' wiedziała, że siostra zna język ormiański?

– Jaki język? – Anna nie zrozumiała.

– Od kilku dni, od czasu, gdy odezwała się po raz pierwszy, nie powiedziała ani jednego słowa po polsku. Mówi i śpiewa tylko po ormiańsku. Robi to z dużą swobodą.

Spojrzała na niego zaskoczona. Przeszłość powracała nieuchronnie. Trudno było otrząsnąć się z niej bezpowrotnie. Wyzierała ciekawie, czekając na okazję.

– Pewno pan tego nie wie, ale matka Marii była półkwi Ormianką. Jej ojciec Leopold Miłosiewicz ożenił się z piękną mieszkanką Armenii.

– Coś podobnego! – Szyc miał zdumioną minę. – Mogłem się tego spodziewać, a jednak jestem zaskoczony.

– Tak, to swego rodzaju oryginalność. Nieczęsto spotyka się w Polsce kogoś

stamtąd.

- A Jarosowie? Czy utrzymywali jakiś związek z tym krajem?
- Tego nie pamiętam.
- A co z językiem? Czy matka Marii rozmawiała po ormiańsku?
- Przy mnie tego nie robiła. Aleja byłam w domu gościem.
- Gdy Maria była zupełnie mała, nie słyszała pani kołysanek albo modlitw w tym języku? - Szcyc nie dawał za wygraną.
- Raczej nie.
- Więc skąd ten ormiański? Maria posługuje się nim bardzo sprawnie. Nie znam ormiańskiego, ale potrafię wyczuć, czy ktoś jest amatorem.
- Nie mam pojęcia - powtórzyła Anna. - Może Maria w swojej chorobie zaszła już tak daleko, że otarła się o czasy swojej babki. Może to ona przemawia jej ustami - zażartowała.

Za oknem zerwał się silny wiatr. Uderzał w szyby, pogwizdu-

108

jąc złowrogo. W korytarzu trzasnęły głośno drzwi. Spod stołu wyskoczył kot i z piskiem uciekł do sąsiedniego pokoju. Wszystkim po plecach przeszły ciarki. Ostatnie słowa Anny wywołały stan dziwnego podniecenia. To, co usłyszeli przed chwilą, wydawało się jakies niezemskie. Obszary niewidzialnych światów przesuwaly ślę tuż obok nich, wywlekały z ciemnych kątów swoje miękkie kształty i wypełniały nimi całą przestrzeń pokoju. Zaczynała pracować wyobraźnia, szukając odpowiedzi na niemożliwe zjawiska. Gdzieś z oddali dobiegł wszystkich cichy monotony śpiew, jakaś melodia bez melodii, piosenka bez słów, dziwne płaczące zawodzenie. Może to wiatr wygwizdywał w kominie swoją pieśń i kuśił zagubionych straceńców swoim śmiertelnym obliczem, a może jakaś dusza z zaświatów, z odległej i nieznaney krajny wiodła ich ścieżkami wyobraźni gdzieś, gdzie na stromej skale rośnie ogołocony z liści dziki krzew berberysu. Dokoła rozciąga się widok na wierzchołki kamiennych szczytów, zniszczonych wsi i spalonych domów. Powietrze wieków, zalegające wokół tej krajny, przesycone ofiarami ludzkiej nienawiści i złośliwości przyrody, kraju wiecznej suszy i niewoli.

W pokoju zrobiło się zimno. Skape firanki wiszące przy samej szybie zafalowały delikatnie. Za oknem z oddali nadpłynął niski, przeciągły pomruk, przypominający odgłosy wiosennej burzy. Anna odruchowo przetarła ręką ciemny blat stołu. Poczula pod palcami delikatne drobiny piasku.

- Skąd się na stole wziął piasek? - zapytała drżącym głosem.
- Moje okna nie są dość szczelne - odpowiedział gospodarz. - Gdy na dworze wieje, trochę piasku zawsze przedostanie się do pokoju.
- A ja - zaśmiał się Milczyk - poczułem się trochę metafizycznie.
- To przez pogodę. Wiatr i burza w zimie nie nastroja zbyt optymistycznie.
- Chyba się trochę przestraszyłam. Ta dziwna historia z Marią pobudziła wyobraźnię. Wydawało mi się, że odpływam stąd gdzieś daleko.
- Może do Armenii. - Zaśmiał się Milczyk.

109

- Być może. Kiedyś interesowała mnie historia tego kraju. Trochę słyszałam w dzieciństwie od macochy, resztę doczytałam sobie później. Pomogły mi stare gazety, przechowywane na strychu naszego domu.
- Co to były za gazety? - zaciekawil się Szcyc.
- Jeżeli mnie pamięć nie myli, jedna nazywała się „Geodeta” i pochodziła z końca dziewiętnastego stulecia, a druga „Widnokręgi”.
- Pamięta pani, czyje to były gazety? Chodzi o właściciela - wyjaśnił krótko.
- Niestety. Po prosu były. Leżały zakurzone na strychu, nikomu niepotrzebne i służyły mi za podnózek. Gdy chciałam dosięgnąć okna, żeby zobaczyć niebo albo dachy innych domów, wchodziłam na nie. Pewnego dnia, gdy wdrapałam się na górę, zrobiło się brzydko i szaro. Padał deszcz. Byłam strasznie zdziwiona. Strych wyglądał jakoś inaczej. Usiadłam na podłodze i wtedy po raz pierwszy spojrzalam z uwagą na rozrzucone wkoło pisma. Zaczęłam je przeglądać, potem czytać. Okazały się studnią wiedzy. Poprosiłam rodziców, by pozwolili mi je zabrać do swojego pokoju. Mama nie była zadowolona. Bała się, że wprowadzę do domu jakaś chorobę. W końcu zgodziła się pod warunkiem, że zostaną dokładnie wytrzepane z kurzu i odświeżone. Potem odłożyłam je na dno szafy i po latach, gdy mama już nie żyła, a w domu gospodarowała nowa żona mojego ojca, odkryłam je po raz drugi. Właśnie tam znalazłam artykuły o Armenii. Zaciekawily mnie, bo były w nich wiadomości o Polakach, którzy mieszkali w Armenii, i o ich losach. Poznałam też skrawek

rodzinnej historii mojej macochy.

Szyc zasłuchany zapomniał o uciekającym czasie, ale gdy Anna skończyła swoją opowieść, powrócił do przerwane go tematu.

– Czy to możliwe, że kilka lat później pani młodsza siostra dorwała się do tych samych gazet?

– Możliwe, ona w czytaniu była niedościgła. Poza tym dużo wiedziała od swojej matki. Słyszałam wiele razy, jak opowiadała jej o przodkach pochodzących z dalekiego kraju, o ich losach i o historii.

110

Szyc był zadowolony, że rozmowa powróciła szczęśliwie do istotnych tematów.

Wykorzystał okazję i wyznał otwarcie:

– Przyznam szczerze, że niewiele wiem o Armenii. Ten kraj tak skutecznie wtopił się w mapę innego państwa, że nieodwracalnie tylko z nim się kojarzy. Pamiętam, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku donoszono o strasznym trzęsieniu ziemi, które ją nawiedziło. Mówiono też sporo o konfliktach z Azerbejdżanem na tle religijnym. To jest historia ostatnich dziesięciu lat. O Armenii wcześniejszej nie wiem nic.

– Zawsze podziwiam mężczyzn za umiejętność takiego syntetycznego utrwalania zdarzeń. W mojej głowie zostają rzeczy dużo mniej istotne. Raczej wrażenia i emocje niż fakty umieszczone w konkretnym czasie. Głodni, pozbawieni dobytku ludzie, ich łzy, tragedie, nędza. Brak mi rzeczowej wiedzy, za to jest mnóstwo uczuć. Mężczyźni pamiętają konkretne daty, zmiany na mapie świata i nazwiska wodzów.

– Widocznie tak miało być. Ktoś to z rozmysłem podzielił – zażartował Milczyk.

– Jest w tym sprytnie obmyślony plan Stwórcy.

– Czy wiesz – Anna coś sobie przypomniała – że do dzisiaj wspominam dzień, gdy swoim granatowym maluchem przyjechałeś, by się pożegnać przed wyjazdem do Austrii. Samochód miałeś zapakowany po sam dach, a na wierzchu pobrzękiwała twoja rodowa porcelana w czerwone różyczki i doniczka z kwiatkiem.

– A ja pamiętam, że to było dziesiątego października i że miałem przy sobie tylko dwieście marek. Kwiatka nie pamiętam.

– Myślałam wtedy, że się już nigdy nie zobaczymy. Gdy ogłosili stan wojenny, wydawało mi się, że to koniec wszystkiego, a ty tłumaczyłeś mi, że dopiero początek. Zawsze miałeś do wszystkiego indywidualny stosunek. Całe szczęście, że Pan Bóg nie pożałował nam takich różnic w ocenianiu świata. Przynajmniej możemy się nawzajem poznawać.

Jakimś dziwnym trafem rozmowy znów się oddaliły od Marii. Wprawdzie balansowały na tej samej linii i wciąż dotyczyły spraw płci, kobiecego i męskiego systemu wartości i reagowania na przeróżne sytuacje, to jednak zdecydowanie opuściły szpitalne

111

i zdrowotne problemy. Każdy miał do powiedzenia coś innego. Milczyk, wyglądający początkowo na aroganta, okazał się człowiekiem błyskotliwym i odczytanym.

– Powiem państwu szczerze, że już od dawna bardzo interesują mnie podobieństwa i różnice pomiędzy kobiecym a męskim postrzeganiem. Okazuje się, że oprócz znanego nam wszystkim i przyjętego jako właściwy, biblijnego mitu o stworzeniu świata, istnieje drugi, babiloński. Pewien szwajcarski uczoney, analizując mity Rzymian, Greków i Egipcjan, stwierdził, że patriarchalna struktura społeczeństwa, przyjęta od dawna w całej historii obecnego świata, jest dość młodym tworem i że poprzedzał ją matriarchat.

– No proszę – wyraziła swoje zadowolenie Anna.

– To odważna teoria, choć nie znaczy, że nieprawdziwa – dopowiedział Szyc. – Znam ją i choć niezbyt przypadła mi do gustu, potrafię znieść to z godnością – zażartował. – Jako facet, wolę tę tradycyjną.

– Podobnie jak większość męskiego rodu, bo odbiera nam przewagę dziejową – dodał Milczyk.

– Na szczęście brakuje na nią dowodów.

– Może wystarczy ją tylko inaczej zinterpretować.

– Więc uważa pan, że to kobieta była w dawnych czasach prawdziwą patronką ludzkości? – Szyc bronił pozycji mężczyzn.

– Dlaczego nie. To dość prawdopodobne i ciekawe. Świat rządzony przez kobiety miałby swój specyficzny powab. Badania nad tym wskazują, że pierwotną fazę matriarchatu poprzedzała niedojrzała i prymitywna forma społeczeństwa, opierająca się głównie na naturalnej kreatywności kobiety nie uwiązanej

instytucją małżeństwa, kierującą się jedynie intuicją i uczuciem.

– A mężczyźni? – odezwała się Anna, zaniepokojona ich losem.

– Jak zwykle w takich sytuacjach spiskowali – wyjaśnił Milczyk. – Czuli potrzebę wyrwania spod władzy sił natury i postawili na rozwój duchowy.

– To znaczy, że kobiety były istotami bezdusznymi? – Anna obruszyła się.

– W pewnym sensie tak – przyznał Milczyk bez litości. –

112

W kulturach matriarchalnych panowało całkowite podporządkowanie się naturze i jej siłom. Przeciwwstawiano się wartościom intelektualnym, jako niszczącym i destrukcyjnym, wynosząc ponad nie poddanie się naturze i ziemi jako elementom zgodnym z wrodzoną człowiekowi nieświadomą prawością. Matriarchat to uznawanie wyłącznie życia cielesnego, naturalnej prokreacji włączonej w cykl narodzin, matczynego poświęcenia oraz instynktu.

– Mężczyzna musiał się wtedy wydawać jakimś kalekim osobnikiem w stosunku do kobiet. Przecież tylko one posiadały umiejętność podtrzymywania gatunku. – Anna uśmiechnęła się, nie kryjąc zadowolenia.

– Do czasu. – Szyc pospieszył panom na ratunek.

– Nie rozumiem – zaproponowała.

– Do czasu, aż nie wyszło szydło z worka. W końcu ludzie zaczęli rozumieć związek między aktem płciowym i ciążą, pojęli, że nie tylko kobieta daje dziecku życie.

– No właśnie – włączył się Milczyk. – Wtedy okazało się, że matka natura może obrodzić swym bogactwem, jeśli otrzyma od siewcy potrzebne do tego ziarno.

– I wtedy zaczęliście być górą? – zapytała z przekąsem.

– Nie od razu. Pierwiastek męski zaczął niebawem odgrywać coraz znaczącą rolę. To mężczyzna wyzwolił ducha od zjawisk natury i wyniósł ludzkość ponad prawa materii. Postanowił najwyższe szczyty zdobywać o własnych siłach. W walce o swoje prawa zdobywa świadomość ojcostwa, wznosi się ponad zasadę macierzyństwa i walczy o to, by być ubóstwianym.

– A mówi się, że to kobiety są próżne. – Anna niezadowolona z obrotu spraw próbowała zemścić się za pokonane w wyścigu o władzę kobiety. – To jest właśnie patriarchalne podejście do kobiecości.

– Wygląda na to – zauważył Szyc – że poczuła się pani urażona utratą dziejowej pozycji kobiety.

– Wygraliście tylko dlatego, że jesteście silniejsi fizycznie. Tym sposobem zmuszacie nas, byśmy udawały próżne, dezorganizowane, dziecinne i niezaradne, ale koniecznie urocze.

Rozmowa nabierała rozpędu i nerwowości, choć pozornie była

113

zabawą w kotka i myszkę. W trakcie gorączkowej dyskusji okazało się, że walka pomiędzy płciami jest ciągle aktualna. Świat kobiet i mężczyzn wciąż z taką samą zawziętością walczył o przywództwo.

– A było tak: Gdy dwa tysiące lat przed Chrystusem, w dalekim Babilonie – kontynuował Milczyk swoją opowieść – bóg Marduk pokonał stojącą na czele babilońskiego panteonu boginię Tiamat, świat kierował się prawami równości i wolności. Wówczas kobiety – skinał z uznaniem w kierunku Anny – wychowują potomstwo, rozszerzając swą miłującą opiekuńczość poza granice własnego życia. Czy zgadza się to z ową teorią, panie doktorze? – zapytał Milczyk.

– Zgadza się w zupełności. – Szyc odpowiedział z uśmiechem, patrząc jednocześnie na Annę.

– To sprawiało, że kobieta była trwałą ostoją kultury, życzliwości i troski o gniazdo. – Wywody Milczyka nie miały końca. Anna wyglądała na zniecierpliwioną.

– Matka kocha swoje dzieci dlatego, że są jej dziećmi, kocha bezkrytycznie i ślepo. Patriarchat wprowadza do tego świata coś całkiem przeciwnego, hierarchię i nierówność. Zasady ojcostwa to reguły prawa, porządku, nauki, cywilizacji, a wraz z nią ucisku, nierówności i walki o terytoria.

– Jest więc tak, jak mówiłam. Jesteście burzycielami praw ustanowionych przez kobiety, ojcami rewolucji, która sprowadziła na całą ludzkość nieszczęście.

– Ale jednocześnie jesteśmy sprawcami postępu i twórcami obecnej cywilizacji, bez nas tkwiłybyście gdzieś w ciemnym lesie, koczując w jaskiniach i opędzając się zielonymi gałązkami od much i innego robactwa, walczyły o przetrwanie, włokąc za sobą zgraję dzieciaków, z których żaden nie znałby swojego ojca. Anna parsknęła śmiechem. Lody zostały przełamane, a płciowe przepychanki nie rozstrzygnięte.

– Więc dlaczego przekleństwo całego świata skierowane jest przeciwko Ewie? – Próbowała jeszcze raz odzyskać utracone pozycje. – Dlaczego jak głupia gęś musi się tłumaczyć za erotomana Adama?

114

– Przegrałyście wojnę o władzę. Pokonany ma zawsze mniejsze prawa. Musi ustąpić pola i popada w stan poddaństwa. Mężczyzna zwycięża, oczyszcza przedpole, degraduje kobietę i wynosi na tron męskiego boga.

– Mówi się o tym, że w najbliższym czasie – Milczyk chciał postawić kropkę nad „i”, bo czuł się odpowiedzialny za wywołanie tematu – wejdziemy w stan całkowitego wyrównania hierarchii i powstanie model, który będzie połączeniem matriarchatu i patriarchatu. Może wówczas i ty, Aniu, i my – spojrzal znacząco na Szyca – będziemy usatysfakcjonowani. – Podniósł do góry kieliszek napełniony wodą mineralną. – Wypijmy za mądry i szlachetny świat, który kiedyś być może się narodzi.

– Teraz zaparzę kawę. Myślę, że wszyscy napijemy się jej z rozkoszą. Pania poproszę o przygotowanie deserów. – Szyca wskazał salaterkę pełną drobno pokrojonych owoców i pojemnik ze śmietaną. – Talerzyki są na stoliku pod lampą, bo tam się chyba przesiądziemy – zaproponował.

Zapanował kontrolowany galimatias. Pan domu zniknął i po chwili słychać było, jak postukuje w kuchni filiżankami, Anna nakładała owoce, a Milczyk skierował się w stronę holu i z kieszeni kurtki wyjął przy wiezioną butelkę szampana.

– Wiedziałem, że się przyda. – Pokazywał Annie z triumfalną miną, stawiając ją na stole.

Do pokoju wszedł Szyca z tacą.

– Ten specyfik – wskazał palcem dymiący, czarny napój – to kawa z cynamonem i miodem. Parzona według starej chińskiej sztuki. Odświeża, dodaje wigoru i podnosi na duchu. Pijają chińscy mędrcy, którzy są czcicielami życia, przestrzegają praw krążenia i przenikania się w przestrzeni najróżniejszych form energii. Od jej przepływu uzależniają pomyślność życiową i zdrowie.

– Chińczycy to prawdziwi celebryci. Potrafią dodać życiu specyficznego uroku, choćby wcale nie było takie piękne – stwierdziła.

– Myśli pani, że istnieje jakaś recepta na to, by pokochać życie, ze wszystkimi jego przejawami? – zastanawiał się Szyca.

115

– Ja kocham swoje życie! – zapewniła gorączkowo. – Nie zawiodłam się na nim.

– Jest na to recepta? – kontynuował.

– Wątpię, to zależy od człowieka, od tego, czego od życia chce i co z tych pragnień uda się mu zrealizować.

– A jeśli nic się nie udaje?

– Wtedy... – zamyśliła się – idziemy do psychoanalityka. On będzie wiedział, co zrobić z tym fantem.

– Niestety, to nie jest takie proste. Nie ma recepty, według której można by pokochać życie. Można się wiele nauczyć. – Szyca pomyślał o problemach swoich pacjentów. Dla nich to nie było takie oczywiste. – Jeśli ktoś potrafi wyzbyć się iluzji, spojrzeć na siebie i innych z wyrozumiałym dystansem, jeśli potrafi wyciszyć się, zatrzymać w biegu, zamiast stale dokądś gnać, ma szansę dojrzeć w nim urok i wdzięk. Ludzie okaleczeni, którzy nie potrafią znieść męki z powodu wątpliwości, zapadają się często w głąb siebie. – Szyca, mając nieustannie w pamięci chorą Marię, próbował powrócić do rzeczywistości, od której nie mógł nigdzie uciec. – Nie wystarczy po prostu kochać, dobrze chcieć dla człowieka, jeśli nie wiemy, czego mu do życia potrzeba, co jest dla niego najlepsze, najzdrowsze.

Słowa te strąciły ich z wysokich chmur, z filozoficznych dylematów w stylu Kalwina i Kanta, na ziemię, gdzie toczyła się teraźniejszość, nie dla wszystkich prosta i zrozumiała. Dali się ponieść fali. Przebyli drogę przez trzy tysiąclecia, by rozwikłać tajemnice ludzkiego istnienia, zapominając, że tak naprawdę są tu, żeby ocalić tylko jedno życie, małe nic nie znaczące w obliczu dziejów, lecz jakże dla nich ważne. Nagle kawa przestała smakować, szampan stracił różowe bąbelki, a za oknem nasiliło się wycie wiatru i znów powiało chłodem.

Milczyk spojrzal na zegarek. Dopil szybko kawę i zauważył:

– Zdaje się, że nadużyliśmy gościnności. Proszę nam wybaczyć i przyjąć od nas zaproszenie na jutro do hotelowej restauracji, będzie nam miło kontynuować rozmowę. – Żegnał się wylewnie, potrząsając ręką Szyca bez opamiętania. Anna

stała z boku i szykowała ostatnie pytanie.

116

.- Czy zobaczymy się jutro w klinice u Marii? Nie wyjaśniliśmy sobie jeszcze wielu rzeczy. Jeśli to pana interesuje, trzymam w zanadrzu pewne szczegóły dotyczące ormiańskiego pochodzenia jej matki i rodzinnych związków z Armenią. – Liczyłem na to.

Długie przedpołudnie, spędzone przy łóżku Marii, zmęczyło ją i przygnębiło. Była u niej sama, bez Milczyka. Nie chciał się narzucać i wtrącać zbytnio w jej sprawy. Wyjechał na cały dzień do Grazu i obiecał wrócić wieczorem. Następnego dnia rano wybierali się w drogę powrotną.

Serce miała przepełnione bólem. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo kochała swoją siostrę. Długie lata rozłąki oddaliły je od siebie. Różne charaktery utrudniały porozumienie. Były całkiem inne. Każda na swój sposób odbierała życie. Więc mijały się z pozorną obojętnością, mając z tego powodu nieustające wyrzuty sumienia. Potem wystarczał im fakt, że są, że jakoś sobie radzą i plotą cierpliwie każda własny warkocz życia, w cichości ducha szczęśliwe, że decydują o własnych sprawach, bez wzajemnej ingerencji. Maria nie miała zwyczaju wtrącać się do życia Anny, tej z kolei brakowało odwagi na otwarte wprowadzanie poprawek u siostry.

Po latach, w życiu Anny wiele się zmieniło. Okrzepła w aspiracjach, więc rozmiar problemów zmalał do spraw osobistych. Gdy dom opustoszał, a prowadzenie firmy nie wymagało aż takich zabiegów, zabrakło ognia łączącego teraźniejszość z przyszłością. Wtedy w życiu Anny na powrót pojawiła się Maria i zaczęła wypełniać sobą powstałą pustkę. Przyszłość młodszej siostry wtargnęła niespodziewanie w jej życie i zaprzętnęła myśli, jakby ktoś nagle odkrył jej istnienie. A przecież była zawsze. Żyła obok swoim własnym życiem, nie szukając oparcia, samodzielna, skromna i niekłopotliwa. Cóż to znaczyło? Dlaczego tak mało o sobie wiedziały, dlaczego wolały bezpieczną odległość niż bliskie obcowanie? Anna zdawała sobie sprawę z różnic. Ich światy zbytnio od siebie odstawały. Anna – ruchliwa i impulsywna, czerpiąca z życia pełnymi garściami, i Maria – skryta, subtelna,

117

zaczytana, wciąż nieobecna – przebywała we własnej przestrzeni, na swój sposób szczęśliwa. Ale czy rzeczywiście? Tego Ann nie była do końca pewna. Zbyt długo ociągała się z siostrzan pomocą. Nie dość wyraźne były symptomy choroby, by na czas zareagować. A pomaganie Marii nie było łatwe. Ona żyła po swojemu i sama dokonywała wyborów, nie zwracając uwagi na rady bardziej doświadczonych. Do każdej rzeczy przykładała swoją miarę i według niej żyła. Dokąd doprowadziło Marię takie postępowanie, co spowodowało załamanie, dlaczego nikt niczego nie zauważył, gdzie był Jerzy, gdzie była ona – starsza siostra? Teraz już nie zostało nic do naprawienia. Lekarze i szpital – to ostatnia deska ratunku. Dziś, gdy zobaczyła to opuszczone, anemiczne ciało, straciła resztki nadziei. Gdy stała przy łóżku siostry i próbowała z pustych, błędzących bezmyślnie oczu odczytać wyznanie, łudziła się, że więzy krwi będą silniejsze niż lekarstwa i kuracje. Mówiła do niej, usiłując za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Wchodziła w tor, po którym przesuwali się jej oczy, by zainteresować swoją twarzą. Głaskała po rękach, po bladych policzkach, prosiła, chciała słowami zmusić do reakcji. Wszystko na nic. Kilka razy ich źrenice na ułamek sekundy spotkały się ze sobą, rozbliły i natychmiast zgasły. Maria nie rozpoznawała siostry. Wymawiała niezrozumiałe słowa, monotownie, bez akcentów jak modlitwę. Palce kościstych rąk przekładała w taki sposób, jakby przesuwiała w nich paciorki różańca. Czasami rozkładała je, próbując złapać niewidzialny przedmiot, zagarniała powietrze, szukając jakiejś umykającej materii. To było bardzo przygnębiające. Trudno pogodzić się z taką prawdą. Zachowanie Marii budziło grozę. Anna przyglądała się tym gestom, chcąc cokolwiek z nich wynioskować. Bez skutku. Słuchała przerażona niezrozumiałych jęków i narastał w niej gniew. Po godzinie obcowania z dziwnymi dźwiękami czuła, że za chwilę sama straci rozum. Rękami zatkała uszy, by nie zwariować. Jak długo można tak biadolić, zastanawiała się zniecierpliwiona. Wykrzywiona twarz siostry niczego nie wyjaśniała. Może trzeba ją potrząsnąć, wydobyć brutalnie z dziwnej zapaści, potraktować jak krnąbrne dziecko, które wy-

118

łamało się z zasad dobrego wychowania. Anna miała ochotę wyć ze złości, lecz zamiast tego stała bezradnie i desperacko poszukiwała jakiegoś rozwiązania.

Próbowała rozmawiać z Marią, lecz ta zagłuszała skutecznie siostrzany monolog. Dziwna to była rozmowa. Słowa gniewu i próśb przeplatały się z nutami żalu i modlitwy. Zmagały się ze sobą w niezrozumiałej szermierce o prawo do pierwszeństwa. Anna wyrzucała z siebie całą złość i żal, usprawiedliwiała swoje zaniedbania, tłumaczyła się z lat obojętności, z nie dotrzymanych obietnic. Maria oskarżała, choć nikt tych oskarżeń nie potrafił rozszyfrować. Emocje narastały po obu stronach, słowa były coraz bardziej napastliwe, skala głosów coraz wyższa, tempo wciąż szybsze, bardziej nerwowe, głosy zbliżały się do granicy krzyku. Ręce Marii, bezładnie szukające oparcia, zamknęły się nagle z całej siły na dłoniach Anny i rozległ się głośny krzyk:
– Urodzę kamień!!!

Anna znieruchomiała. Czyżby się przesłyszała? Słowa zamarły w jednej chwili na jej ustach, czekała. Musiała mieć pewność. Siedziała w bezruchu, żeby nie spłoszyć tej chwili, żeby nie wystraszyć Marii. Potrzebowała potwierdzenia, jeszcze jednego znaku, dodatkowej porcji nadziei. Czująciepłobijące z rąk siostry i łudziła się, że powie coś jeszcze.

*

Zbliżało się późne popołudnie. Anna zjadła obiad i wypila zamówioną do pokoju kawę. O czwartej zeszła na dół. Czekając na Szyca, przeżywała wciąż na nowo słowa siostry i bała się myśleć, co one znaczą. Umówili się w oranżerii, naprzeciw głównego holu, w przeszklonej aż po błękit nieba przestrzeni, gdzie soczysta zieleń kwiatów, połączona z przyjemnym obiciem mebli, kojarzyła się jednoznacznie z wiosenną łąką. Wielkie oszklone pomieszczenie, wystające jak przyszcz na ścianie budynku, wsuwało się w głąb doliny pomiędzy strzeliste drzewa. Dookoła rozpościerał się widok na góry i ciemniejące już po zachodzie słońca niebo. Siedziała w głębokim fotelu, pod mandarynkowym drzewem, i obserwowała, jak poświata zachodzącego słońca bar-

119

wi najwyższe wierzchołki. Przyroda jak zawsze nie zawracała sobie głowy ludzkimi problemami i przestrzegając niezmiennie swoich rytmów, chwaliła urodą wieczora mijający dzień. Annie ten dzień nie dodał, niestety, otuchy. Bez wielkich zachwytów spoglądała na cudowny pejzaż i pozostała obojętna na jego czar. To, czego dzisiaj doświadczyła, zamąciło jej wyobrażenia o stanie siostry i potwierdziło diagnozę lekarzy. W cichości ducha żywiła nadzieję, że potrafi w jakiś sposób obudzić w Marii resztki zdrowego rozsądku, i nie mogła pogodzić się z myślą, że jednak tego nie dokonała. Zachowanie siostry wyprowadziło ją z równowagi, ukazując pełen obraz choroby. Jeżeli jeszcze wczoraj miała wątpliwości co do obaw lekarzy, teraz przekonała się, że nie przesadzali. Odniosła wrażenie, że jest dużo gorzej, niż można było podejrzewać, pojęła to, co jeszcze kilka godzin wstecz wydawało się niemożliwe. Była prawie przekonana o niepoczytalności Marii. Próbowała sobie to jakoś wyjaśnić, doszukując się przyczyn w przeszłości, w jej dziwnym usposobieniu, w ogłupiającej pracy wśród zakurzonych widm. Obawiała się, że Maria utknęła na dobre w nierealnym świecie, dała się pogrążyć w nie swojej fabule, oderwać od realnego bytu i zupełnie zatracić.

Myślała też o Jerzym, jak sobie poradzi? Jeśli Marii uda się urodzić to dziecko, jaki będzie ich los? Jerzego nie lubiła, a i on nie darzył jej sympatią. Wyczuwała to na każdym kroku. Może trudno przyzwyczajał się do jej wścibstwa, do pytań, którymi zarzucała siostrę, i traktował je jak atak. Nie potrafili spokojnie rozmawiać. Wciąż dochodziło do jakichś spięć. Anna nie chciała tego, ale miała trochę niewyparzony język i czasami waliła prawdę prosto w oczy. Ci, co znali ją dobrze, niewiele sobie z tego robili, jego mogło to irytować. Anna była osobą łatwo nawiązującą kontakty. Bardzo szybko zjednywała sympatię ludzi, jeśli jej na tym zależało. Nie potrafiła, niestety, zastosować tego wobec własnego szwagra. Wprawdzie lata rozmawiania z klientkami sprawiły, że w jej głosie można było wyczuć nieszczerą tonę, zbyt nadskakujące, lecz przecież to było tylko zawodowe skrzywienie. A może Jerzy był lepszym psychologiem, niż myślała. Czuł, że nie zaakceptowała go jako męża siostry.

120

Szyc zbliżał się z daleka, ściskając w ręce zwiniętą w rulon gazetę. Anna patrzyła na niego, pytając samą siebie, dlaczego ten człowiek tak angażuje się w jej sprawy. Czy każdym pacjentem zajmuje się tak sumiennie, czy tylko najtrudniejszymi przypadkami? Budził jej zaufanie, była pewna, że bez obawy może podzielić się z nim swoimi wątpliwościami.

Rozmowa zajęła im prawie dwie godziny. On przyszedł sumiennie przygotowany. Spędził kilka godzin nad książkami, poznając uroki i tajemnice Armenii. Nawet nie przypuszczał, że tak wciągnie go historia tego kraju. Parę zdań, które usłyszał od Anny, rozbudziło w nim ciekawość i skłoniło do głębszych poszukiwań. Jeszcze nie przyznał się do tego, co wie. Siedział i słuchał, jak Anna opowiada historię swojej rodziny, ze szczególnym namaszczeniem traktując watek siostry. Wspominała zdarzenia z dzieciństwa, młodości, doszukiwała się w nich oznak patologii, świadczących na niekorzyść Marii. Poszukiwania nie wniosły niczego do sprawy i została im tylko rozmowa na temat Natalii Miłosiewicz, matki Marii.

– Nie byłam nigdy w Armenii. Trochę jednak o niej słyszałam. Macocha czasami opowiadała, a ja byłam przerażona tym, co słyszę, więc pozostawałam przy wiedzy encyklopedycznej. Byłam mniej wrażliwa i brakowało mi cierpliwości, by rozmyślać i rozpaczać nad losem ludzi, którzy nic mnie nie obchodzili, ale mimo wszystko, gdy nadarzyła się okazja, z zainteresowaniem o tym przeczytałam.

– Co to była za okazja? – zapytał.

– Tak się złożyło, że zięć, mąż mojej córki – wyjaśniła, jakby posiadanie zięcia graniczyło z cudem – studiował dziennikarstwo i w ramach studenckich wyjazdów pojechał zwiedzać rejon Kaukazu. Penetrowali Armenię i część Turcji. W Armenii mieszkał siedem dni i w tym czasie dużo dowiedział się o tym kraju. Przywiózł ze sobą albumy, no i oczywiście żywe wrażenia. Wciąż do nich wracał, a filmy z podróży były przez jakiś czas głównym tematem opowiadań i wspomnień.

– Muszę przyznać, że wzbudziła pani moją ciekawość. Dopiero wczoraj uświadomiłem sobie, jak mało mówi się o tym

121

kraju. A przecież odegrał bardzo ważną rolę w historii chrześcijaństwa. Choć geograficznie Zakaukazie należy już do Azji, to Armenia i Gruzja były od wieków związane kulturowo i religijnie z Europą. Chrześcijaństwo ogłoszono tutaj religią oficjalną a ambicją bogatych było kształcenie swoich dzieci na europejskich uniwersytetach. – Szyc recytował swoją wyuczoną lekcję dając Annie do zrozumienia, że dość wszechstronnie przygotował się do rozmowy. Nie chciała mu przeszkadzać i z zainteresowaniem słuchała tego, co mówi. – Ormianie czują się trochę zapomniani. Twierdzą, że są ostatnią fortecą europejskiej i chrześcijańskiej kultury i mają rację. Armenia jest rówieśnicą Babilonu i Persji, istniała w czasach Grecji i Rzymu, prawie cztery tysiące lat przed początkiem historii Polski, dokładnie pięć tysięcy lat wstecz.

– Coś mi się zdaje, że oczarowała pana ta historia – zauważyła.

– Szczerze przyznam, że tak, i potrafię teraz zrozumieć rozgoryczenie Ormian, że mieszkaniacy Europy wzrusza ramionami, gdy go zapytać, czy wie coś o Armenii.

– Do stolika pod mandarynkowym drzewem podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Szyc spojrzął na Annę. – Czy mogę coś zaproponować do picia?

– Kawę poproszę, a niech tam. – Machnęła ręką. – Jedną przed chwilą zaliczyłam – tłumaczyła się Szycowi. – Ale z przyjemnością wypiję drugą.

– Dla mnie również – zwrócił się do dziewczyny. – A może coś słodkiego? – zaproponował.

– Och, nie. Niech mnie pan nie kusi.

– A ja poproszę kawalek jabłecznika. Mam słabość do słodczy – usprawiedliwił się. – Ale proszę mówić dalej – wrócił do przerwanej rozmowy. – To bardzo ciekawe. Wspominała pani o zięciu. – Szyc z uwagą nadstawił ucha. Kątem oka zobaczył, że ktoś się im przygląda. To była Joanna. Siedziała po drugiej stronie oranżerii, popijając kawę. Wręku trzymała gazetę, czytała. Miejsce obok niej było puste. Udawała zajęta, lecz ukradkiem zerkała w stronę rozmawiających. Odległość była zbyt duża.

122

Nie mogła widzieć, że Szyc załatwia sprawy służbowe. Ze względu na jego zaangażowanie mogła podejrzewać, że to raczej towa-rZyska konwersacja, a może coś więcej. Wyraźnie cierpiała.

.– No właśnie. – Anna poprawiła się w fotelu. – Otóż mój zjęć długo wspominał pobyt w tamtych stronach. Wyjawiał, że bardzo przeżył spotkanie z Armenią. Czuł, jakby się znalazł w kolebce cywilizacji. Krajobrazy, męczeńskie dzieje tego kraju i poznani, bardzo gościnni, wykształceni i niezwykle ocytani ludzie to było dla niego wielkie zaskoczenie. Nie przypuszczał, że tak tam jest. Ormianie bardzo mu zaimponowali. Zaprowadzili go na szczyt tych mistycznych gór Ararat i pokazali cudowne widoki, miejsca religijnych kultów i miejsce, na którym osiadła Arka Noego. To musiało na niego podziałać. Widoki jak z fantastycznych komiksów,

skały siejące grozę, ponure doliny i ten szczyt. Dla Ormian jest symbolem ojczyzny. Ormianie, zanim położą się spać i natychmiast, kiedy wstana, podchodzą do okien i w milczeniu wpatrują się w górę. To ich codzienny rytuał, ich obowiązkowa modlitwa.

– A przecież gór im nie brakuje – wtrącił się ponownie Szcyc. – Można by powiedzieć, że jest to kraj beznadziejnie górzysty. Jego terytorium przecina szesnaście pasm górskich wzdłuż i wszerz. Jest też niesamowicie kamienisty. Mówi się żartobliwie: „kraina wygasłych wulkanów” albo „muzeum geologiczne”. W nadludzkich wysiłkach wydziera się góromkawałek ziemi, na której dałoby się cokolwiek uprawiać.

– Jest taka legenda – Anna popijała kolejną kawę, która przed chwilą pojawiła się na stoliku – jak to Pan Bóg przesiewał ziemię przez sito. Ziemię dał Gruzinom, a kamienie rzucił Ormianom.

– «Coś jednak dało się wykrzesać z kamienia – dopowiadał Szcyc. – Teraz w Armenii uprawia się sześćset gatunków winogron, brzoskwinie, granaty.

– No właśnie. – Anna przytaknęła. – To niesamowite, czego potrafi dokonać człowiek. Widziałam zdjęcia, na kamienistych zboczach rosną sady morelowe, winogrona, niespotykane gatunki śliwek. Mam na ten temat obszernie artykuły. Mogę wysłać je panu po powrocie.

123

– Z chęcią je przeczytam.

– Mam też krótkie notatki ze starych czasopism, w których można przeczytać o Ludwiku Milosiewiczu, pradziadku Marii. To on dał początek armeńskiej historii rodu. Pochodził z Warszawy. Był synem generała znanego z powstania listopadowego.

Szcyc wrzucił do kawy kostkę cukru. Mieszał energicznie, spoglądając ukradkiem na wyraz twarzy swojej rozmówczyni. Była mocno podekscytowana. Krople ciemnego płynu spadły mu na palce i na białą serwetkę leżącą na stoliku. Brązowa plama powoli rozpląwała się wzdłuż włókien tkaniny. Szcyc przesunął talerz z ciastkiem, by to ukryć.

– W jaki sposób trafił do Armenii? – zagadał szybko.

– Na Kaukaz trafił dobrowolnie. – Anna zauważyła przestępstwo i uśmiechnęła się. – Chciał się tam nauczyć wojaczki. Mieszkał gdzieś przy granicy Azerbejdżanu i Gruzji.

– Trudno zrozumieć, że polski oficer dobrowolnie skazywał się na takie wygnanie – zastanawiał się Szcyc.

– Polacy mieli wtedy u Ormian bardzo dobre notowania. Ceniono ich jako ludzi inteligentnych, dobrych strategów, karnych żołnierzy.

– Interesujące. – Szcyc przysłuchiwał się z zainteresowaniem. – Skąd pani o tym wszystkim wie?

– To mnie swego czasu interesowało. Przy odrobinie dociekliwości można znaleźć trochę publikacji. Gdybym wiedziała, że będę musiała o tym mówić, to przygotowałabym się lepiej. – Roześmiała się szczerze. – Ale wracając do tematu. Z tego, co pozostało mi w pamięci, wiem, że od lat trzydziestych dziewiętnastego wieku Polacy zaczęli podejmować pracę w Armenii i osiedlali się na stałe. W Polsce była wtedy bieda, brakowało miejsc pracy i mieszkań. Tu mieli szansę szybszego awansu, lepszych warunków do życia. W tym czasie służba wojskowa trwała dwadzieścia pięć lat. Więc wojskowi po jej odbyciu decydowali się pozostać tam na zawsze. Cóż mogli szukać w Polsce ludzie blisko pięćdziesięcioletni. Musieliby życie rozpoczynać od nowa. Szcyc pomyślał o sobie. Był przecież w podobnej sytuacji.

– Pamiętam, jak przyjechałem do Austrii dwadzieścia pięć

124

lat temu. Kim wtedy byłem i jak się czułem, bez rodziny i znajomych, w całkiem obcym miejscu? Teraz, gdy jadę odwiedzić rodzinne strony, wytrzymuję kilka dni i już ciągnie mnie z powrotem. W Polsce czuję się obco.

– Milosiewicz wyjechał na Kaukaz dobrowolnie. Uległ, w pewnym sensie, rozpowszechniającym się w tym czasie hasłom nawołującym do bogacenia się przez zdobywanie nowych miejsc pracy, odkrywania mało docenianych części świata. – Gęste włosy Anny opadały niesfornie wzdłuż twarzy. Odgarniała je odruchowo. – Przybywająca tam ludność polska była ponoć bardzo dobrze przyjmowana w nowym środowisku. Pomagano im znaleźć pracę, służyło wsparciem moralnym.

– Jestem ciekaw, czy był zadowolony z decyzji.

– Ustawił się dobrze w nowej rzeczywistości – zapewniała Anna. – Jak tylko tam

się znalazł, zapalał miłością do tego kraju. Uległ jego urokowi i bez wahania został na zawsze. Bardzo szybko znalazł dla siebie miejsce. Zajął się uprawo roślin. Stworzył prawdziwy roślinny rezerwat. Sprowadzał je z całego Kaukazu. Do ostatnich dni życia pracował. Przez ten czas wyhodował jakieś specjalne gatunki herbat subtropikalnych oraz cytryn i pomarańczy. Odkrył też sześćdziesiąt nie znanych nauce roślin i zwierząt.

– A więc był prawdziwym pasjonatem. A my się dziwimy, skąd w naszej Marysi takie zawodowe zacięcie.

– Jakby tego było mu mało, dał się porwać nowej pasji – gór. Wędrowaniem zaraził całą rodzinę, a miał, musi pan wiedzieć, jedenaścioro dzieci. – Przerwała na chwilę, żeby odpocząć. – Zdobył również Ararat – opowiadała po chwili dalej. – Wspiął się tam ze swoją córką, i to ona weszła na szczyt. On wystraszył się śnieżycy. W tej wyprawie towarzyszył mu syn. Nie doszedł daleko, ale później, gdy był starszy, nadrobił straty. Tym synem był dziadek Marii. Dalej moje wiadomości się urywają. Wiem jedynie, że ci dziadkowie przywędrowali do Polski z falą uciekinierów w tysiąc dziewięćset piętnastym roku, w czasie rzezi Ormian dokonanej przez Turcję. Mordowano wtedy wszystkich bez wyjątku, starców, kobiety, dzieci. Zginęło około półtora miliona ludzi. Niektórym udało się uciec i w ten sposób przeżyć.

VIII

Od wyjazdu Anny minęły cztery tygodnie. Pogoda w Ostam powoli zmieniała się na lepsze. Zanosilo się na rychłą wiosnę. Zbocza gór wyjątkowo wcześnie pozbyły się grubej warstwy śniegu, a wśród delikatnej zieleni rozsypały się, jak płatki kwitnącej wiśni, białe krokusy. Wszystkim zachciało się znowu żyć. Wiosenna pogoda wyciągała z domów. Do życia budzili się ludzie, kwiaty, ptaki i robaki. Do życia zaczynała też powoli budzić się Maria.

Tym przebudzeniem poprawiła humor nie tylko lekarzom, ale całemu personelowi, który z niepokojem patrzył na wolno rozwijającą się ciążę pacjentki i na swojego szefa, z dnia na dzień więdnącego ze zmartwienia. Budzenie się Marii polegało na tym, że teraz coraz mniej spała, rzadziej traciła kontakt z otaczającym ją światem, a częściej leżała zapatrzona w okno i w milczeniu badała przestrzeń przed sobą. Robiła to godzinami, tak jakby widziała na tle nieba nie kończące się obrazy. Czasami mrużyła oczy zmęczona jasnym blaskiem wpadającym do pokoju, robiła grymasy, jakby do kogoś mówiła, czasami cichutko płakała. Początkowo nie można było nawiązać z nią kontaktu. Unikała spojrzeń i umykała wzrokiem od mówiącego. Kurczyła się i zaciskała powieki, jakby się czegoś bała. Po kilku dniach jednak zauważono poprawę, chyba poczuła się pewniej. Zaczęła bacznie obserwować, przyglądać się wchodzącym, reagować. Przyjmowała bez słowa każde polecenie i prośbę. Jadła wszystko, co przynoszono jej do pokoju. Poddawała się badaniom, z cierpliwością znosiła zastrzyki i spacerować po oddziale. Przyjmowała wszystko z pokorą i jak w obrazek wpatrywała się w Szyca. Jedynym zmartwieniem było to, że w żaden sposób nie można było nawią-

126

zać z nią rozmowy. To, niestety, źle wróżyło. Pobyt Marii w klinice musiał się przecież kiedyś skończyć. Nie ze względu na pieniądze. Szyca nie był człowiekiem bez skrupułów, nie odesłałby jej do domu, nawet gdyby Jerzy przestał opłacać kurację. Problemem była ciąża i to, że w końcu i tak rodzina będzie ją musiała zabrać do domu. Jeżeli więc Maria nie zaakceptuje swoich najbliższych, pozostanie do końca człowiekiem żyjącym w wiecznym strachu, skazanym na przebywanie wśród obcych. Jedyna nadzieja, że czas zadziała na korzyść, i tak jak jej powrót do świata żywych nastąpił po wielu tygodniach oczekiwania, tak też akceptacja rzeczywistości nastąpi w odpowiednim czasie.

A w głowie Marii działały się różne rzeczy. Wciaż jeszcze nie rozumiała swojego stanu, lecz nie przeszkodziło jej to w odkrywaniu w sobie coraz to nowych rzeczy. Na przykład pojawiały się nagle w pamięci jakieś nieznane miejsca, jacyś ludzie, sytuacje, które przepływały jedynie wolnym strumieniem przed jej oczami. Odbierała je obojętnie, lecz analizując, usiłowała stworzyć z nich pewną całość. W chaosie myślowym musiała być jakaś kolejność, jakiś logiczny ciąg, do którego powoli dążyła. Nie było jej spieszo do prawdy. Nie zdawała sobie sprawy z wpływającego czasu i nerwowość, która wokół panowała, nie udzielała się jej w najmniejszym stopniu. Maria spokojnie myślała nad wszystkim, co plotło w jej głowie delikatną tkaninę, słabą na razie i nietrwałą, lecz będącą już początkiem całości. Maria zamykała się przed ingerencją otoczenia, bo zbyt natarczywe wpływy mogłyby zerwać słabą pajęczynę wspomnień. Drażnienie pamięci skutkowało.

Stopniowo odsłaniały się poszczególne stronice prawdy, takiej, która nie bolała i która nie cieszyła, była bowiem nijaka. Po prostu czyste obrazy nie zabarwione wrażeniami ani uczuciami. Zwykle informacje, krok po kroku łączyły się w niespodziewaną całość. Maria przyjmowała je spokojnie, choć podświadomie czuła, że gdzieś wśród nich jest ta, której się bała najbardziej. Ostrożnie macała grunt swoich wspomnień, jakby celowo wybierała z nich te najmniej istotne i jak najbardziej obojętne. Nie czuła potrzeby nawiązywania kontaktu ze światem, który w jakimś dziwnym pośpiechu przetaczał się obok niej,

127

zgodnie z utartym rytuałem. Codzienne czynności były jak oddech, jak głód, jak wydalanie – zwykłą fizjologią uwolnioną od myśli. Tolerowała je, bo czuła, że bez tego nie mogłaby się obejść i czekać, aż wreszcie z okrucichw pamięci poskłada się cała prawda i wyjawi cel, dla którego powinna wrócić. Pewnego dnia odkryła w sobie uczucie wspólnoty. Coś jej mówiło, by dobrze wsłuchiwała się w swoje ciało, bo istnieje oprócz bezwartościowego otoczenia jakiś element niej samej w innej postaci. Coś, z czym łączyła ją niewidzialna nić, komu przekazywała nową cząstkę, czystą i niezbrukaną. Czuła, że wie, co to jest, że to kwestia czasu, by dotarło do jej świadomości, dlaczego musi żyć. Widziała również coraz częściej czyjeś mieszkanie, sprzęty, przedmioty, kolory. Rozpoznawała je, ale nie rozumiała, co oznaczają. Najgorsze, że w tych wspomnieniach nie było twarzy. Jakby wszystkie, które znała, przestały się dla niej liczyć i cokolwiek oznaczać, jakby wymazała je i odrzuciła, broniąc wstępu do obecnego świata. Za to bez końca miała przed oczami zapisane literami niezliczone ilości tekstów. Czytała je w myślach i śledziła bez trudu ich treść. Zastanawiała się, które z nich należą do rzeczy najbliższych, a które, jak cudzy ogród, kuszą tajemniczością, a jednocześnie bronią dostępu. Od dłuższego czasu wśród zapisanych stron pojawiał się jak natrętna piosenka dziwny tekst i nie dawał jej spokoju. Dręczona potrzebą poznania prawdy powtarzała je bezwiednie godzinami w tę i z powrotem.

„Na skrawku kamienistej ziemi, w nielicznych oazach przez tysiąclecia istniały pojedyncze wsie i miasta. Zdaniem wielu proroków, na tak niewielkim terytorium nie mógł wyżyć cały naród ani stworzyć państwa, ani się odrodzić. Ziemi uprawnej wszystkiego cztery procent. To mniej niż powierzchnia wysokogórskiego jeziora Sewun, leżącego na wysokości jednego tysiąca metrów nad poziomem morza. Na takiej wysokości nie wyrośnie ani zboże, ani winorośl.

A jednak naród wytrwał.—Ukazywały się jej myślom kolejne linijki. — Ludzie uświadomili sobie, że ta ziemia nie dawała się poskromić i uprawiać tylko dlatego, że przez wieki nie wierzono w jutro. Teraz sad czy winnica, położona na podgórzu, wygląda

128

;ak cud. I gdyby nie ogromne piramidy kamieni, nikt by nie uwierzył, że te wysepki oazy stworzyły ludzkie ręce. A przecież zdarzyło się i tak: czyści się płachetek z kamienia, a tam w głębi wcale nie ma ziemi, tylko dalej kamienie. W takich wypadkach przywozili ziemię – czarnoziem. Wozili ją z daleka wszystkimi dostępnymi środkami transportu. Okazuje się, że gdyby te góry wyprasować żelazkiem, to powierzchnia kraju byłaby nie mniejsza niż Ukraina. Były w tym słowa prawdy. Ludzie rozprasowali góry. Na zboczach zrobili tarasy, schody. Stopnie schodów to kawałki równej ziemi, w której i wilgoć dłużej się trzyma i deszcze nie zmywają gleby. A pionowe ścianki tarasów zbudowali z betonu. Ale czyszczenie ziemi z kamienia nie zda się na nic, gdy zabraknie wody. Te trudności też udało się przeforsować i oto teraz oczom naszym przedstawia się rajską krainą, pełną mleka i miodu złożonego w hołdzie tym, którzy w jej obronie utracili życie”.

Cóż dla życia Marii mógł oznaczać ten tekst? Czego dotyczył? Czasy w nim opisane były tylko daleką przeszłością, więc dlaczego wryły się tak głęboko w pamięć? Dużo o tym myślała, aż pewnego dnia wśród tych kamiennych wzgórz, które miała przed oczami, porośniętych winnicami, pojawiła się przed nią twarz. Stara i smutna, lecz jako jedyna dotychczas niosąca wiarę i nadzieję, że jest dla niej jakaś szansa. Wielkie zielone oczy patrzyły spod siwych brwi. Budziły dawno zapomniane uczucie bezpieczeństwa. Wysokie czoło, pokryte gęsto zmarszczkami, uniesione w niemym zdziwieniu, zdawało się pytać: Maria! Co się dzieje? Niestety, nie potrafiła odpowiedzieć, ale pamiętała, jak ten ktoś pochylił się nad nią wtedy, gdy pisała.

Minęły następne tygodnie. Pamięć sprawiała ciągle niespodzianki. Narastało w

niej coraz bardziej uczucie spójności z czymś, co w sobie nosiła. Tak zaprzyjaźniła się z tym drugim „ja”, że już ani na chwilę się nie rozstawali. Czuli tę nieuchronną więź i sprawiała im ona wielką przyjemność. Bywały dni, kiedy oboje prowadzili wewnętrzny dialog bez słów i bez pytań, doskonale rozumiejąc swoje niewolnictwo. Aż stało się dla niej jasne.

129

Po kilku godzinach męczących badań Maria poczuła w sobie drugiego człowieka. Pływał w niej jak mała rybka, pluskał si w gęstej wodzie, wywijał koziołki, które cudownie łaskotał w podbrzusze i upewniały, że wszystko jest pod kontrolą. Nigd przedtem nie zaznała czegoś takiego. Uczucie było nowe, ta samo jak ona, przebudzona do życia, rodząca się na nowo i n nowo odkrywająca świat. Nie miała żadnych wątpliwości. T było coś wyjątkowego, przed czym nie należało się bronić, lecz przyjąć z radością i pełnym posłannictwem misji na najbliższy czas. Wtedy do świadomości trafiła pierwsza sensowna myśl, wtedy Maria zrozumiała, co się z nią dzieje – jest w ciąży.

Świadomość ta spadła tak nagle i tak naturalnie, że nawet się nie przestraszyła. Tylko dziwiąc się własnej głupocie, powtarzała w duchu: Jak mogłaś tego nie rozumieć, mówiła sama do siebie. Jak mogłaś? To, co istniało poza, nie było warte jej uwagi. Na wszystkie więc sposoby obrabiała swoje odkrycie, pieściła je słowami słodczy, nazywała najpiękniejszymi określeniami w obawie, że gdy choć na chwilę wymaże z pamięci, to ono, jak wszystko, co wcześniej straciła, zniknie bezpowrotnie. Bała się, że rozplynie się jak sen, jak poranna mgła i zostanie znowu pustka, ciemność, nicość. W myślach szukała alternatywy, czegoś lub kogoś, jakiegoś azylu, miejsca, gdzie mogłaby się schronić, odzyskać poczucie bezpieczeństwa. Nie wiedziała, skąd mógłby przyjść dla niej ratunek, gdy wokoło same złe i czyhające cienie, okrutne ramiona wyciągające ręce po jej dziecko. Myślała o swojej matce, o matce swojej matki, o wszystkich matkach. Wspomniała dzieje tej najważniejszej Marii, która wyprowadzała z rodzinnego miasta przed oprawcami swoje nie narodzone dziecko, by je uratować od śmierci, a świat od zguby. Wyprawiła się w niebezpieczną podróż do odległych miast, jak najdalej od miejsca, gdzie na jej syna wydano wyrok, zanim się jeszcze urodził. Jak najgorsza żebraczka rodziła w starej szopie, pośród obcych, którzy wcale nie wiedzieli, jak wielkiego czynu dokonała. Wspominała także swoich dziadków, ich losy, gdy w rozpacz porzucali cały dorobek życia, umiłowane strony, by ratować życie swoich dzieci, nad którymi dzień i noc jak wyrocznia wisiał

130

turecki miecz. Myślała o sobie, uciekinierce w milczące krainy, do których nikt oprócz niej nie miał dostępu. Wspomnienie matki spadło nagle i odsłoniło całą przeszłość, zaklętą poprzednio w kamień i jak kamień tkwiącą na dnie udręczonego serca. Głęboki oddech, którym przewietrzyła uwolnione obszary pamięci, oszołomił skutone ciało. Plecy nabrały sprężystości i jak wyrwane trąbką z głębokiego snu poderwały się w górę do apelu.

Maria, uniesiona wyzwołaną siłą, usiadła na łóżku. Pot zrosił jej czoło, a osłabione mięśnie drżały, nie mogąc utrzymać w pionie pleców. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, choć dobrze spełniało swoje zadanie, nie nadawało się na dom. To nie było dobre miejsce dla jej dziecka. A gdzie go szukać? Tego Maria nie wiedziała. Choć czuła się szczęśliwa, myśl o domu sprawiała ból. Jeszcze przed chwilą wydawało się, że jest tu od dawna. Teraz zrozumiała swój błąd. Ktoś umieścił ją tu z jakiegoś powodu. Odizolował nie bez przyczyny. Dlaczego? Czyżby chodziło o dziecko? Czy to ono było powodem przetrzymywania jej w odosobnieniu. Pamięć Marii odsłaniała stopniowo kolejne obszary. Radość nowych odkryć rozpierała opuszczone dotąd ciało i z umiarem serwowała coraz to nowe rewelacje. Krok za krokiem, wszystko we właściwej kolejności powracało na swoje miejsce, by w mglisty i niepełny sposób wykreślić obraz przeszłości.

*

Jakież było zdumienie, gdy pewnego dnia Maria zaczęła się uśmiechać i przez cały dzień nie dała sobie oderwać ręki od podbrzusza.

– Widocznie czuje ruchy. Może zrozumiała, co się dzieje, i dlatego wygląda na szczęśliwą – pocieszali się lekarze.

Wprowadzono pewne zmiany w rozkładzie dnia i traktowaniu Marii Jaros. Przede wszystkim została przeniesiona do innego pokoju. Nie było już w nim kamer ani monitorów kontrolujących każdy ruch. Za to stały w nim kwiaty, telewizor i normalne radio, a na stoliku przy łóżku telefon. Pogodne barwy ścian, kolorowa pościel znaczyły zwycięstwo nad chorobą. Kobięcie w ciąży

należą się specjalne warunki. To wyjątkowo uprzywilejowany stan, więc należało zrobić wszystko, by otoczenie, w którym przebywała, powiewało optymizmem i nadzieją. Na stoliku pojawiały się codzienne gazety i świeże owoce. Jedynym przedmiotem przypominającym szpital był aparat do mierzenia ciśnienia. Jak to miało wpłynąć na pacjentkę? Odpowiedź na pytanie powinny przynieść następne tygodnie.

Szyc zauważył, że Joanna bardzo często odwiedza pokój Marii. Nie miał śmiałości wchodzić za nią i tylko domyślał się przyczyny. Wzruszający widok kobiety z dzieckiem w brzuchu wprawiał ją w zachwyt i zakłopotanie. Zazdrościła Marii i współczuła jednocześnie. Znała już to uczucie, gdy zaraz po radości przychodzi zmartwienie. Te dwie kobiety łączyła jakaś solidarność w cierpieniu. Joanna potrzebowała jej towarzystwa, by ukoić własny ból i rozczarowanie. Szyc zajrzał do niej pewnego dnia. Był nastrojony melancholijnie i potrzebował kobiecej czułości. Joanna siedziała sama w gabinecie i przygotowywała wypisy na następny dzień.

– Mogę wejść? – zapytał, uchylając drzwi.

Skinęła ręką bez słowa i dalej wystukiwała na klawiaturze jakiś tekst. Usiadł naprzeciwko i przyglądał się w milczeniu. Bruzda pomiędzy jej brwiami wydawała się głębsza. Skupiła się na pisaniu i milczała. Czekał cierpliwie, aż skończy.

– Pójdziemy coś zjeść – zaproponował. Spojrzała spod rzęs i przestała pisać.

– Nie jestem głodna. Ale z chęcią wypiję herbatę. – Wyłączyła komputer i wstała od biurka.

W samoobsługowej restauracji, mieszczącej się w odległej części budynku, panował zupełny spokój. Na obiad było za wcześnie, na śniadanie za późno. Wzięli sobie herbatę i dwa słodkie rogaliki.

– Co tam u twojej pacjentki? – zapytała, stawiając na stole filiżanki.

– Myślisz o Marii?

– Tak.

– Chyba lepiej.

– A ciąża?

– Bez zmian. Czuje już ruchy.

– Skąd wiesz? – Joanna zapytała zdziwiona. – Odezwała się?

– Trzyma się za brzuch i robi wrażenie zadowolonej.

– To znaczy, że rozumie, co się z nią dzieje.

– Uśmiecha się bez przerwy.

– Tylko dlaczego nie chce o tym rozmawiać?

– Zacięła się i koniec.

– A mąż? Do niego też się nie odzywa?

– Nie odzywa się do nikogo. Na niego nawet nie spojrzy.

– Może go nie rozpoznaje?

– Może nie rozpoznaje nikogo.

– A ty? Mówiłeś, że cię lubi. Wzruszył ramionami.

– Kto ją tam wie. Mam wrażenie, że robi to celowo.

– Maskuje uczucia?

– Albo się ukrywa, udaje.

– Wszystko możliwe. Może boi się o dziecko?

– Przecież wyjaśniałem jej już wiele razy, że nic mu nie grozi. Udaje, że mnie nie słucha.

– Nie zna cię, skąd może wiedzieć, co zamierzasz.

– Nie, nie. To nie o to chodzi. Ona boi się nawet swojej siostry.

– Czuje się osaczona? Może stało się coś, w czym wspólnie z Jerzym brali udział.

– Nie żartuj. Myślisz, że chcieli ją zamordować dla pieniędzy i podzielić się zdobyczą. To mi przypomina banalną historyjkę rodem z brukowca.

– A co? Mało ludzkich tragedii rozgrywa się dokoła? Choćby u nas w klinice.

– Nie w tym przypadku. To inne sfery. Porządni ludzie.

– To nic nie znaczy.

Szyc spoglądał przez ramię Joanny na majaczące za oknem góry. Herbata mu nie smakowała. Rogalik był przypalony.

– Widzę, że nie masz dzisiaj nastroju na rozmowy o pacjentach. – Dotknęła jego dłoni.

- Jestem już tym zmęczony. Tak mało mogę zrobić. Myślałem, że będzie łatwiej. Do tego ta ciąża. Nie można wprowadzać żadnych leków psychotropowych. Prawie wszystko szkodzi dziecku.
- Nie jest tak źle – pocieszała. – To wymaga czasu. Bądź cierpliwy. W końcu przemówi. – Uśmiechnęła się.
- Wczoraj wprowadziłem hipnozę. Próbuję dotrzeć do jej podświadomości.
- Poddaje się?
- Bez trudu. Byłaby dobrym medium.
- No widzisz. Zawsze jeszcze coś można zrobić.
- Ciekawe, czemu tak jest? – Spojrzał jej prosto w oczy.
- Nie rozumiem.
- Dlaczego żyjąc w epoce wielkiego postępu, przyzwyczajeni do możliwości współczesnej nauki, wobec zagadki ludzkiego mózgu stoimy bezradni? – Szyc rozgoryczony powtarzał słowa Niezwołowskiego.
- To jest wspaniałe, że nasz mózg pozostawia sobie pewien margines swobody i nie chce być sterowany.
- Ale ile można by wtedy zrobić, jak pomóc chorym.
- A jak zaszkodzić. Nie pojmujesz, co by się stało?
- Uważam, że to źle rozumowanie.
- Powiedzmy. – Joanna nie chciała się kłócić.
- Wyobrażasz sobie, jakie mielibyśmy możliwości, gdyby dało się do końca wyjaśnić pewne zjawiska. Weźmy na przykład funkcjonowanie mózgu, tajemnice snu, letargu, lunatyzmu – wyliczał. –Problemy chorób psychicznych, dewiacje, zdolności metafizyczne, bioenergoterapia, wszystko bez tajemnic.
- O ile znam życie, zaraz ktoś zrobiłby na tym niezły biznes.
- Ależ ty jesteś cyniczna. Joanna zaczęła się śmiać.
- Co w ciebie wstąpiło? Masz chandrę?
- Chyba położę się na swoim oddziale i oddam w ręce dobrego psychiatry – stwierdził.
- Myślałeś może o mnie?
- O nie, to byłoby ryzyko. Zastosowałybyś hipnozę i po mnie.

- Niedawno przeczytałam książkę pewnego antropologa, który poddał się specjalnemu procesowi badań nad podświadomością. Miało to umożliwić człowiekowi osiągnięcie najwyższego celu... – Joanna zawiesiła opowieść.
- No słucham, słucham.
- Ten antropolog zapewniał, że gdy zrozumiemy istotę jego teorii, wyjdziemy poza śmierć i wkroczymy w stan absolutnej wolności.
- Dalej, dalej – zachęcał. – To zaczyna być ciekawe.
- Odkrył on u człowieka istnienie nowej, indywidualnej dla każdego energii, która umożliwia zupełnie inne odbieranie bodźców i w ten sposób ułatwia osiągnięcie równowagi wewnętrznej.
- Cudownie, to jest coś dla mnie. Kupuję. – Szyc kpił.
- Nie żartuj sobie, bo ci nic więcej nie powiem. – Poczekwała, aż przestanie się uśmiechać. – On uważa, że w dzisiejszych czasach można to osiągnąć w sposób nie kontrolowany, za pomocą narkotyków i alkoholu. Również w hipnozie, w spirytyzmie i medytacjach doszukuje się metod osiągnięcia stanu doskonałej równowagi. Podejrzewa się istnienie pewnych sił, które kierują podświadomie ludzkimi reakcjami i otwierają pokłady podświadomości, bronione skrzętnie zaprogramowanymi w naturalny sposób barierami. Tylko niektórzy ludzie, obdarzeni specjalnymi możliwościami, wymykają się tej kontroli, ale obecna nauka traktuje ich jak szaleńców. Ten facet pisze, że dzięki medytacjom, modlitwom, poprzez wchodzenie w stan podwyższonej świadomości można odkryć drogę do prawdy. Na przykład siła muzyki, jej oddziaływanie na stan ducha, neutralizowanie albo nasilanie emocji. To według niego dowód na istnienie pozazmysłowej energii.
- Dlaczego ludzie jeszcze na to nie wpadli? – zapytał.
- Bo dotychczas zajmowali się doskonaleniem swojego życia. Skupili swoją uwagę na sprawach bytu, a ubożeli na duchu. Naturalne zdolności, którymi został obdarzony człowiek, zeszyły na plan dalszy, aż zupełnie zostały zaniedbane. Im człowiek bardziej się cywilizował, tym częściej wyłączał swoją percepcję i wrażliwość. No wiesz. – Joanna tłumaczyła mu cierpliwie. – Taka ewolucja werbalna bez percepcji.

– Brr, okropne. – Szyc udawał wstrząśniętego. – To prawdziwe rewelacje. Ale dowody, dowody. Potrzebuję dowodów.
– Dowodów na razie nie ma. To tylko hipotezy.
– A co autor tych teorii. Wszedł już w swoją podświadomość?
– Trudno stwierdzić.
– Dlaczego?
– Niestety, umarł jakiś czas temu. Jeżeli zdobył tę umiejętność, to już szybuje w kosmosie i patrzy na nas z wyższego poziomu, poza śmiercią, w stanie absolutnej wolności. – Joanna definitywnie zakończyła swoją relację. Szyc z rozmarzeniem zamruczał.
– Ależ mu zazdroszczę. – Przechylił się do tyłu i zamknął oczy. – Chyba się dzisiaj upiję.

r

IX

Anna przez cały czas była w kontakcie z doktorem Szycem. Pocieszające wiadomości, które od niego docierały, wprawiły ją w lepszy nastrój. Wiosna w pełnej krasie rozkwitała w ogrodzie, a interesy jak zwykle o tej porze nie pozostawały w tyle. Kobiety na wiosnę zawsze chciały być piękniejsze i młodsze. Słońce towarzyszące im od samego rana bez litości podkreślało mankamenty pozostawione na twarzach po zimie. Salon odnowy biologicznej pękał w szwach, a w solarium terminy na długo w przód były zarezerwowane. Młode panny przed nocą poślubną chciały pokazać świeżo zaślubionym małżonkom swoje śniade ciała, by upewnić ich we właściwym wyborze, starsze panie tuszowały szpecące żylaki, a panowie wyruszali na sanatoryjne podboje i też chcieli być piękni. Świat przygotowywał sobie barwy godowe na następny sezon. W błotnych kąpielach parowały tłuszczowe fałdy, jęczały z bólu pod rękami masażyistów katowane mięśnie, jędrniały dopieszczane twarze. W powietrzu unosił się zapach luksusu i jednostajny dźwięk poklepywania, sapania i mlaskania.

Nawał pracy to wypróbowane lekarstwo na zmartwienia. Wieczorem podcina nogi, a rano plecie z rzęs gęste warkoczyki. Nie ma czasu na zmartwienia, bo nie załatwione sprawy klepią poufale po plecach, szepcząc do ucha znajome: „Wio, koniku, a jak się postarasz...” Wtedy ręce nie mogą się odkleić od słuchawek telefonów, a właściciel stacji benzynowej dostawia rezerwowego dystrybutora. Anna już czwarty raz w tym miesiącu tankowała paliwo. Zarobione pieniądze starym zwyczajem przepływały z rąk do rąk, a wszystkim się wydawało, że są bogatsi. Rano kasowali, w południe wydawali. Lecz o to przecież w tej zabawie chodzi, żeby było z czego wydawać. Może nie wszyscy tak mocno

137

jak Anna kochali proces wydawania. Ją to zjawisko zawsze bardzo podniecało. A teraz miała na co. Ostatnie dziecko mamusi i ukochana córeczka tatusia zmieniała swój stan cywilny. Tatuś był niepokieszony, a Anna zabiegana. Nie lubiła tych ceremonii. Kojarzyły się jej z festiwalem fałszywej skromności. Jednakże podporządkowana regułom gry nie miała zamiaru przeprowadzać rewolucji obyczajowej i bez szemrania poddała się ogólnym trendom. A więc będzie długa suknia, goście i wesele, mnóstwo jedzenia i cały ten cyrk, który towarzyszy podobnym okazjom. No cóż, jako właścicielka znanej w mieście firmy, choćby ze względów reklamowych nie mogła ignorować podobnych okazji. Termin wesela zbliżał się nieuchronnie. Czas naglił, zajęć przybywało, a Maria, oddalona od domu setki kilometrów, wciąż stanowiła niespodziankę. Anna spieszyła się z tym weselem ze względu na nią. Gdy nadejdzie czas rozwiązania, musi mieć spokojną głowę i więcej wolnego czasu. Nikt nie wiedział, jak potoczą się sprawy, kiedy Maria urodzi, i w jakiej będzie kondycji.

Według wieści, jakie dochodziły z Ostam, stan Marii stopniowo się poprawiał. Kiedy widziała ją ostatnim razem, była spokojna i posłuszna, reagowała na polecenia, uważnie słuchała, co się do niej mówi. Lekarz poradził, żeby spróbowała nawiązać z siostrą jakiś kontakt. Chciał, żeby ktoś, do kogo ma zaufanie, sprowokował reakcję. Anna z anielską cierpliwością snuła swoje monologi, zabarwiając je wesołymi opisami miejsc, które obie znały, wracając do czasów dzieciństwa, kiedy ich kontakt był częstszy, a więzy silniejsze. Mówiła o wszystkim, co przychodziło jej do głowy. Klepała jakieś głupstwa, chichotała bez sensu, byle tylko w jakiś sposób rozweselić milczącą siostrę. Opowiadała o dzieciach, mężu, o nowym, nie do rozgryzienia zięciu, który jak posępny rycerz siadał z nimi do niedzielnych obiadów i robił wykłady z prawa karnego. Mówiła

jej o pracy w firmie. Opowiadała kawały zasłyszane od klientek i sama się z nich śmiała, bo Maria reagowała milczeniem. Były momenty, w których jakiś błysk w oczach siostry sugerował, że reaguje. Może część wypowiedzanych słów jakoś do niej docierała, o czymś

138

przypominała, może budziła uśpione wspomnienia? Te przebłyski świadomości trwały bardzo krótko, trudno je było uchwycić i podtrzymać. Nić porozumienia rwała się natychmiast, gdy Anna przestawała mówić lub gdy zadawała pytanie. Jakiś upór władał jej wolą i bronił przed kontaktami z otoczeniem. Anna miała nadzieję, że Maria przełamie ten opór i odzyska władzę nad umysłem. Po pierwszej wizycie u siostry nie miała złudzeń. Teraz, widząc ją przytomną, łudziła się, że wszystko jest możliwe. Jeżeli choroba nie spowodowała trwałych zmian neurologicznych, a jedynie odwracalne zahamowania psychiczne, jest szansa na to, że wkrótce nastąpi jeszcze większa poprawa. Nie myliła się, wieści docierające z Ostam to potwierdzały. Postanowiła jechać jeszcze raz i na własne oczy sprawdzić, czy tak jest rzeczywiście. Miała przed wyjazdem jeszcze jedno zadanie do zrealizowania. Obiecała Szycowi przywieźć rodzinne zdjęcia. Chodziło o to, by skłonić Marię do żywszych reakcji i sprowokować, by się choć trochę odkryła.

Anna miała dylemat. Większość zdjęć została w domu, w starych rodzinnych pudełkach na poddaszu. Musiała przemóc dziwną niechęć do szwagra i poprosić o zezwolenie, żeby dostać się na strych. Wolałaby uniknąć z nim spotkania. Pokłócili się niedawno o apartament, który Jerzy postanowił wydzierżawić jakiejś firmie handlowej. Anna uważała, że właśnie to mieszkanie ojciec, zanim umarł, obiecał jej najmłodszej córce w prezencie ślubnym. Ponieważ nie zrobił oficjalnego zapisu, a jedynie złożył obietnicę, Anna prawnie była bezsilna. Wiedziała, że gdyby z Marią było wszystko w porządku, nie miałyby problemu z jego odzyskaniem. Mieszkanie od dłuższego czasu stało wolne i aż się prosiło, żeby ktoś w nim zamieszkał. Dotychczas nikomu nie było potrzebne. Córka studiowała i mieszkała za granicą. Po ślubie wraz z mężem postanowili powrócić do kraju i zamieszkać w rodzinnym mieście. Wówczas byłoby dla nich rozwiązaniem problemu. Teraz, gdy o wszystkim decydował Jerzy, nic nie było pewne. Anna nie chciała stawiać sprawy na ostrzu noża. I tak już dość mocno starła się ze szwagrem. Dopóki sprawa z Marią nie wyjeździe do końca, nie będzie poruszać tego tematu, wolała również nie widywać się

139

z nim. Znała swoją niewyparzoną gębę i wiedziała, że nie wytrzyma, żeby czegoś nie powiedzieć. Postanowiła, korzystając z tego że była w posiadaniu klucza, wejść na strych i poszperać na nim bez pozwolenia. Pomysł nie był najlepszy i dość ryzykowny. Poza tym nieelegancki. Anna zdawała sobie z tego sprawę. Jednakże ogarnięta pewną determinacją i trochę na złość Jerzemu, zaryzykowała. Przecież dom, który zajmował, należał kiedyś do jej rodziny. Małżeństwo z siostrą dało mu prawo dysponowania nim, lecz w wyjątkowej sytuacji, w obliczu zagrożenia, prawo takie przysługiwało także jej. Dlatego bez zbędnych skrupułów postanowiła, że skorzysta ze swoich przywilejów.

Na strych wchodziło się z klatki schodowej, a nie z mieszkania. Jerzy nigdy tam nie był, niczego nie zauważył. Była sobota, najpracowitszy z dni hotelowych, więc wracał zwykle bardzo późno. Pod dom podjechała dopiero, gdy miała całkowitą pewność, że nie zastanie w nim Jerzego. Najpierw zadzwoniła do pracy, żeby sprawdzić, czy tam jest, a potem do domu, by się upewnić, że mieszkanie jest puste. Samochód zaparkowała nieco dalej. Nie chciała, żeby z sąsiednich okien ktoś ją zauważył. Zachowywała się jak złodziej i tak też się czuła. Było jej wstyd, lecz jakiś głos podszeptował, że ma prawo. Klatkę, po której zwykle szła różnym krokiem, stukając głośno obcasami, pokonywała cicho jak lis. Włożyła stare spodnie i rozdeptane buty, by szybko i bez skrępowania wejść na samą górę. Ciekawscy lokatorzy tylko czekali, żeby zajrzeć w oko wizjera. Cieszyli się z każdego przybysza, licząc na to, że to ktoś idzie do nich w odwiedziny. Czuła się jak szesnastka uciekająca z domu. Potknęła się kilka razy o stopnie. Mały włos, a jej nos doznałby solidnego uszczerbku. Zrozumiała aluzję losu. To byłaby kara za podstęp, którego się dopuściła.

Spocona jak mysz dobrnęła na sam szczyt schodów. Niestety, lata zrobiły swoje. W dzieciństwie pokonywała je bez trudu. Teraz sapała jak miech kowalski i trzymała się za serce. Mam nadzieję, że nie dostanę tu zawału? Dopiero by się Jerzy ucieszył, znajdując mnie na swoich schodach, w tym dziwnym stroju, z kluczami od jego strychu, pomyślała.

Klucz na szczęście pasował. Żeby wejść, musiała pochylić głowę. Trochę urosła od czasu, gdy była tu ostatni raz. Spodziewała się zastać solidny bałagan, więc mocno ją zaskoczyły szeregi ustawionych równolegle półek, na których piętrzyły się książki.

– A to co? – szepnęła do siebie.

Na strychu" panował nienaganny porządek. Umyte okna z krótkimi firankami, pod każdym oknem krzesło, z boku mały stół ze starą mosiężną lampą. W kącie pod skosem wypolerowane do czysta posadzki, bardzo wiekowe, zdobiące kiedyś komody w ich mieszkaniu, małe sekretarzyki, wąskie witryny z pokoju macochy, pełne pamiątek, kolorowej porcelany. Wszystko skomponowane tak, by można było przy odrobinie dobrej woli zapomnieć o przemijaniu i wrócić do początku drogi, do dzieciństwa. Po przeciwnej stronie stały masywne półki, a na nich grzbiety równo ustawionych książek, poukładanych gazet, obok grube plastikowe teczki, wszystkie dokładnie powiązane, ułożone według kolorów, jedna na drugiej. Anna nie podejrzewała siostry o taką skrupulatność. Myślała o niej raczej jak o kimś nieuporządkowanym i trochę nieprzytomnym. A tymczasem takie zaskoczenie. Nie wyobrażała sobie, by to mogło być dzieło Jerzego. On brzydził się takimi miejscami jak strychy i piwnice. Nigdy nie wchodził ani zbyt wysoko, ani za nisko. Tam, gdzie istniała najmniejsza możliwość zaplątania się w pajęczynę czy okazja spotkania szarego zwierzątka z ogonkiem, Jerzy okazywał się bezradny i przeraźliwie się bał.

Spoglądała z zainteresowaniem na wszystko, co z taką pieczołowitością zostało zgromadzone w tym dziwnym miejscu. Oprócz książek względnie nowych (o czym świadczyły grzbiety okładek), stały starsze wydania, dawne podręczniki, słowniki, encyklopedie. Było ich mnóstwo. Wyglądała ona to, że Maria niczego nie wyrzucała. Obok podręczników ze szkoły średniej stały skrypty, zeszyty z notatkami, książki z historii i literatury, kupione w czasie studiów. Pozostałe półki zajmowały grube tomiska w sztywnych, zniszczonych oprawach, z resztkami świetności zawartej w złożonych, kunsztownych literach tytułów. Na końcu leżały jedna na drugiej księgi pisane ręcznie, na

141

grubym papierze, rozsypujące się ze starości, postrzępione. Takie książki na strychu?, dziwiła ją lekkomyślność siostry. Jedna z nich wzięła ostrożnie do ręki i otworzyła. Na pierwszej stronie napis w wyblakłej purpurze: Psalterz... kolejne litery były zniszczone, nie do odczytania. Następna książka, w brązowej oprawie związana sznurem, nieco nowsza Historia Konstantynopola obok w jeszcze lepszym stanie i nazwisko autora trudne do wymówienia: Martiros Erzynkaja. Czy to jest odpowiednie miejsce na takie książki? Anna nie mogła tego pojąć. Złodziej miałby co brać. Podeszła z ciekawością do leżących najniższej gazet. To były czasopisma, które prenumerował ojciec, czytała matka. Było tego bardzo dużo. Zaczęła przeglądać tytuł po tytuł. Niektóre z nich poznawała. Szczególnie bliskie sercu były stare roczniki „Przekroju” – gazety, którą w latach sześćdziesiątych kochała cała kulturalna Polska. Czytało się zachłannie każdą stronę, rozwiązywało wszystkie krzyżówki, cytowało dowcipy z ostatniej strony. Anna jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pofrunęła na skrzydłach pamięci w tamte lata. Przypominała sobie miejsce, w którym macocha trzymała przeczytane „Przekroje”. Leżały zawsze pod starą maszyną do szycia, pod prawym skrzydłem. Tam Anna jako dziecko przesiadywała i z zapartym tchem kartkowała znane już prawie na pamięć numery.

Ciekawe, Maria była taka skrupulatna czy może sentymentalna? Mało ją znałam, oceniała porządek na strychu i zrozumiała, jak bardzo się od siebie różnią. W jej domu też był strych. Niestety, wyglądał zupełnie inaczej. Sterty plastikowych worków, pełnych znoszonych ubrań, kartony niepotrzebnych sprzętów, stare zabawki, słoiki, zniszczony sprzęt sportowy i wiele zbędnych przedmiotów, o które można się było potknąć przy samym wejściu.

Czy po mnie pozostaną też takie piękne rzeczy jak po moich rodzicach?, pomyślała. Czy w czasach, gdy przedmioty tak krótko żyją i są takie łatwe do zastąpienia przez inne, doskonalsze, pozostanie choćby jeden wartościowy przedmiot na moim strychu?

Czas uciekał. Anna, zajęta wydobywaniem się z przeszłości, zapomniała, po co tutaj przyszła. Dopiero widok drewnianych

142

skrzynek, malowanych w kwiaty, przywołał ją do porządku. W tych skrzynkach

zawsze przechowywano zdjęcia. Rodzice nigdy nie układali ich w albumach. Ojciec wolał rozrzucić wszystkie na podłodze i wybierać te, które najbardziej lubił. Anna zrobiła tak samo. Podniosła wieko jednej skrzynki i wysypała jej zawartość na stół. Śliskie obrazki, zatrzymane na papierze krótkie chwile życia, pokazały prawdziwe twarze. Zapomniane dawno momenty, kiedyś tak ważne, dzisiaj nic nie znaczące, uśmiechały się, jakby trwały wiecznie i za chwilę miały powrócić. Czy to możliwe, że już minęło tyle lat, że ludzie i miejsca już nigdy nie będą takie same, że już niedługo staną się jedynie martwym dokumentem?

Anna nie miała siły wziąć ich do ręki. Przesuwała drżącą dłonią i rozgarniała na boki. Bała się wpatrywać w szczegóły. Coś ścisnęło ją za gardło, dusiło. Żałowała, że tutaj przyszła i odtworzyła w sobie obraz tych dawnych czasów, takich pięknych i takich nieszczęśliwych.

Czas płynął nieubłaganie. Dopiero zmrok za oknem przywołał ją do porządku. Spojrzała na zegarek – strasznie późno – przestraszyła się. Wybrała kilka zdjęć z dzieciństwa, z rodzicami, na tle domu i zdjęcia z Jerzym, te starsze, z początków małżeństwa i jakieś pamiątki z wakacji. Wybierała zdjęcia ze zbliżeniami, by twarze były na nich dobrze widoczne. Otworzyła drugą skrzynkę. Znalazła w niej jakieś drobiazgi, kamyki, muszle, stare paszporty, dawno nie używaną biżuterię, dość tandetną i niemodną, kilka zepsutych zegarków, stare okulary – bardzo śmieszne, z komicznymi oprawkami i kopertę. Koperta nie pasowała do pozostałych rzeczy. Była zupełnie nowa, sztywna, śnieżnobiała. Jeśli nie otworzę, nigdy się nie dowiem, usprawiedliwiała narastającą ciekawość. Ostrożnie wysypała na stół całą zawartość. Niewiele tego było. Coś wypadło i potoczyło się na podłogę. Pochyliła się. Na ziemi leżała dyskietka. Mały czarny kwadracik. Podniosła go, delikatnie obracała w palcach, szukając jakiegokolwiek napisu, objaśnienia. Nic nie znalazła, dyskietka była nie oznaczona. Zajrzała do koperty. W środku była kartka: „Sprawa Dorna” – głosił napis skreślony ręką Marii. Anna poznała jej charakter pisma. Była też data.

143

Tuż przed tym, zanim zachorowała. Ciekawe, co ona tutaj robi? Przekładała dyskietkę z ręki do ręki i zastanawiała się, co zrobić. Pożyczyć na parę dni kilka zdjęć to nic takiego, ale przywłaszczyć coś osobistego to już świństwo. Wahala się, zanim postanowiła zabrać ją ze sobą. Zapakowała zdjęcia, pochowała rozsypane drobiazgi, sprawdziła, czy wszystko stoi na swoim miejscu. Bała się, żeby nie zostawić po sobie śladów. Skontrolowała czas i wpadła w panikę. Siedzę tu zdecydowanie za długo, jak na nieformalną wizytę. Dopiero teraz była podniecona. Kiedy podeszła do drzwi, okazało się, że nie ma klucza. Gdzie go położyłam? Spojrzała dokoła.

– Ładne kwiatki – mruknęła wściekła – przecież muszę go znaleźć.

Odwróciła się w stronę stołu. Na pewno został na stole albo... Boże, chyba włożyłam go do pudełka, razem ze zdjęciami. Mały płaski kluczyk, nic dziwnego, że nie zauważyłam. Otworzyła skrzynkę i nerwowo przerzucała zawartość.

Nieostrożnym ruchem szarpnęła i wszystko wysypało się na podłogę. Drewniana skrzynka spadła z hukiem ze stołu. Anna zamarła. Krew odpłynęła jej do nóg. Stała jak sparaliżowana i nasłuchiwała. Jerzy chyba jeszcze nie wrócił. A jeżeli? Piętro niżej otworzyły się drzwi. Skrzypienie drewnianej podłogi oznaczało, że ktoś wyszedł z mieszkania. Po chwili skrzypnięcie powtórzyło się jeszcze raz. Ktoś tu idzie, stwierdziła. Gdzie ten cholerny klucz, rozglądała się zrozpaczona. Włożyła rękę do kieszeni. Jest! Chciało jej się płakać ze szczęścia. Zaskrzypiały schody. Za późno. Szybkim ruchem zgarnęła do skrzynki wszystkie zdjęcia i zamknęła wieko, drugą skrzynkę wsunęła nogą pod stół.

Starła się zrobić to bez hałasu. Przeszła na palcach w kierunku drzwi i schowała się za szafę. Jednego była pewna, wchodząc, zamknęła się od środka. Na strychu panował półmrok. Teraz słyszała wyraźnie, jak ktoś pokonuje kolejne stopnie. Przestała oddychać. Kurz z za szafy dostał się do nosa. Jeżeli teraz kichnę, to będzie już farsa. Poczula, że gra w tandetnym filmie. Jak mogła być taka nieostrożna? Żałowała, że tu przyszła. Jak ja się wytłumaczę?, myślała zawstydzona. Zatkała palcami nos, na wszelki wypadek,

144

żeby nie kichnąć, i czekała. Zazgrzytał klucz. Drzwi otworzyły się bardzo wolno. Anna nic nie widziała. Stała, czekając na najgorsze. Czekanie wydawało się wieczne. Ktoś stał w otwartych drzwiach i nasłuchiwał. Bała się oddychać. To były najdłuższe minuty w jej życiu. Nagle pod sufitem zapłonęła żarówka. Oślepiła znieczulone mrokiem źrenice. Anna ledwo zapanowała nad emocjami.

Jeszcze przez moment ktoś penetrował wzrokiem wnętrze strychu, by po chwili wycofać się z powrotem na schody. Na dworze zrobiło się całkiem ciemno. Anna stała ogłupiała. Nie miała pojęcia, jak się teraz zachować. Czy natychmiast uciekać, zanim ten ktoś nie powróci z pomocnikiem? Czy poczekać dłużej i wyjść z kryjówki, nie narażając się na spotkanie. Anna wybrała drugi wariant. Gdy wychodziła z budynku, kolana miała jak z waty. Nie oglądając się, szła prosto do samochodu. Będąc za rogiem, dopiero popatrzyła w okna na drugim piętrze. W mieszkaniu Marii paliło się światło.

X

Szyc przerzucał stronicę książki, szukając rozdziału o Armenii. Rozbudzona ciekawość prowadziła go meandrami historii aż do czasów współczesnych. Nie wiedział, czego oczekuje od tych wiadomości. Pewnie niczego. Była to po prostu fascynacja nowo poznanym narodem, o którym przedtem nic nie wiedział, przybliżona osobą pacjentki, której korzenie wyrastały w krainie kamiennych domów. Aura i tajemnica przetrwania narodu skazanego przez inny na zagładę udzieliła się i jemu. Zagłębiał się w nieznanne światy i pokochał naród, usadowiony przez Stwórcę w miejscu narodzin przymierza z Noem i narodzin ludzkości. Bo góra Ararat, którą Ormianie czcili ponad wszystko, była tym miejscem, na którym osiadła po wielkim potopie Arka Noego. Szyc nigdy nie zastanawiał się, gdzie narodzili się jego przodkowie, a tym bardziej nie przypuszczał, że wywodzą się z takiego maleńkiego kraju.

Historię wybranych przez Boga potomków Adama czytał po raz pierwszy. Rano kilka razy prześledził tekst Starego Testamentu, próbując zrozumieć intencję stwórcy i los człowieka, miotany łaską Pana.

„Kiedy zaś Pan widział, że wielka jest niegodziwość ludzi na ziemi i że usposobienie ich jest złe, rzekł: Zgładzę ludzi, których stworzyłem, a z nimi bydło, zwierzęta pełzające i ptaki powietrzne.

Tylko Noego Pan darzył życzliwością. Noe był człowiekiem prawym i wyróżniał się nieskazitelnością wśród współczesnych sobie ludzi. Noe żył w wielkiej przyjaźni z Bogiem. Rzekł do Noego: Postanowiłem położyć kres istnieniu wszystkich ludzi, bo ziemia jest pełna wykroczeń przeciw mnie; zatem zniszczę ich

146

wraz z ziemią. Ty zaś zbuduj sobie arkę z drzewa żywicznego, uczyni w arce przegrody i powlecż ją smołą wewnątrz i zewnątrz. Ja zaś sprowadzę na ziemię potop, aby zniszczyć wszelką istotę pod niebem, w której jest tchnienie życia; wszystko, co istnieje na ziemi, wyginie, ale z tobą zawrę przymierze. Wejdz przeto do arki z synami twymi, z żoną i z żonami twych synów. Spośród wszystkich istot żyjących wprowadź do arki po parze, samca i samicę, aby ocalały wraz z tobą od zagłady. Z każdego gatunku ptactwa, bydła, zwierząt pełzających po ziemi po parze; niechaj wejdą do ciebie, aby nie wyginęły. A ty nabierz sobie wszelkiej żywności – wszystkiego, co nadaje się do jedzenia – i zgromadź u siebie, aby była na pokarm dla ciebie i na paszę dla bydła.

I Noe wykonał wszystko tak, jak Bóg polecił mu uczynić.

A gdy upłynęło siedem dni, wody potopu spadły na ziemię.

Potop trwał na ziemi czterdzieści dni i wody wezbrały, i podniosły arkę ponad ziemię. Wody były tak wysokie, że zakryły wszystkie góry, które były pod niebem. Wszystkie istoty, w których nozdrzach było ożywiające tchnienie życia, wszystkie, które żyły na lądzie, zginęły, wraz ze wszystkimi ludźmi. I tak Bóg wygubił doszczętnie wszystko, co istniało na ziemi. Pozostał tylko Noe i to, co z nim było w arce. Bóg, pamiętając o tym, sprawił, że po stu pięćdziesięciu dniach powiał wiatr nad całą ziemią i wody zaczęły opadać, a Arka Noego osiadła na górach Ararat. Woda wciąż opadała aż do miesiąca dziesiątego. W pierwszym dniu miesiąca dziesiątego ukazały się szczyty gór.

A gdy ziemia całkiem wyschła, Bóg przemówił do Noego tymi słowami: Wyjdz z arki wraz z żoną, synami i z żonami twych synów. Wyprowadź też z sobą wszystkie istoty żywe, niech będą płodne i niech się rozmnażają.

Noe wyszedł więc z arki wraz z synami, żoną i żonami swych synów. Wyszły też z arki wszelkie zwierzęta, wszystko, co się porusza na ziemi.

Po czym Bóg pobłogosławił Noego i jego synów, mówiąc do nich: Będziecie płodni i mnożcie się, abyście zaludnili ziemię. Wszelkie zaś zwierzę i ptactwo lotne niechaj się was boi i lęka. Wszystko, co się porusza, wszystkie ryby morskie zostały oddane

147

wam we władanie i jest przeznaczone dla was na pokarm, tak jak rośliny zielone.

Potem Bóg tak rzekł do Noego i do jego synów: Ja zawieram przymierze z wami i z waszym potomstwem, które po was będzie; i z wszelką istotą żywą, która jest z wami, o to, że już nigdy nie będzie potopu niszczącego życie na ziemi. A to jest znak przymierza, które ja zawieram z wami. Łuk mój kładę na obłoki, aby był znakiem przymierza między Mną a ziemią, i gdy ukaże się ten łuk na obłokach, wtedy wspomnę na moje przymierze, które zawarłem między człowiekiem i wszystkimi istotami, które są na ziemi".

Tak kończyła się historia Noego i jego rodziny, która dała początek całej ludzkości, i historia losów wszystkich istot żywych. Szyc wzruszył się jej słowami. Pomyślał, że wiele razy widział na niebie tęczę łączącą swoimi ramionami dwa krańce horyzontu, ale przez myśl mu nie przeszło, że jest to znak przymierza zawarty przed tysiącami lat, że łuk, który ukazuje się nad ziemią w chwili, gdy przestaje padać deszcz, a zaczyna świecić słońce, jest boskim łukiem przypominającym od wieków o umowie zawartej z człowiekiem.

*

Stan pacjentki z dnia na dzień wyraźnie się poprawiał. Uczucia, zepchnięte do podświadomości, dały o sobie znać. Maria, wystawiona na wielką próbę, zdała swój egzamin i postanowiła wrócić. Poruszała się jeszcze niepewnie wśród wspomnień i z dystansem traktowała otoczenie. Nie umiała ocenić intencji osób i zrozumieć roli, jaką grali. Postanowiła poczekać. Dopóki nie zrozumie wszystkiego, zanim nie rozwieje wszystkich wątpliwości, będzie milczała. Gdy pewnego dnia otworzyła oczy, wokół siebie miała samych obcych ludzi. To było największe zmartwienie. Czowała się jak dziecko, które zapomniało drogi do domu i znalazło się w całkiem obcym miejscu. Tysiące myśli przychodziło jej do głowy, a każda z nich była mniej prawdopodobna. Widziała, że za oknem jest wiosna. A więc zgubiła gdzieś całą zimę. Co działo się z nią tak długo? Czy to możliwe, że nic nie pamięta? Tyle tygodni, tak wiele dni w nieświadomości. Ciąży,

148

czuła ją wyraźnie – zaskoczenie i niespodzianka, jednocześnie jedyne wytłumaczenie faktu, że wokół niej kręcili się lekarze i pielęgniarki. Niektórzy mówili po polsku, inni nie. Więc cóż to znaczy? Gdzie jest, dlaczego sama? Sama, sama, czyżbym oszalała? Może umarłam, a może jestem już kimś całkiem nowym, w nowym życiu, w życiu kogoś innego? Tylko dlaczego pamiętam to swoje? Ten rwący ból, który nie pozwala zapomnieć, co było. Jak poznać prawdę? Bała się przeraźliwie wszystkiego. Najbardziej tego, co planują. Teraz dbają o nią, cieszą się każdą poprawą. Tylko jakie mają wobec niej zamiary? Obserwowała bacznie i słuchała, a serce samo wybrało. Jakiś głos podpowiadał, kto zna najlepiej wszystkie odpowiedzi.

Gdy Szyc zajrzał do pokoju, siedziała nieruchomo, z rękami równo ułożonymi na pościeli i płakała. Przestraszył się. Podeszedł do niej blisko i zapytał, czy coś się stało. Nie odpowiedziała, ale spojrzenie miała dziwnie trzeźwe, jakby nagle przejrzała na oczy. Pomyślał, że coś w niej dojrzało do rozmowy, tylko jeszcze się waha. Może próbuje zrozumieć swoje położenie, może się boi? To cierpienie, które ujrzał w tej chwili, wiele dla niego znaczyło. Widział, jak odzyskuje poczucie własnej tożsamości i jak ją to przeraża. Znał takie spojrzenia. Widział je nie raz. Może powinien spróbować, pomyślał. Może nadszedł już czas na wyjaśnienia? Im prędzej zrozumie swoje położenie, łatwiej będzie prowadzić terapię, lepiej nawiązać kontakt, rozwiązać wątpliwości, uspokoić. Stał na wprost jej oczu i czuł, jak ich źrenice spotykają się ze sobą, rozumieją. Dotknął jej dłoni, były lodowato zimne, drżały. Powoli zaczął wyjaśniać Marii, skąd się tutaj wzięła. Opowiedział jej o klinice, o badaniach, o tym, w jakim stanie tutaj przyjechała, kto ją przywiózł. Wyjaśnił kolejne etapy choroby i powiedział o ciąży. Przez cały czas nie spuszczał z niej wzroku. Próbował ze wszystkich sił zrozumieć, co dzieje się w jej głowie. Powiedział, jak rośnie dziecko, kiedy się powinno urodzić, i zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Tego Marii było na pewno potrzeba. Powinna myśleć pozytywnie, jeśli leczenie miało przynieść skutek. Przez cały czas, gdy z jego ust toczył się potok słów, Marii nawet nie drgnęła powieka. Jeśli jeszcze na początku Szyc

149

miał jakąś nadzieję, im dłużej mówił, tym bardziej tracił wiarę że ona cokolwiek rozumie. Oczy początkowo takie żywe, łaknąc kontaktu, zaczęły tracić swój blask, a wzrok zmętniały i obojętn spływał po jego twarzy na łóżko, na podłogę, błędził bez sensu po ścianach, aż w końcu rozmazał się i uleciał w głąb jej ciała. Twarz Marii obeschła, po łzach pozostał tylko matowy ślad łe – słone ścieżki

prowadzące z kącików oczu do samej brody Szyca ogarnęło zniechęcenie. A więc nic, pomyślał przygnębiły. Wszystko na nic. Ona nic nie rozumie. Żyje, ale myślar wciąż jest na innej planecie. Nawet nie wie, dlaczego tak cierpi, bo cierpi, skoro płacze.

Stał jeszcze długo przy łóżku. Nie patrzył na nią, tylko z okna. Mżył drobny deszcz i było całkiem szaro. W taki dzień nawet radosny skowronek może mieć ochotę na depresję. Sa czuł się podle. Mijała kolejna doba, a on zatrzymał się w miejscu. Może to dla niego za trudne. Chyba przecenił swoje możliwości.

W gruncie rzeczy nie było tak źle. Każdy dzień przynosił mały promyczek nadziei. Ku radości wszystkich Maria przybrała na wadze, zaróżowiła się. Wyniki badań były prawidłowe. Ciąża rozkwitała. Brzuszek przed nią pęczniał i coraz mocniej unosił kołdrę na łóżku. Jeden dzień gonił drugi, bo wypełniały go zajęcia terapeutyczne: gimnastyka, spacer, wizyty psychologa. Widać było wyraźnie, że oprócz duszy budziło się Marii ciało. Do tego wokół szalała wiosna. Ptaki koncertowały za oknem, powietrze, ostre, jak zwykle w górach, nabrało zapachów. Każdy oddech sprawiał Marii przyjemność. Czuła, że zakwita jak jaskier na zielonej łące. Czepiała się pozytywnych fluidów, bo gdzieś w podświadomości czaił się strach. Ukrywała tam krwawiące rany, rozpacz, którą zamknęła w głębokich jaskiniach pamięci. Nie mogła dopuścić do tego, by zaszkodziły misji, którą miała do spełnienia.

Pod koniec kwietnia podjęto decyzję, że za miesiąc wróci do Polski. Tam zajmą się nią ginekolodzy z Kliniki Patologii Ciąży. Jednocześnie będzie kontynuowane leczenie psychiatryczne.

150

Szyc zobowiązał się, że przez kilka dni, dopóki Maria nie przywyknie do nowego otoczenia, zostanie przy niej. Obawiał się, by nagła zmiana nie pogorszyła stanu zdrowia. Trzeba było zachować wszystkie środki ostrożności, żeby nowe miejsce i szok związany z podróżą nie spowodował dodatkowych komplikacji. Jak dotąd, on wiedział najwięcej o chorobie Marii i najłatwiej nawiązywał z nią kontakt.

Uważał jednak, że to Maria sama zdecydowała o swoim losie, a do niego należało tylko podtrzymanie jej i pomoc, by wytrzymała do końca w dobrej kondycji. Owszem, przez kilka miesięcy nie spał po nocach i zadręczał najmniejszym niepowodzeniem, lecz cóż? Gdyby nie wola pacjentki i splot wydarzeń towarzyszący chorobie, kto wie...? Było jasne, od pierwszych chwil, gdy stwierdzono u niej ciążę, że zwrot w chorobie był efektem naturalnej siły, w którą zaopatrzone jest niemal każda kobieta. To instynkt i nieodparta chęć wywiązania się z obowiązku wobec dziecka dodała jej otuchy i ustawiła strzałkę kompasu na życie.

Był maj. Pokój tonął w kwiatkach po ostatniej wizycie Jerzego. Spotkania z Marią przebiegały poprawnie, lecz nie wzbudzały w nim otuchy. Nie wiedział, jak się zachować, co myśleć. Nie odzywała się do niego, nie reagowała, gdy się pojawiał, traktowała go jak powietrze. Stał nad jej łóżkiem, przestraszony i niepewny, brakowało mu słów. Chciał, by zrozumiała jego intencje. Czy ona cokolwiek rozumiała? Wodziła oczami bez specjalnego celu, skupiała uwagę na nieistotnych szczegółach albo patrzyła w przestrzeń za oknem i całymi godzinami nie zmieniała pozycji. Szyc twierdził, że jest lepiej, Jerzy był innego zdania. Przecież znał ją i wiedział, że to nie jest ta sama kobieta. Od kilku miesięcy czekał w niepewności, czy wyzdrowieje, i planował, co do niej powie. Co powinien powiedzieć, gdy Maria odzyska do końca świadomość, jakie będą jej pierwsze słowa? Niebawem wszystko się rozstrzygnie.

Spędził w pustym domu kilka miesięcy. Miał sporo czasu na rozmyślanie. Pracował intensywnie, by wypełnić czas, lecz zu-

151

pełnie stracił zapał do interesów. Nic go do tego nie motywowało. Przemyślał wszystko wiele razy, przewartościował i postanowił się zmienić. To było paradoksalne stwierdzenie, lecz czuł, że gdyby nie sprawa Marii, nigdy nie podjąłby takich decyzji. Nie którzy ludzie późno dojrzewają, pomyślał o sobie. Było kilka możliwości, wybrał jedną. Miał nadzieję, że właściwą. Zosta jeszcze miesiąc do powrotu Marii. Potem kilka tygodni do rozwiązania. Co będzie później, czas pokaże. Za chwilę wyjeżdża do domu. Jeszcze kilka godzin w podróży i znów pusty dom, dzień: bez wyrazu, beznadziejna samotność i żal.

*

W całkiem innym nastroju był doktor Szyc. Kolejny mężczyzna, któremu Maria przysporzyła rozterek. Wszedł do jej pokoju wesoło pogwizdując. Miał specjalne

plany na dzisiejsze popołu dnie, a ciepły, majowy dzień szczególnie się do tego nadawał. Szyc był zachwycony kondycją pacjentki i radował go widok jej oczu, wypełnionych dziwnym blaskiem. Chociaż nie znika z twarzy wyraz zaciętości i uwagi, intuicja podpowiadała, że w środku Maria jest miękka jak wosk. Wciąż się czegoś bała wyczulona na każdy odgłos ostrzegała, że czuwa. Była nieprzystępna i chłodna. Stała się twierdzą obroną strzegącą największego skarbu. Szyc postanowił, że dzisiaj przełamie twardą skałę i zabierze Marię na spacer. Siedziała na wózku, a on pchał go pomiędzy wąskimi alejkami parku, w stronę, gdzie zbocze kończyło się delikatnym spadkiem ku dolinie. Miał nadzieję, że kontakt z przyrodą sprawi jej przyjemność, chciał popatrzeć, czy zmieni się na twarzy, jak zareaguje na krajobrazy. Jest kobietą, pomyślał, one w szczególności cenią sobie kontakt z przyrodą. Są z nią sprzężone. Przed ich oczami rozpościerały się pofałdowane wzgórza porośnięte majową trawą. Żółte mniszki gęsto rozsypane wśród murawy, drobniutkie stokrotki o białoróżowych płatkach, ledwo widoczne niezapominajki to widok w sam raz dla kobiety, to marzenie ze snu małej dziewczynki. Szyc stanął z boku i dyskretnie przyglądał się reakcji. Był ciekaw, czy odsłoni się, czy zdej-

152

nie ciężką zbroję, w którą zamknęła swoje ciało, i pozwoli uwolnić się duszy. Niespodziewanie sam uległ wiosennej magii. Zostawił Marię na ścieżce, a sam zszedł niżej, pomiędzy kłujące ostrokrzewy i zanurzył się w wysokiej trawie. Góra kwiatów rosła w jego rękach. Dokoła wznosiły się ośnieżone szczyty, a nogi tonęły w zieleni. Czuł się cudownie.

Maria siedziała nieruchomo. Powietrze odurzało. Przed nią roztaczała się rozległa dolina, zamykająca się pierścieniem wysokich gór. Widziała zbliżającego się lekarza i zazdrościła mu. Szedł, niosąc przed sobą kolorowe naręcza kwiatów. Uśmiechał się, wyglądał jak mały chłopiec. Rósł w jej oczach, a ona wiedziała, co zamierza. Poczula, jak na twarz i ręce spływają miękkie płatki kwiatów, zdźbła trawy, jak przyjemnie łaskoczą. Miała je we włosach, na rękach, na ramionach. Dziwna słodycz i cudowny spokój – to wszystko, co teraz czuła. Oparła głowę i zamknęła oczy. Przez krótką chwilę, po raz pierwszy od dawna poczuła się bezpieczna. Spojrzała w górę. Po czystym niebie szybował ptak. Rozpostarte skrzydła zawisły nieruchomo nad głową. Usłyszała trzepot. Ptak zawisnął przez chwilę nieruchomo, jakby się czemuś przyglądał. Potem pofrunął wyżej, zrobił szerokie koło i zawrócił. Na kolana Marii spadło białe pióro i zadrgało w strumieniu ciepłego powietrza.

– Mogłabym być ptakiem – powiedziała głośno.

Wracali ze spaceru bez pośpiechu. Wózek toczył się wolno pomiędzy wysokimi świerkami. Białe wasy porostów, pokrywające dolne gałęzie drzew, zwisały nisko nad ziemią. Maria dotykała je rękami, na palcach czuła lepki nalot. Cieszyła się każdą chwilą. Oczy przywykłe do nużącej bieli z rozkoszą chłoneły jaskrawe barwy. A to niebo, jakież było błękitne, zupełnie niepodobne do tego, które obserwowała przez okno. Wiatr porywał z jej głowy resztę kwiatów zaplątanych w kosmyki włosów. Maria poczuła magię życia i zapragnęła go jak nigdy dotąd. Już знаła swoją prawdę. Wydobyła z pokładów świadomości całe zło, które sprowadziło ją do tego miejsca. Wnioski rodziły się stopniowo, w miarę odsłaniania kolejnego faktu. Minał kry-

153

zys, lecz strach wciąż drażył obolałą duszę. Nie potrafiła przewidzieć, co jeszcze czeka. Choć wiedziała, że świat nie jest baśnią i nigdy nie będzie, czuła się oszukana. Rozpadła się jej dusza i pofrunęła w takie krainy, gdzie można było żyć bez ciała. Tam czuła się bezpiecznie, bo życie bez ciała nie boli. Teraz stała przed ostateczną próbą i nie mogła zawieść. Musi wziąć w ręce naczynie z miłością i donieść je bezpiecznie do celu. Klucz do wszystkiego, co zaplanowała, zamknęła głęboko na dnie duszy i długo by ją namawiać do szczerego wyznania. Nie było na świecie istoty, której by teraz zaufała. Jeszcze nie czas. Dopóki do końca nie załatwi porachunków, nikt nie wydrze z jej duszy całej prawdy. Maria potrzebowała czasu. Poukładanie wszystkiego we właściwej kolejności wymagało trzeźwego spojrzenia na fakty. Czy poradzi sobie ze wszystkim, zanim nadejdzie czas rozwiązania? Zamęt, który czuła przez kilka tygodni, zaburzył zdolność właściwej oceny sytuacji. Poszarpane przez pamięć wspomnienia, wymieszane fakty utrudniały uporządkowanie zdarzeń we właściwej kolejności. Maria wciąż potrzebowała czasu. Dzień po dniu zapisywała pamięć wspomnieniami ostatnich miesięcy. Powróciła do punktu wyjścia, bo tylko stamtąd

można było rozpocząć całą wędrówkę. Do tego czasu obowiązywało ją zupełne milczenie. Spoglądała zachłannie na stojący w kącie telefon i bała się sprawdzić, czy pamięta jeszcze numer do swojego domu?

XI

Ciekawe, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby nie uczucie do Brzeskiego. Może to zbyt mocno powiedziane? Wszak uczucia bywają różne. Więc jak nazwać tę fascynację, która towarzyszyła znajomości z Brzeskim? Co się stanie, gdy młoda dziewczyna, nieco staroświecka, zajęta jedynie pogłębianiem wiedzy o literaturze, trafi na męzczyznę, podobnego jak ona zapaleńca, z rozwiniętym nad wyraz instynktem nie spełnionego ojca? Nie ma lepszego sposobu na zdobycie serca kobiety, jak otoczenie jej męską opieką. To właśnie stało się z Marią. W towarzystwie Brzeskiego czuła się bezpieczna. Nie imponował jej siłą ani wigorem, bo na to był już za stary, lecz poważnym podejściem do wszystkiego, co robił, i wyjątkową szlachetnością. U jego boku śmiało wkroczyła w swojadorosłość i poświęciła się bez reszty zawodowej pasji. Brzeski sekundował jej z oddaniem, dopuszczał do najważniejszych badań, wystawiał opinię, która przecierała jej ścieżkę do kariery. Swoją drogą trudno było o lepszego ucznia. Można by rzec – trafił swój na swego. Czy zdawali sobie sprawę z tego uzależnienia? Kto pierwszy zrozumiał, że ich światy tak bardzo do siebie przystają?

Brzeski nie był już młody i ani myślał wdawać się w amory. Nie miał zamiaru komplikować życia Marii ani sobie odbierać rozkosznej stabilizacji. Żył w wygodnym świecie, robił, co lubił, i chciał, żeby tak pozostało. Swoje życie urządził w ten sposób, by żadna siła nie odciągała go od zawodu. Dostosował biologiczne rytmy do pracy, zaniedbując życie osobiste. Jeżeli darzył Marię uczuciem, cierpiał w ukryciu. Starał się być dla niej miły i opiekuńczy, lecz nigdy nie zabarwiał tego podtekstem uczuciowym.

Trochę inaczej było z Marią. Dużo młodsza, niedoświadczona, z ufnością małego dziecka podświadomie ulegała jego wpły-

155

wom. Któż tak cierpliwie jak Brzeski znosił jej pomyłki i potknięcia, z kim przemierzała kilometry tekstów, zasłuchana w niski ton głosu, dla kogo siedziała nocami, studiując stare pisma, zasypane kurzem odległych czasów? Co miała czuć do człowieka, który lepiej niż ojciec udowodnił jej siłę przyjaźni i wzajemnej odpowiedzialności? Widywali się codziennie, siedzieli blisko siebie i byli od siebie uzależnieni. Dotykali się, ocierali, a mimo to nie zaiskrzyło między nimi. On kontrolował swoje emocje, panował nad ciałem. Ona bała się burzyć dotychczasowy układ i ryzykować odmowę. Mógł przecież wyśmiać jej zaloty. Maria odkryła męskość bardzo późno, szczególnie w osobie Juliana Brzeskiego. Nie potrafiła nawet sprecyzować, na czym ta męskość polegała. Przecież na co dzień, w pracy, nie było na to czasu ani nastroju. Brzeski nie dawał jej ku temu przyzwolenia. Bywało, że pochłonięty nowym zadaniem, przez kilka dni na nikogo nie zważał. Przesuwał oczami po przedmiotach, wodził zamyślonym wzrokiem, uciekał w odległe krainy. Jak można było rozmawiać o miłości z człowiekiem nieobecny duchem? Często zamykał się w bibliotece i długo pracował. Jedynie Maria mogła do niego wchodzić. Tylko ją dopuszczał do swoich tajemnic. Byli jak jedno. Przez kilka wspólnych lat wgrzali się w te same teksty, wyjeżdżali za granicę, prowadzili na spółkę wykłady, spierali się, uzupełniali. Razem odnosili sukcesy, razem ponosili porażki. Zamieszczali swoje nazwiska obok siebie, w tych samych publikacjach. Czy może być jeszcze większa bliskość? A jednak nie padło ani jedno słowo o uczuciach.

Podzieliła swoje serce na połowę. Jerzego kochała ciałem, Brzeskiego duchem. Jeden rozbudził w niej kobietę, drugi tę kobiecość wyniósł na piedestał. Młodszy wydobywał z niej ostatnie tchnienie w miłosnym tańcu, rozrywając na strzępy godność i subtelność, starszy jedynie subtelnością się posługiwał, okazując swój szacunek. Mąż fascynował ją ciałem, szef pasją i wewnętrzną harmonią. Gdy przychodziła do pracy, osuwała się w ramiona niezmaconej ciszy, przerywanej szumem przekładanych kartek i klikaniem komputera. I zawsze obok był on, prawdziwy męzczyzna, opiekun. Nie myślała o różnicy wieku. Przebywali ze sobą tak często, że zapominała

156

o naturalnej przepaści. Nie przerażał jej widok siwej głowy, przygarbionych pleców ani zmarszczek na bladych dłoniach. Brązowe plamy na skórze nie znaczyły

dla niej przemijania, wydawał się przecież wieczny. Szukała okazji do bliskości, nie rozumiejąc, dokąd to prowadzi. Nie snuła planów, po prostu kochała go takim, jaki był, nie oczekując żadnych deklaracji.

Jerzy wypełniał jej czas domowy. Był cierpliwy wobec naukowej nadgorliwości żony. Poznał naturę kobiety, z którą żył, i wiedział, że niebezpiecznie konkurować o nią z literaturą. W otwartej walce była nie do zdobycia. Gdy zastosował tajną broń i wykorzystał słabe strony, mógł z Marią zrobić wszystko. Zapachy w życiu Marii zawsze wiele znaczyły. Węch to był zmysł, który lubiła wykorzystywać ponad miarę, od niego zależało, czy kogoś polubi czy nie. Wytoczyła sobie skalę zapachów i na jej podstawie wybierała. Zapach był pierwszym kryterium. Lgnęła do wszystkich pachnących miodem i mlekiem, ufała pachnącym mydłem, migdałami, krochmaloną pościelą. Uciekała od zapachów zdecydowanie ostrych, zwierzęcych, od woni palonego drewna, lisiej nory, bała się zapachu wiatru. Od dziecka wahała poduszki, apaszki swojej mamy, koszulę ojca – gdy wyjeżdżał na dłużej. Kładła ją sobie na twarz i zasypiała. To właśnie była broń Jerzego i stosował ją ze znanstwem. Gdy odurzeni ponętym fluidami zażywali gorących kąpiel, literatura nie miała wstępu do łazienki.

Maria długo opierała się namiętnościom. Zanim odkryła swoje ciało, minęły lata. Jej rówieśnice traciły głowy w oparach hormonów, Maria miała to w nosie.

Bezpiecznie i bezkarnie czuła się w skórze dziecka. Zamiast budować skomplikowane układy damsko-męskie, czytała dobre książki. Wolała poznawać uczucia wyższe, niż wiedzieć, co czuje do niej kolega z ławki pod oknem. Zateęskniła w końcu do czegoś takiego, ale wiele lat później. Była wtedy w Austrii, na zjeździe bibliofilów z całej Europy. Została razem z Brzeskim zaproszona do Opery Wiedeńskiej na przedstawienie baletowe. Na scenie roiło się od pięknych kobiet i muskularnych mężczyzn. Po raz pierwszy zobaczyła, co kryje

157

się pod zasłoną z ubrań. Siedziała sparaliżowana, wpatrując się zachłannie w tańczących. Czuła zazdrość i zmieszanie. Prawie obnażone ciała, powleczone delikatną powłoką cielesnego trykotu, pulsowanie mięśni, ruchy rąk i nóg w niedwuznacznych rozkrokach. Spociła się z emocji i zdziwienia nad urodą tego, przed czym tak uparcie się broniła. Pokonała barierę lęku i zapragnęła włączyć się w taniec tych ciał, aż do utraty zmysłów, do wyczerpania sił, do nie poznanego przez nią końca. Poczowała się rozbudzona i oszukana. Dotąd myślała o tych sprawach jak o czymś brudnym i poniżającym, niegodnym jej uwagi i zachodu, gdy tymczasem, jak się okazało, mogło to sprawiać wiele przyjemności. Zaległości w erotycznych doznaniach przeszkadzały jej myśleć konstruktywnie. Nagle zainteresowała się problemami swojego ciała, a ono nie chciało już więcej dać się oszukiwać. Rozpoczął się w jej życiu okres polowań na samca. Postępy opóźniał brak doświadczenia i mocno zakorzenione uczucie wstydu i strachu. Poza tym nikt jej się nie podobał na tyle, by starać się o jego względy. Maria czekała na jakiś znak. Eksplozja erotyzmu, której teraz doświadczała, musiała znaleźć upust, by ona mogła odzyskać równowagę ducha. I stało się. Jak na złość, kolejny raz za granicą. Tym razem w Berlinie. Był wieczór. Na oświetlonym deptaku roiło się od spacerowiczów. Chodniki z obu stron opanowali muzycy, zebrani w najróżniejszych konfiguracjach instrumentalnych i osobowych. Było tam wszystko, zaczynając od grających na grzebieniu, kończąc na orkiestrach symfonicznych. Maria szła, przyglądając się i słuchając. Tuż za nią wzdłuż budynków przechadzał się Brzeski. Drażnił go hałas i ruch uliczny. Dziwił się skłonnościom ludzi do gromadzenia się w takich miejscach. On, człowiek wyciszony i spokojny, źle się czuł, wędrując nocą po ulicach Berlina. Patrzył na Marię, jak swobodnie czuje się między ludźmi. Bez zahamowań podchodzi do muzyków, wrzuca do futerałów niemieckie grosze. Bez obaw, że może jej coś grozić. Przegląda wystawy sklepowe, uśmiecha się do ludzi. Błękitna sukienka, poruszana wiatrem, przykleja się do ciała, wyraźnie podkreśla kształty. Wyglądała jak zjawisko. Brzeski po raz pierwszy zobaczył w niej kobietę. To go zaskoczyło.

158

Dotychczas przykładał do niej inną miarę, traktował jak kujona i zawziętego tropiciela przeszłości, który nie miał nic wspólnego z wdziękiem i powabem. Gdy Maria tymczasem rozkwitła, Brzeski widzi to, odkrywa właśnie w chwili, kiedy ona znika mu z oczu. Nie wie, że teraz ważą się jej losy.

Maria, wolna i szczęśliwa, wdycha uroki miasta. Wszystko jest zachwycające. Ta noc, muzyka i ludzie. Panujący gwar jest jak narkotyk, dodaje animuszu, podnieca. Jakiś mężczyzna, młody i przystojny, przygląda się. Wpadła mu w oko,

rozmawiają. Jaki przystojny, myśli o nim. Jak błyszczą te oczy, zupełnie niebieskie. Przyjemne ciepło topiło wszystkie komórki ciała. Kiwnął w jej stronę, coś powiedział. Nie zrozumiała, ale to nie miało znaczenia. Patrzyła jak zahipnotyzowana na szerokie plecy i szła za nimi wprost w ciemną czeluść podwórka. Była podniecona, bez strachu weszła do bramy. Czekał tam z wyciągniętą ręką. Wtedy usłyszała za plecami:

– Zwariowałaś, co robisz? – To był głos Brzeskiego.

Gdy poznała Jerzego, Brzeski był daleko. Wykpił się nawałem zajęć i pozostał w kraju. W swoje miejsce przysłał asystentkę. Maria sprawiła się dobrze w Nowym Jorku, a na dodatek przywiozła z podróży zaręczynowy pierścionek. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności pobyt poza krajem znów podziałał na nią podniecająco. Widać potrzebowała specjalnych okoliczności, by poczuć w sobie miłosny zew. Takiej ewentualności Brzeski nie brał pod uwagę. Chciał, żeby dziewczyna zdobywała doświadczenie, lecz w zupełnie innym kierunku. Mierzył ją swoją miarą i myślał, że praca zastąpi jej wszystko. Jakże się mylił.

*

Maria zawsze była lepsza od Brzeskiego w językach obcych. Uczyła się bardzo szybko, zwłaszcza gdy tej nauce towarzyszyła desperacja. Wystarczyło zarazić janowym pomysłem, a język nie był w niczym przeszkodą. Jej kobiecy wdzięk przydawał się często w negocjacjach przy zakupie nowych pozycji dla instytutu. Wdzięk plus dobra znajomość języka to była połowa sukcesu. Potem na scenę wkraczał Brzeski. Łamaną angielszczyzną, ka-

159

lecząc słowa, z wielkim znanstwem szacował wartość książek i ich pochodzenie. Miał dobrego nosa i niezwykły instynkt. To było ważne, by przy zakupie nie paść ofiarą przemytników i złodziei, którzy bezbłędnie usuwają znaki szczególne dzieł i sprzedają je na oficjalnym rynku. Kupienie kradzionego egzemplarza było dla bibliofila, profesjonalisty, nie lada porażką i upokorzeniem. Jeździli więc wszędzie razem, spędzali wspólnie wiele godzin, doradzali sobie, żartowali. Zbliżyła ich literatura, oddzielały różne domy. Czuli się poniekąd podwójnie zaślubieni – służbowo i prywatnie. Prowadzili życie – ze sobą i bez siebie. Trwali w związku, który oprócz obowiązkowości i poświęcenia dla zawodu niczego nie wymagał i tracił swoją moc poza budynkiem instytutu. Mimochodem tematy rozmów zahaczały o sprawy rodzinne. Trudno było tego uniknąć. Maria miała męża, Brzeski żonę, i to nie była tajemnica. W rozmowach przy śniadaniu w czasie wspólnych wyjazdów przemykały się domowe sprawy i mimo woli wypływały na powierzchnię. Oboje odnosili się do nich z rezerwą i omawiali bez nadmiernej dociekliwości. Brzeski wspominał o żonie, jej problemach z pracą, pretensjach, że za rzadko bywa w domu. Innym razem Maria zwierzyła się z kolejnej porażki Jerzego w nietrafionej inwestycji. Okrągłe słówka i nic więcej. Problemy ze współmałżonkami nie wpływały na ich wzajemne stosunki, ponieważ starali się ich nie poruszać. Choć Brzeski nie pałał sympatią do Jerzego, pozostawali mimo to w poprawnych stosunkach. Jerzy czasami wpadał po Marię, czasami Brzeska przyniosła jakieś ciasto, by umilić mężowi dzień. Wszystko mieściło się w granicach normy. Dlatego, gdy pewnego dnia Brzeski zaczął wypytywać o Jerzego, Maria była zaskoczona. Tłumaczył jej, powołując się na żonę, że ta jakoby знаła kiedyś rodzinę Nieziołowskich. Podpytywał więc, czy to możliwe. Z tego powodu planowali kiedyś wspólne spotkanie, które niestety, nigdy nie doszło do skutku. Brzeski traktował Marię jak córkę, ona jego jak mężczyznę. On udawał, że tego nie dostrzega, ona coraz częściej narzucała

160

się swoją kobiecością. Uczucie, które traktowała dotychczas jak stan pewnej duchowej równowagi, zaczęło wymykać się spod kontroli. Nie była bez grzechu, gdy letnią porą wodziła na pokuszenie jego zmęczone oczy, przychodząc w głębokich dekoltach, z których wystawały jak bochny przypalonego chleba opalone piersi. Brzeski był nieugięty. Widział, co się z nią dzieje, lecz bagatelizował. Jest młoda, chce się podobać. Testuje moją spostrzegawczość i wrażliwość. Chce przypomnieć mi, kim jest. To chwilowe, szybko minie. Próbował usprawiedliwiać dziwne wybryki swojej koleżanki z pracy i uśmiechał się pobłażliwie na widok nowej fryzury. Powtarzał sobie, że go to nie bierze, że wolał ją w wydaniu lekko bepciówym, niż gdy tryskała seksapilem. Czuł jednocześnie, że dał się ponieść dziwnej fascynacji. Jakimś czarom, które spadły niespodziewanie na jego osobę. Dojrzywał w swoim przywiązaniu do Marii, czując, jak przeradza się w coś głębszego. Już dawno zapomniał, po co właściwie są kobiety. Wiedział oczywiście,

że są dzielne, pracowite, wytrzymałe, że pracują, uczą się, doktoryzują i tak dalej. Miał jednak nadzieję, że to nie wszystko, że jeszcze potrzebne są mężczyźni do miłości, że bez nich świat byłby wart tyle, co niebo bez gwiazd. Wciąż zastanawiał się nad tym, do czego Maria dążyła? Jednocześnie odnosił wrażenie, że jest świadkiem dziwnej metamorfozy, która wchłaniała jej duszę i przemieniała skromną kobietę w śmiesznego wampa. Ożyło wspomnienie sprzed lat. Przypomniał sobie Berlin, spacer po ulicach nocą. Wtedy Maria zachowywała się podobnie. Czuło się, jak rozsadzają energią, widział, jak emocje przeradzają się w czyny. Wtedy to on wyratował ją z opresji. Dzisiaj stał się jej ofiarą. Widział, jak zastawia na niego sidła, ulega miłosnym urojeniom, traci wycucie. Ignorował to, by uratować ją przed nią samą. Okazywał obojętność, chłód, czasami celowo ranił. Wszystko po to, by rozwiać złudzenia młodej kobiety, zafascynowanej dużo starszym mężczyzną, pełniącym od lat rolę opiekuna, prawie ojca. Ten trwający od pewnego czasu stan w naturalny sposób zakończyły wakacje. Czas urlopów rozdzielił ich na cały miesiąc. Maria i Jerzy przebywali w Alpach. Przesyłała romantyczne pocztówki, jakby to była ich podróż poślubna. Brzeski, jak zwykle

161

zagrzebany w książkach, nawet nie zwrócił na to uwagi. Szczęśliwy, skoncentrowany na pracy, zapomniał o Bożym świecie. Wrócili opaleni i wypoczęci. Jerzy przywiózł Marię do pracy.

– Jak tu wygląda? – zauważyła na powitanie. Stała prosto jak tulipan na grządce i promieniała. Koniecznie chciała zrobić wrażenie. W gabinecie zastała Brzeskiego z żoną. Nie spodziewał się jej tego dnia. Zakłopotany rozłożył ręce.

– Nie mogłem opanować tego bałaganu.

– Bo nie odkładasz papierów na miejsce – powiedziała Maria, podchodząc, żeby przywitać się z jego żoną.

– To dla niego zbyt skomplikowane. – Brzeska odpowiedziała za męża. – Musiałaby pani zobaczyć jego pokój w domu.

– W domu to co innego. Tam panuję nad sytuacją. – Wziął do ręki swoją zniszczoną torbę i włożył słoneczne okulary. – Nó i mam przecież ciebie – zwrócił się do żony.

Brzeska wyglądała blado. Marii wydawało się, że jest zmęczona. Pewnie ma dość miasta, pomyślała.

– Też powinniśmy gdzieś wyjechać. – Brzeska ubiegła pytanie, czując na sobie wzrok Marii. – Julian nie chce mnie słuchać. Jest uparty jak osioł, a wczoraj miał znowu bóle serca. Lekarz radził wypoczynek, ale czy on kogoś posłucha? Idziemy właśnie na badania. – Chwyliła go za marynarkę i pociągnęła w kierunku drzwi. – Dobrze, że chociaż na to się zgodził.

– Nie słuchaj jej – zaprotestował. – Jak zwykle przesadza.

– A więc zostawiasz mnie pierwszego dnia? – Maria rozejrzała się przerażona. – Z tym rozgardiaszem?

– Jesteś u siebie – odparł. – Ty lepiej wiesz, co zrobić. – Pokazał na otwarte teczki z dokumentami, na biurko i komputer tonący w stercie papierów. Chciała zaprotestować. Spojrzała na Brzeskiego, a potem na męża. Czuła, że została wrobiona.

Jerzy uśmiechnął się tylko.

– A więc muszę cię pożegnać. To nie może czekać. – Pokazał na biurko. Brzeski wychodzili z gabinetu. – Jadę do centrum, może państwa podwieźć?

– Bardzo dziękujemy – odpowiedzieli razem. – Na dole czeka taksówka.

162

Brzeski obejrzał się przez ramię.

– Jutro przyjdę o ósmej. Musimy porozmawiać. Bądź punktualna.

Maria stała zawiedziona. Spodziewała się innego przywitania. Nie było jej cały miesiąc, a on nawet tego nie zauważył. Był taki, jakby widzieli się wczoraj. Spojrzała na swoją torbę stojącą przy drzwiach.

– Zaczekaj – zawołała. – Mam dla ciebie prezenty.

– Zostaw w mojej szafce, jutro obejrzę. – Brzeski machnął ręką z lekceważeniem.

– Mam nadzieję, że to nie są wełniane skarpetki z wyszywaną szarotką i jakiś okropny austriacki krawat?

– Jakbyś zgadł – odpowiedziała ze złością Maria.

*

Jeszcze kilka dni boczyła się na niego, udawała obrażoną. Potem zmieniła taktykę. Śmieszyło go to zachowanie i postanowił przeprowadzić ostateczną

rozmowę. Miał nadzieję, że po urlopie wszystko wróci do normy i będą mogli spokojnie wziąć się do pracy. Było inaczej. Maria, ubrana w powiewną spódnicę, kręciła się po pokoju, rozsiewając niebezpieczne fluidy. Przez moment pomyślał, że może po prostu jest szczęśliwa, że opacznie rozumie jej zachowanie, że to nie chodzi wcale o niego. Przecież pomiędzy nimi nie padło ani jedno dwuznaczne słowo. Brzeski bał się, czy nie skrzywdził jej niesłusznymi podejrzeniami, czy nie za dużo sobie wyobrażał. Być może poniosła go męska pycha, nadmierna wyobraźnia? W końcu postawił wszystko na jedną kartę. Gdy siedzieli przy porannej herbacie, zapytał wprost:

– Czy między nami coś się zmieniło?

Maria milczała. Ukrywanie uczuć było łatwiejsze niż mówienie o nich. Wolała, żeby domyślił się sam, dawała mu przecież znaki. Chyba się domyślił i dlatego pyta. Nie miała odwagi zaprzeczyć ani potwierdzić.

– Mario, to nie ma sensu – rzekł, czując, że nic z niej nie wydobędzie.

Filiżankazherbatałekkodrżałamuwręku. Sytuacja była dość niezręczna. Jeżeli nie miał racji, wypadnie na ostatniego durnia.

163

– Wiem – odpowiedziała, spuszczaając wzrok.

– Dlaczego więc wszystko psujesz? Wzruszyła tylko ramionami.

– Myślisz, że jestem z kamienia? Ten nowy styl, fryzura, obcasy. To do ciebie nie pasuje.

– Nie zwracaj na to uwagi – poprosiła. Odwróciła głowę w kierunku okna. Ciemne włosy opadły miękko wzdłuż ramion. – Odejdę z pracy, jeśli chcesz?

– Zwariowałaś! – zawołał oburzony. – Tego jeszcze brakowało. Nie chcę stracić wspaniałej koleżanki. Nie o to chodzi. Nawet się nie waż. Sam nie dokończę przekładu Psalterza... A co z Armenią? Zostawisz wszystko, bo ktoś cię odtrącił?

– Przeszkadzam ci w pracy – oświadczyła.

– Opowiadasz głupstwa – zaprotestował.

– Mówię poważnie.

– Nie potrafię tego zrozumieć. Poważna osoba, bardzo zdolna, jak nikt zna się na swojej pracy i nie potrafi poradzić sobie z uczuciami? Wytłumacz mi, proszę, dlaczego raz jesteś nieprzytomna z przepracowania, gardzisz sprawami przyziemnymi i wtedy trudno jest dotrzeć do ciebie, a potem niespodziewanie ulegasz dziwnym fascynacjom i tracisz głowę.

Odsunęła się oburzona.

– Sugerujesz, że jestem niezrównoważona emocjonalnie?

– Nie wiem, być może.

– Jesteś okrutny.

– To, co mi proponujesz, też jest okrutne.

– To nie jest kaprys. Tak to czuję. Coś muszę z tym zrobić.

– Nic nie musisz robić. Po prostu bądź sobą. Taką cię potrzebuję. Zwiąż włosy, włóż spodnie i zdejmij te okropne szpilki. – Brzeski wstał i zaczął chodzić wzdłuż pokoju. Wyglądali śmiesznie. Ona jak karcona studentka, on jak bezwzględny egzaminator.

– Chcę ładnie wyglądać – próbowała się bronić.

– Mario, pokusy zostaw dla męża. W pracy bądź taka, jak zawsze.

– A moje uczucia? – nalegała.

164

– Z uczuciami do mnie daj sobie spokój. – Wyjął z kieszeni papierosy i zapalił. Musiał zrobić coś z rękami, czuł się niezręcznie. Chciał za wszelką cenę uchronić Marię od rozczarowań swoją osobą i zadbać o to, by zagubiona w uczuciach nie pograżyła ich oboje. Miał dość tej rozmowy, chciał spokojnie wrócić do pracy i robić swoje. Może, gdyby był młodszy i wolny, wszystko wyglądałoby inaczej. Spojrzał ukradkiem na jej zgrabne nogi. Ale jest, jak jest, i nie należy tego psuć. Najwyższy czas zabrać się za coś pożytecznego. Im wcześniej to zrobią, tym lepiej dla niej i dla niego. Musi rozwiązać wszelkie złudzenia, zanim Maria zbuduje sobie ołtarz z jego osoby.

Teraz zadał to najważniejsze pytanie:

– A co z Jerzym? Nic już dla ciebie nie znaczy?

– To nie tak, jak myślisz – odpowiedziała szybko. – On jest... – Brakowało jej słów. – Jerzy jest jak przygoda: przystojny, nadskakujący, tolerancyjny i zaradny. Przynajmniej w niektórych sprawach. Ale nie jest dla mnie ostoją. Jest nieprzewidywalny, wiecznie czymś oczarowany, nienasycony. Może kiedyś się zmieni, spoważnieje, uspokoi. Na razie życie z nim to wulkan. Męczy mnie czasem.

– Dlatego szukasz spokoju w jego przeciwieństwie? – spytał. – A Zofia? Co z moją żoną?

Odgarnęła włosy. Nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz. Ta rozmowa niczego nie rozwiązała. Oboje czuli, że może jedynie stworzyć pozory normalności. Siedzieli bez słowa, bo każde wiedziało, że temat został wyczerpany. Niezaspokojone uczucia, miłosne mrzonki niemożliwe do spełnienia, to wszystko, do czego mieli prawo. Ten, można by rzec, wybryk z ich strony powinien pozostać na zawsze pogrzebany w głębokich pokładach niepamięci i nie powinien burzyć pomiędzy nimi poprawnej codzienności. Pytanie tylko, czy raz powiedziane słowo bądź okazane uczucie może tak nagle zniknąć z powierzchni ziemi?

Tego samego dnia, nieco później, zagłębieni w pracy, zachowali swobodę i naturalność. Rozmowy na tematy zawodowe jak zwykle toczyły się z dużą zażartością. Powrócili do prozy życia, zachowując głęboko w pamięci nie rozstrzygnięty problem.

165

*

Obcowanie z literaturą powstała w dalekiej przeszłości, przebywanie kilka godzin dziennie w kulturze, od której odskoczyliśmy o setki lat, może wydawać się nieciekawe i nużące, a wykonywanie tego dla zarobku wyjątkowo przykre. W sercu Marii często rodziło się pytanie, czy gdyby musiała wybrać jeszcze raz, zrobiłaby tak samo? Gdy oboje z Julianem gościli na kartkach tak zwanej literatury dydaktycznej czy naukowej, odnosili wrażenie, że od tamtego czasu w ludzkich umysłach niewiele się zmieniło. Rozmawiając o tym, pytali czasami: po co to wszystko? Czy ich praca naprawdę była komuś potrzebna? Pracowali, by przekazać, w jaki sposób myśl ludzka torowała sobie drogę ku poznawaniu i zgłębianiu odwiecznych zagadek istnienia. Czy człowiek aby na pewno czerpie z doświadczeń swoich przodków, czy na ich przykładzie stara się uchronić od popełnianych przez nich błędów? Bo jeśli nie, to wszystko nie ma sensu. Dla Marii Jaros i Juliana Brzeskiego przecieranie szlaków myślowych swoich poprzedników, studiowanie książek, badania, określanie opinii i poglądów było namiastką tworzenia historii, a właściwie jej odtwarzaniem. Wprowadzili do swojej pracy nowatorskie metody badań po to, by można było wyciągnąć w ich trakcie coraz lepsze wnioski, jeszcze bardziej zbliżające do prawdy. Czy ktoś ich kiedyś nie obali? Czy doceni ich mroźczą pracę, tak jak oni teraz doceniają trud dawnych pisarzy, kronikarzy. A może trafiana listę osób wyklętych, a ich praca zostanie wyśmiana, jak kiedyś wyśmiano i odrzucono teorię Kopernika, Giordano Bruno czy Galileusza? Popołudnia spędzane w oparach przeszłości, gdzie cząstki starych kultur przenikały przez skórę jak woda, były barierą odgradzającą ich od realnego świata. Powrót zawsze był trudny. Niosło się na włosach pył kruchych kartek i jak wirusem zakażało atmosferę. Dlatego Maria i Julian tak niechętnie wracali do domu. Tam jeszcze długo towarzyszyło im przenikanie się tych światów, a to nie było łatwe dla ich współmałżonków. Zbliżał się wieczór. Słońce coraz bliższe horyzontu zmieniało nieustannie kolory nieba. W końcu Marii udało się opanować bałagan powstały w trakcie jej nieobecności i jeszcze przed

166

wyjściem chciała zajrzeć do komputera. Następnego dnia czekało ich ustalanie bibliografii do ich wspólnego dzieła na temat Armenii. Maria chciała sobie nieco odświeżyć pamięć, zanim na dobre weźmie się do pracy. Włączyła komputer. Jakie było jej zdziwienie, gdy na pulpicie nie znalazła właściwej ikony ani innych, na których umieściła pozostałe etapy pracy. Jeszcze chwilę manipulowała przy klawiaturze w nadziei, że to tylko niewielka awaria, a komputer, podobnie jak ona, jeszcze nie do końca wrócił z urlopu. Niestety, to nie dało efektu. Maria nie rozumiała, co się mogło stać. Nawet zaczęła przeglądać zawartość komputera i choć to wydawało się nieprawdopodobne, brała pod uwagę zamianę.

– Julian, czy ktoś grzebał w moim komputerze? – Brzeski zmarszczył brwi, jakby nie rozumiał pytania. – Coś tu nie gra – kontynuowała.

– Nie używałem go – wyjaśnił krótko i zajął się swoimi sprawami.

– Miałaś poprawiać coś pod moją nieobecność.

– Nie zdążyłem. Zająłem się czymś innym.

– Więc co się stało? Nie mogę niczego znaleźć. – Jeszcze raz obejrzała komputer. – A może ktoś go zamienił?

– Nie żartuj. Chyba bym o tym wiedział. Prawie nie wychodziłem z gabinetu.

Maria słuchała z niedowierzaniem. Miała ochotę się uszczypnąć.

- To coja mam teraz robić?
- Trzeba wezwać informatyka. Przecież to nie wyparowało.
- A jeżeli? - Maria była pełna obaw.
- Mamy jeszcze zapis na CD.
- Brakuje tam ostatnich analiz, wykresów i map.
- Najważniejsze jest przegrane, z resztą sobie poradzimy - próbował uspokajać. Nie chciało mu się wstać, ale był pewny, że Maria coś pokręciła.
- Informatyk musi to znaleźć. Nie będę jeszcze raz męczyć się z mapami.
- Na pewno nie przegrałaś tych map?
- Nie zdążyłam.

167

- Daj, sprawdzimy. - Niechętnie wstał od biurka. Maria wyjęła z torebki klucze i otworzyła sejf z płytami CD. Sprawdziła kasetony.
- Nie widzę - oznajmiła.
- Poszukaj dobrze. - Brzeski był już zniecierpliwiony. Podeszedł i sprawdził sam.
- Rzeczywiście, nie ma, jak to możliwe? - Kaseton opisany hasłem „Armenia” był całkowicie pusty.

*

Sprawa kradzieży trafiła na policję. Poza materiałami o Armenii z gabinetu nic nie zginęło. Brzeski miał wątpliwości, czy należy wciągać w to organa ścigania, lecz Maria zdecydowała, że sprawa jest dla nich zbyt ważna, a materiały bardzo cenne, i w dodatku nie do odtworzenia. Muszą się znaleźć, bo inaczej praca kilku lat pójdzie na marne. Brzeski twierdził, że poradzą sobie z odzyskaniem danych, że zaczną wszystko od początku. Lecz Maria nie chciała nawet słuchać. Załamała się. Na samą myśl, że musiałyby przejść jeszcze raz to wszystko. Te wyjazdy, zdobywanie funduszy i to ślęczenie po nocach - to niemożliwe.

Od samego rana kręcili się po ich wydziale policjanci i rozmawiali ze wszystkimi pracownikami, którzy mogliby w jakikolwiek sposób pomóc im w dochodzeniu.

Włamanie do sejfu nie było. Nie znaleziono śladów otwierania zamka na siłę.

Złodziej miał prawdopodobnie własny klucz. Jak go zdobył, nie wiadomo.

Największą zagadką zaś było to, komu aż tak zależało na materiałach o Armenii, że zdecydował się na kradzież, i co zamierzał z tym wszystkim zrobić? Nie mógł wykorzystać w celach naukowych ani opublikować, bo to byłoby przyznanie się do winy. W grę wchodziła jedynie zemsta konkurencji lub ludzi, którym zależało na przerwaniu prac, by uniemożliwić wydanie książki, zapowiadanej od kilku tygodni na rynku wydawniczym. Policja postanowiła pójść tym tropem. Maria była zdania, że jeśli nawet tak się stało, to najpierw trzeba złodzieja złapać za rękę i udowodnić mu winę. Ale wtedy nie będzie już dla niej nadziei na odzyskanie materiałów, bo wątpliwe jest, żeby złodziej narażał się na

168

ich przechowywanie. Raczej zniszczy wszystko i zatrze za sobą wszelkie ślady.

Sytuacja była beznadziejna. Marii zawalił się cały plan na najbliższe tygodnie.

- Co ja teraz będę robiła? - zapytała Juliana. - Wszystko kręciło się wokół tej Armenii.

Brzeski widział, że Maria nie może sobie znaleźć miejsca. Jako jej przełożony i przyjaciel musiał zdecydować, co dalej.

- Jest sporo zaległej roboty - pocieszał. - Jest mój psalterz, zajęcia ze studentami. Sama ostatnio mówiłaś, że za dużo wzięłaś sobie na głowę.

Brzeski robił, co mógł, żeby pomóc się Marii pozbierać. Ta książka była ich wspólną pracą, dla niego równie ważną jak dla niej, bo uświetniłaby zakończenie kariery zawodowej. Brzeski wybierał się na emeryturę. Rezygnował z wykładów i pracy dydaktycznej, zdał kierownictwo wydziału. Zostawił sobie tylko etat naukowy i możliwość kontynuowania prac. Bez tego nie mógłby żyć.

- Kiedy pomyślę, że za kilka miesięcy ta książka byłaby gotowa... - Maria zaczęła płakać.

- Widocznie tak chciało przeznaczenie - powiedział z przesadnym namaszczeniem. Maria pochlipywała.

- Nie wierzę w przeznaczenie.

- Może to jakiś znak, dla ciebie i dla mnie. Nie zrozumiała.

- Co masz na myśli?

- Uważam na przykład, że to jest bardzo dobra pora na zaplanowanie dziecka. Patrzyła na niego zaskoczona.

- Czy ja się przesłyszałam? – zapytała.
- Nie, nie przesłyszałaś się. Powinnaś to zrobić, i to jak najprędzej. To może pomóc twojemu małżeństwu, odświeżyć je i scementować.
- Odświeżanie małżeństwa za pomocą dziecka to zwykle bzdury.
- Dziecko wypełni ci życie – nie dawał za wygraną. – Nie

169

możesz budować wszystkiego na jednym fundamencie. Praca nie jest sensem życia.

- Dla mnie jest – zaprotestowała.
- Nie kłam. Niedawno rozmawialiśmy przecież o uczuciach, o tym, że do prawdziwego szczęścia potrzebny jest drugi człowiek, że więzy między ludźmi są najważniejsze. Brakuje ci tego, a ja nie mogę być na wszystko lekarstwem. Dziecko wyrówna wszystkie straty i pozwoli odzyskać sens życia. Pal licha tę Armenię, to przeszłość. Pisałaś o przeszłości, zacznij wreszcie pisać przyszłość, zbuduj coś sama.
- Mam budować coś z Jerzym?
- A dlaczego nie?
- Boję się odpowiedzialności za drugą osobę. Chodzę wiecznie nieprzytomna, balansuję na granicy rzeczywistości i więcej wiem o tym, co było kiedyś, niż co powinnam zrobić jutro. Kocham swoją niezależność i jestem najgorszym materiałem na matkę. – Zauważyła, jak jej się pilnie przygląda. – Co tak na mnie patrzysz?
- spytała zmieszana.
- Patrzę i myślę, że byłabyś piękną mamą, nic więcej. Maria przymknęła oczy.
- Kobieta do tego nie wystarczy – powiedziała.
- Masz przecież Jerzego.
- On nie nadaje się na ojca. Jest kochany, ale on jako ojciec...?
- To niesprawiedliwe. Nie wyobrażaj sobie, że istnieje idealny człowiek. Jeżeli go sobie wyimaginowałaś, to już czas na przebudzenie. Każdy z nas ma jakieś wady. Nosimy je pod skórą, czasami dokuczają, ale jakoś z tym żyjemy. Jerzy nie jest ideałem, tak samo jak ja i ty.
- Czasami jest taki dziwny. Jego życie naznaczone jest piętnem wypadku, w którym zginęli jego rodzice. To wciąż w nim tkwi i nie pozwala mu spokojnie egzystować. Nie rozmawiamy na ten temat. Jest jakaś bariera w jego pamięci, jakby od dnia tej okropnej burzy świat zaczął się na nowo. Nigdy ich nie wspomina.
- Kogo? – Brzeski nie zrozumiał.
- Rodziców, oczywiście. Nieraz próbowałam dowiedzieć

170

się czegoś, ale bez skutku. Odpowiada mi półsłówkami i bardzo się denerwuje. Widocznie nie może zapomnieć.

- Już ci kiedyś mówiłem, że moja żona знаła rodziców Jerzego. Mogę potwierdzić to, co mówisz. Szkoda, że Jerzy nie chce przełamać tych zahamowań. Może gdzieś w Polsce mieszka jeszcze jakiś Nieziołowski. Spotkanie po latach z osobą znającą jego przeszłość mogłoby mu pomóc.
- Maria puściła radę mimo uszu. Czula się dziwnie. Dziś po raz pierwszy tak otwarcie przyznała się do swoich wątpliwości. Zdawała sobie sprawę, że była osobą nietypową i wiodła dość nie-zorganizowane życie. Miała zabezpieczoną przyszłość, dzięki pieniądзом, które zostawili jej rodzice, satysfakcjonującą pracę, męża i wygodne mieszkanie. Właściwie miała wszystko, co było jej potrzebne do życia. Po co więc komplikować to wszystko dzieckiem? Jerzy był zajęty sobą i interesami, do domu wracał późno, najczęściej bardzo zmęczony. Nie nadawał się na ojca rodziny. Był nieobliczalny i trochę dziwny. W cieplarnianych warunkach, w jakich żyli, dało się jakoś tolerować jego wybryki, lecz na zakładanie prawdziwego stadła nie był odpowiednim materiałem. Maria przyzwyczaiła się, lecz gdyby mieli dziecko, wszystko musiałoby się zmienić. Brakowało jej doświadczenia, byłaby zdana na własne siły. Nie wiedziała, jak to wygląda w innych małżeństwach, nie miała przyjaciółek ani sąsiadek chętnych do pomocy. Jedyna siostra mieszkała na drugim końcu miasta i nie utrzymywała z nią zbyt bliskich stosunków. Nie chciała ryzykować. Zabezpieczyła się przed ciążą i żyła spokojnie, nie zwracając sobie głowy macierzyństwem. Rozmowa z Julianem wprowadziła w jej myśli chaos i wątpliwości. Może jednak Julian miał rację i powinna zdecydować się na dziecko? To ostatni moment, żeby spróbować. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Gdy wyrzucała do śmieci pudełko z tabletkami, bała się, że miłe uczucie ciepła opuści ją za prędko i zrezygnuje. Wydawała się sobie naga i bezbronna, tak jakby akt poczęcia miał związek z utratą tożsamości.

Świat za oknem poszarzał, chłodne powietrze wdarło się do pokoju. Pomyślała o Brzeskim. Ciekawe, który z nich nadawałby się bardziej na ojca mojego dziecka?
171

*

– No tak, masz rację – Maria rozmawiała przez telefon z Jerzym. – Zobaczymy się wieczorem, mam jeszcze zajęcia. Skończę koło siedemnastej. Nie chcę nigdzie wychodzić. Na dworze jest okropnie – przekonywała go do pozostania w domu. – Dobrze, jeśli koniecznie chcesz, będę gotowa, ale nie mam ochoty. Rozumiem, pa.
– Czuła na sobie wzrok Brzeskiego i wiedziała, że przysłuchuje się rozmowie. Odłożyła słuchawkę i zapytała:

– Może pójdziemy coś zjeść?

– Nie mam apetytu – oświadczył. – Idź sama. Nie zostawię tak wszystkiego. Jeszcze zginie jakaś książka i będą kolejne kłopoty.

– Możemy zamknąć drzwi na klucz.

– Ktoś, kto zabrał nasze płyty i wyczyścił komputer, nie miał z tym problemu.

– Nie możemy przecież tu spać – oburzyła się.

– Właśnie się nad tym zastanawiam. Już miesiąc, jak była tu policja, i nic.

– I tak już pewnie pozostanie. Nie liczę na cud, ale to nie powód, żebyś przesiadywał bez końca w pracy.

– Mam cichą nadzieję, że złodziej pojawi się jeszcze raz, a wtedy ja będę na niego czekał.

– Chcesz zostać kapitanem Klossem??

– Nie śmieję się, mam pewne poszlaki. Jak na razie, wszystko się zgadza. – Poglądził włosy i spojrzał na Marię swoimi zielonymi oczami. – Może za kilka dni będę znał prawdę.

Maria uśmiechnęła się pobłaźliwie. Straciła już nadzieję i wzruszało ją, że Brzeski wciąż robi, co może, żeby poprawić jej nastrój.

– Dobra, więc przyniosę coś z baru i zjemy tutaj.

Kupiła kanapki i dwa jogurty. Po drodze wstąpiła po gazety. Miała dziś ochotę na coś lżejszego. Dość tych staroci, poczytam sobie coś banalnie współczesnego, pomyślała, spoglądając na czasopisma zalegające na półkach. Nie interesowały ją ploteczki ze świata ani moda. Nie lubiła zbyt dogłębnie zastanawiać się nad
172

walorami kremu, który używała, ani nad tym, jak podlewać pelargonie. Nie znała się na samochodach i znać nie chciała, a do fitness club na pewno nigdy nie zawita. Po takiej selekcji niewiele zostało do wyboru. Może coś o podróżach, jakieś reportaże albo trochę polityki, zastanawiała się. Sterta gazet rosła, a ona nie umiała wybrać. Czasopisma zbyt ekskluzywne nie budziły zaufania, a zbyt szare odpychały biedą. Ani na jedno, ani na drugie nie miała nastroju. Przerzucała bezmyślnie kolejne kartki, szukając czegoś interesującego.

Nieludzkie warunki w domu pomocy społecznej pod Łodzią, przeczytała odruchowo. Poniżej zobaczyła fotografię zaniedbanego człowieka, z siwą czupryną, który stał obok glinianej rzeźby. Poszukała wewnątrz numeru. To samo zdjęcie, a pod nim podpis. „Podopieczni zakładu oddają się własnym pasjom”. Twarz starca była jakaś znajoma. Gdzieś ją widziała. Takie zdjęcie... Coś jątknęło-u Jerzego w szufladzie. Tak, widziała je w szufladzie. Pytała się kiedyś, skąd je ma? Odpowiedział, że przyplątało się razem z pamiątkami po rodzicach, że musi je wyrzucić. Zdjęcie było czarno-białe, ale dosyć wyraźne, a mężczyzna na zdjęciu rzeźbił w dużej glinianej bryle. Szła przed siebie z gazetą w kieszeni.

Właściwie nic się nie stało. Ot, zwykły zbieg okoliczności albo przewidzenie. A jednak w sercu zagościł niepokój. Ciekawe, czy to zdjęcie jest jeszcze w szufladzie? Dawno do niej nie zaglądała. A nawet jeżeli, to przecież nic nie znaczy, poza tym, że być może to jakiś krewny Jerzego, który zubożał i trafił w takie przygnębiające miejsce. Odechciało jej się jeść i wróciła do pracy bez humoru. Brzeski zauważył od razu, że coś nie gra.

– Muszę jechać do domu – oznajmiła, zanim zdążył otworzyć usta. Powiedziała to tak kategorycznie, że nie protestował. Ostatnio była rozdrażniona i niecierpliwa. Kładł to na karb przykrości, jakie ich spotkały, i na kłopoty rodzinne. Maria wyjawiała mimochodem, że jej siostra Anna ma pretensje o jakieś mieszkanie po rodzicach czy po ojcu. Nie pamiętał dokładnie. Maria oddałaby jej to mieszkanie, ale Jerzy nie chce się zgodzić. Uważa, że jeśli Anna nie ma dowodów, że tak było naprawdę, mieszkanie według prawa jest ich.

173

– Skończyłaś już zajęcia? – zapytał, choć był pewien, że nie.

– Mam jeszcze jedną grupę, ale już nie wrócę. Pojadę prosto do domu. Zdziwił się, bo jeszcze przed kilkoma minutami planowali ustalanie programu zajęć na rozpoczynający się niebawem semestr. Stała w korku. Na skrzyżowaniu tramwaj zderzył się z karetką i cały ruch wzdłuż trasy został zatrzymany. Kupiona przed chwilą gazeta paliła skórę przez kieszeń kurtki. Postanowiła jednak, że wyjmie ją dopiero w domu. W głowie miała chaos. To wszystko przytłaczało ją i wyprowadzało z równowagi. Ostatnio w jej życiu zaszło tyle zmian, że zaczynała się gubić. Bo czyż mogła wiecznie trwać w dziwnym układzie, pomiędzy miłością do pracy, niewolą w ramionach młodego męża a przywiązaniem do opiekuńczego partnera? Trzy żywioły targające jedną niezdecydowaną kobietę to za wiele. Do bukietu trosk doszły obawy o dalszy los pracy podjętej wspólnie z Brzeskim. Jeżeli Julian przerwie pracę nad książką, dokończy ją sama. Nawet gdybym musiała to sobie sfinansować. Przysięgła kiedyś, że jedną ze swoich książek poświęci Armenii i literaturze ormiańskiej. Pierwszym krokiem do tego miało być opisanie jej dziejów na podstawie zbiorów mieszczących się w narodowej bibliotece znajdującej się w Erewaniu, stolicy Armenii, w tak zwanym Matenaradan – Świątyni Ksiąg i Rękopisów. Pojechali tam z Brzeskim cztery lata temu. Spędzili trzy miesiące na zbieraniu materiałów. Prace uniemożliwiła im nieznamość języka. Wprawdzie mieli pod ręką doskonałego tłumacza, lecz jak tu zgłębiać tajemnice narodu przy pomocy pośrednika. To wyzwanie było dla Marii pełnym poświęceniem. Choć nie miała specjalnie ochoty, bez trudu opanowała podstawy języka ormiańskiego. Kolejny raz okazało się, że nauka języków obcych przychodzi jej z niespotykaną łatwością. Brzeski śmiał się, że to przodkowie mówią do niej z za grobu, gdy śpi, a jak się budzi, zna kolejne słowa po ormiańsku. Uczyła się przez pół roku. Potem był kolejny wyjazd do Armenii i możliwość wykorzystania umiejętności. Po miesiącu całkiem nieźle sobie radziła z ojczystym

174

językiem swojej babki. Dzięki temu lepiej poznała prawdziwe oblicze kraju, o którym opowiadała jej matka, i zrozumiała, w czym tkwi jego tajemnicza moc. Pracowali kolejny raz w Matenaradan. Choć budynek instytutu był stosunkowo niestary, bo zbudowano go w latach 1945--1957, to charakterystyczny na te lata monumentalny styl budowli nie pasował do roli, jaką mu przypisano. Na szczęście usytuowanie na jednym z armeńskich wzgórz, otaczających całe miasto, dodawało mu uroku. Ale nie jego wygląd zadecydował o wartości. Bez ograniczeń językowych, a więc niezależnie od czasu pracy tłumacza, penetrowali przepastne księgozbiory. To, co znaleźli, przeszło najśmielsze oczekiwania. Księgozbiór pochodził z początków piątego wieku naszej ery. To wtedy w klasztorze w Eczmiadynie utworzono po raz pierwszy bibliotekę. Dzieła, które tam zgromadzono, wytrzymały najtragiczniejsze zakręty historii Armenii i dotrwały do dziś. Ormianie na punkcie książek mieli bzika. W średniowieczu niemal każdy klasztor posiadał swoją bibliotekę i skryptoria. Były ich setki, od najmniejszych po wielkie. Niestety, losy tych książek były tragiczne, tak samo jak los ich ojczystny. Dzieje opisuje dokładnie żyjący w dwunastym wieku historyk armeński. Z bólem podaje, że zniszczeniu uległo wtedy około dziesięciu tysięcy rękopisów z klasztoru w Balaberd. W osiemnastym wieku rozgrabiono zbiory w Eczmiadynie. A jednak największe skarby przetrwały. Ostatni raz ta słynna biblioteka została rozgrabiona w 1804 roku, a jej wspaniałe księgi rozprzedane na wielu rynkach świata. Ale to nie koniec historii.

Pod wpływem wspomnień odżyły zdarzenia sprzed dwóch lat. Przypomniały się jej dni spędzone w ciemnych murach biblioteki, gorąca herbata, parzona bez ustanku przez ładną studentkę historii. Maria obiecała jej, że zaprosi ją kiedyś do Polski, i oczywiście nie dotrzymała słowa. Poczula w ustach smak chorowacu, czyli szaszłyku, i kiufy – mięsnych kulek w gorącej zupie, wspaniałe przyrządzanych warzyw i soczystych winogron, których pełno było na ormiańskich stołach. Wracali wieczorem do obskurnego hotelu, z notatkami, których porządkowanie zajmowało im niemal całą noc, a rano zaczynali od początku.

175

Największe wrażenie wywarła na Marii historia zagłady narodu ormiańskiego w 1915 roku, kiedy to Turcy z wyjątkowym okrucieństwem wymordowali półtora miliona mieszkańców tego kraju.

Alfabet ormiański funkcjonuje od roku 406 – jako jeden z najstarszych. Został opracowany przez mnicha ormiańskiego i po dziś dzień nie zmieniono w nim ani jednej literki. Maria pamiętała, że jak urzeczona spoglądała na piękne,

graficzne litery i myślała o człowieku, któremu starczyło umiejętności, by podarować swojemu narodowi coś, co jest niezniszczalne. Pierwsze karty ksiąg ormiańskich zapisane były na pergaminie z jagnięcej bądź cielęcej skóry. Tak zachowała się Ewangelia napisana w VII wieku, a także Ewangelia Świętego Łukasza z 877 roku. Podobnych pomników kultury Maria mogła tam zobaczyć wiele. Pamięć o nich zamknęła w sobie głęboko i dlatego nigdy nie zrezygnuje z napisania o tym specjalnej książki. Obiecała to sobie i swojej matce. Choć los chce koniecznie pokrzyżować jej plany, nie podda się i spróbuje jeszcze raz, od początku. Trudno pogodzić się z myślą, że tyle pracy może pójść na marne.

Samochody ruszyły. Długi szereg pojazdów rozciągał się powoli i rozplynał w wąskich uliczkach śródmieścia. Zaszło słońce, zaczął padać deszcz. Październikowy dzień rozpoczął się pogodnie, a zakończył chłodem. Po szybach spływał kurz wymieszany ze strugami wody. W zapadającym zmroku raziły strzelające promieniście światła samochodów jadących z przeciwka. Przed maską samochodu niespodziewanie ukazywali się nieostrożni przechodnie z otwartymi parasolami, a mokra jezdnia odbijała kolorowe światła miejskich wystaw. Jeszcze tylko kilka przecznic i zaraz zobaczy okna swojego domu. W oknach było ciemno, to znak, że Jerzy jeszcze nie wrócił. Brama otwierana pilotem bezdźwięcznie przesuwiała swoje ramię, robiąc miejsce na wjazd. Na podwórku stało kilka samochodów. Auta Jerzego nie widziała. To dobrze. Muszę wiele przemyśleć, zanim wróci do domu.

XII

Pamięta dzień, gdy otrzymała odpowiedź z Domu Opieki Społecznej. Najpierw zrobiła ksero fotografii znalezionej w szufladzie, potem wysłała je razem z pytaniem o osobę, która jest na zdjęciu. Okazało się, że był to jeden z podopiecznych zakładu, długoletni mieszkaniec, samotnik, były artysta rzeźbiarz, alkoholik z nikłymi przebłyskami świadomości. Wybrała się w podróż w pewną listopadową niedzielę, by dowiedzieć się, skąd jego zdjęcie znalazło się w szufladzie Jerzego. Przed tym wstąpiła do banku, żeby wypłacić trochę pieniędzy. Mogły jej być potrzebne. Wypisała czek i poprosiła o zaległe wyciągi. Jechała szybko. Bała się, że zmoży ją sen. Przemęczone oczy reagowały na światło i piekły. Poprzedni dzień spędziła, ślęcząc przy komputerze. Jechała sama. Brzeski nie przyszedł do pracy, podobno był przeziębiony. Trochę się o niego martwiła. Wyglądał na zmęczonego. Próbowała nakłonić go do zwierzeń, lecz bronił się zawzięcie, tłumacząc, że to głupstwa i że nie warto sobie tym zawracać głowy. Dobrze wiedziała, że głupstwami nigdy się nie przejmował. To było coś poważniejszego, tylko on, jak zwykle, nie chciał wokół siebie robić hałasu. Być może tak przeżywał pożegnanie ze studentami, a może bał się kolejnego włamania. Pracował za dużo. Uważał się za tytana i nawet coraz częstsze niedyspozycje nie mogły wprowadzić go z takiego przekonania. Perspektywa choroby, a już nie daj Boże łóżka, była dla Brzeskiego nie do zniesienia. Maria nawet się zdziwiła, że tego dnia został w domu. Musiał naprawdę źle się poczuć, skoro pozwolił się zamknąć w mieszkaniu. Obiecała sobie, że gdy upora się ze swoimi sprawami, namówi Juliana na krótki wjazd. Powinien trochę odpocząć.

Błądząc bocznymi drogami, dojechała wreszcie do celu po-

177
droży. Parterowy budynek w kształcie litery „U” wcinał się z jednej strony w gęsty sosnowy las, a z drugiej kończył w starannie przyciętym sadzie. Poskręcane chłodem liście jabłoni oznaczały początek jesieni. Z prawej strony, pod lasem, na długich sznurach suszyła się kolorowa pościel. Przed domem na taboretach siedzieli pensjonariusze. Wzbudzała zainteresowanie swoją osobą. Oczy wszystkich wędrowały z nią aż pod same drzwi.

Kierownik ośrodka wprowadził ją do pokoju gościnnego. Przy stole siedział mężczyzna z fotografii. Wyglądał identycznie jak w gazecie, jakby od tego czasu nie przebierał się i nie cesał. Długie siwe włosy przylegały szczelnie do szczupłej, owiniętej szalikiem szyi. Ubrany był w stary wojskowy mundur, bez guzików, i drelichowe spodnie. Spoglądał swoimi błękitnymi oczami i szukał w jej twarzy odpowiedzi. Siwe brwi, poskręcane jak sfilcowany kożuch, rzucały cienie na nie ogolone policzki. Dłonie tarł nerwowo o siebie, a osypujący się z nich piasek opadał na blat stołu.

Usiadła obok. Nie wiedziała, od czego zacząć. Gdy wypowiadała pierwsze słowa, poczuła strach. Pomyślała, że przyjazd tutaj był błędem. Dała się ponieść

podszepcom wyobraźni i rozbudzonej ciekawości. A ciekawość to zły doradca. Najchętniej uciekłaby jak najdalej od tego miejsca i pozostała w błogiej nieświadomości. Bała się tego świata, przerażał ją widok nieszczęśliwych ludzi. Jednakże o ucieczce nie było mowy. Maria patrzyła na czubki swoich butów, a mężczyzna taksował ją niepewnym wzrokiem. Też się bał. Strach czaił się w każdym spojrzeniu, obawa o przyszłość wypalała rumieńce na szczupłej twarzy. Zdecydowała się wreszcie i wymieniła swoje nazwisko:

– Maria Jaros – powiedziała zdecydowanie. Kiwnięcie głową było odpowiedzią ze strony słuchacza. – Przyjechałam tu – zaczęła prosto z mostu – by prosić pana o pomoc w rozpoznaniu pewnej osoby i zapytać, czy osoba, którą pokażę za chwilę na zdjęciu, jest panu znana. – Wyjęła kilka zdjęć. Tych najnowszych, zrobionych w ostatnim roku, i starszych. Rozłożyła je na stole i czekała. Mężczyzna patrzył długo, przyglądał się dokładnie każdemu z nich z niedowierzaniem i strachem. Nie wiedział, co powiedzieć, jakby za tymi słowami, które powinien z siebie wydusić, czaił się wyrok.

178

Milczał i jak zaklęty przeglądał to w jedną, to w drugą stronę ułożone rzędem fotografie. W końcu zebrał się na odwagę. Spłoszone oczy przez chwilę bładziły, jakby szukały ucieczki, a potem znieruchomiały. Skierował je na Marię i szepnął przestraszony:

– Czy pani jest z policji?

– Nie, nie jestem z policji – odpowiedziała przyjaźnie. Nie chciała go przestraszyć. – Przyjechałam tu w prywatnej sprawie. Muszę zdobyć pewne informacje i chciałabym, żeby mi pan w tym pomógł. Szukam pewnych osób.

– Kogo pani szuka? – Podniósł na nią wzrok. Pokazała palcem zdjęcia, które już oglądał.

– Poszukuję krewnych mężczyzny, którego widzi pan na zdjęciu.

– A po co pani ci jego krewni? – pytał dalej. Maria zastanowiła się nad odpowiedzią

– Mam dla nich pieniądze. Osoba z tej fotografii chciałaby odnaleźć swoją rodzinę i pomóc jej finansowo. Jest dość zamożna i stacją na udzielenie pomocy swoim krewnym.

Walczył ze sobą. Długie palce splatały się i rozplatały.

– Dużo tych pieniędzy?

– Sporo – odpowiedziała tajemniczo.

– Ile?

– Kilkanaście tysięcy.

Grdyka mężczyzny przesuwiała się w górę i w dół, a wystające kości policzkowe drgały z podniecenia.

– Maje pani przy sobie? – wciąż pytał.

– Mam, ale nie wszystkie. Teraz miałabym około tysiąca złotych.

Zapadła chwila obiecującej ciszy.

– A gdyby to ja był tą osobą, to znaczy tym krewnym? – odważył się przyznać.

– Dałabym je panu.

– Tak na słowo?

– Coś musiałby mi pan wyjaśnić.

– Dobrze. – Poskrobał się w nie ogoloną brodę. – Proszę pytać.

179

– Kto jest na tych zdjęciach?

Spojrzał na nią jeszcze raz, teraz dłużej i wymowniej. Miał trudności z mówieniem. Coś drżało w jego świszczącym głosie, coś piszczalo żałościwie, jakby spragnione gardło liczyło półlitrowki, które kupi sobie za otrzymane pieniądze. W końcu po kolejnej próbie wydusił cztery słowa:

– To jest mój syn.

Maria zamarła. Odpowiedź była jak cios w twarz. Otrząsnęła się w jednej chwili.

– Jak się nazywa? – brnęła dalej, choć siły opuszczały ją z każdą sekundą.

– Irek – rzucił pośpiesznie.

– Irek to znaczy Ireneusz, a nazwisko?

– Dorna. To jest mój syn Ireneusz Dorna, mój Irek, mały, zawsze głodny Irek. – Spuścił siwą głowę, a dłonie zamknął w pięści.

To był dla Marii wstrząs. Długą chwilę nie mogła się uspokoić. Miała do niego tyle pytań, lecz to, co usłyszała, wystarczyło aż nadto. Zapytała tylko:

– Odwiedza pana w tym domu?

– Kto? – Robił wrażenie zaskoczonego.

– Syn, oczywiście – wyjaśniła.

– Nie, nie był tu nigdy.

Siedzieli oboje bez słów, każdy ze swoim smutkiem przybijającym nogi i całe ciało do drewnianej podłogi w pokoju, w którym się spotkali. Serce Marii biło oszalałe, głowa drżała, a myśli kłębiły się jak ciało węża rzucone w ogień. Wyjęła z torebki zwitek banknotów i położyła na szarych dłoniach starca. Długie palce, ze starannie opilowanymi paznokciami, zacisnęły się dookoła papierowych banknotów.

*

Zadzwoiła do Juliana, żeby poradził jej, co robić. Wydawało się, że nie wierzy w tę historię.

– To nie może być prawda – powtarzał do słuchawki. – Musisz się upewnić.

180

– W jaki sposób?! – krzyknęła zrozpaczona.

– Zapytaj go.

– Zwariowałeś, boję się.

– Boisz się własnego męża?

– Nic na to nie poradzę.

– Przecież cię nie zabije – powtarzał.

– Skąd będę wiedziała, że mówi prawdę?

– Znasz go na tyle, żeby to poznać.

– Nie mam odwagi.

– Więc co? Będiesz żyła w niepewności?

– Poczekam, może samo jakoś się wyjaśni.

– Jak uważasz – odpowiedział. – Ja bym zapytał.

– Zobaczę. – Zastanowiła się. – Przemyślę to wszystko jeszcze raz. – Odłożyła słuchawkę. On mi nic nie pomoże, pomyślała. Sama muszę to załatwić.

Łatwo powiedzieć, gorzej wykonać. Maria straciła głowę. Jak to jest?, pytała siebie. Jedna osoba, a jednak dwie. Jak to możliwe? O zbiegach okoliczności nie mogło być mowy. Jeżeli Jerzy Nie-ziółowski jest prawdziwy, skąd w jego pamiętkach zdjęcie człowieka, który jest jego ojcem, ale nazywa się całkiem inaczej, i jest zupełnie kimś różnym od Michała Nieziółowskiego, ojca Jerzego. Dlaczego Jerzy to nie Jerzy, tylko Ireneusz, i odwrotnie. Wszystko wymykało się jej z rąk. Zaczynała tracić grunt pod nogami. Bała się przyznać Jerzemu do swoich odkryć, bo nie była pewna jego reakcji. Lękała się człowieka, który przez wiele lat był jej mężem. Czuła się jak w matni, w upiornym śnie, w prawdziwym koszmarze z najpodlejszego filmu. Pomocy mogła szukać jedynie u Juliana, ale on nie chce się wtrącać w cudze sprawy.

Minęło kilka dni. Sytuacja nie zmieniła się ani trochę. Brzeski nie wrócił do pracy. Jego żona Zofia dzwoniła co dzień, informując, że mąż jest chory. Maria zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Nie wiedziała, co robić. Iść do niego czy nie? W końcu, gdy kolejnego dnia odebrała telefon od Brzeskiej, postanowiła sprawę wyjaśnić osobiście. Miała już dość zabawy w detektywa.

Brzeska stała w drzwiach zmieszana i przestraszona. Wpuściła Marię niechętnie, z ociąganiem.

181

– Juliana nie ma w domu – przyznała od razu.

– Jest w szpitalu? – Maria przestraszyła się nie na żarty.

– Wyjechał – wyjaśniła krótko Brzeska.

– Jak to? – Nie wierzyła własnym uszom.

– Julian prosił o dyskrecję, dlatego mówiłam, że jest chory. To znaczy był chory. Nawet dostał zwolnienie od lekarza. A potem niespodziewanie oznajmił, że wyjeżdża. Wyjechał za granicę.

– Dokąd?

– Za granicę – powtórzyła.

– A dokładniej? – Maria próbowała poznać szczegóły.

– Obiecałam, że nikomu nie powiem.

– Nawet mnie? – nalegała.

– Nawet pani – powtórzyła Brzeska kategorycznie.

*

Jerzy zaczynał niepokoić się stanem Marii. Niczego nie przeczuwał. Komentował głośno jej zachowanie, zarzucając, że stała się obca i opryskliwa. Chciał porozmawiać i poznać przyczynę dziwnych dąsów. Męczył się i zadręczał. Wciąż bywał u starej znajomej w zaułku obok Hotelu Rzymskiego i choć starał się robić

to jak najrzadziej, jakaś siła pchała go w ramiona żarłocznej kochanki. Ukrywał tę znajomość bardzo skrętnie. Zacierał za sobą ślady jak tropiony zwierz i wciąż żył w strachu. Wystarczył jeden fałszywy krok, jedno słowo, niepotrzebny gest, by wpaść w pułapkę własnych czynów. Patrząc na zachmurzoną Marię, miał obawy, czy przypadkiem nie został zdemaskowany.

Mijały dni, a Maria się nie zmieniała. Wychodziła z mieszkania, gdy spał, a po powrocie zamykała się w pokoju i milczała. Wpadł w złość. Czuł instynktownie, że chodzi o coś innego. Zazdrosna kobieta zachowuje się inaczej. Płacze i milczy, ale nie chowa się po kątach jak złoczyńca. A Maria przed nim uciekała. Zamykała swój pokój i unikała rozmów. Tak minął tydzień. Siódmego dnia w południe dostała list. Na kopercie był amerykański znaczek i adres: Central Office of Information New York. Otworzyła kopertę. Co to jest? Nie miała odwagi zajrzeć. Ostrożnie wyjęła zawartość. W środku były dwie kartki. Pismo urzędo-

182

we w języku angielskim i napisana odręcznie kartka. Znała ten charakter. Było na niej tylko kilka słów.

„Mario, nie podejmuj sama żadnych kroków. Zaczekaj na mój powrót.

Julian Brzeski”

Trudno opisać, co przeżywała przez te kilka dni, czekając na powrót Brzeskiego. Przeczytała przysłany przez niego dokument i miała jak najgorsze przeczucia. Miotła się, tracąc wycucie i zdrowy rozsądek. Jednego dnia runął na nią jej poukładany świat i już nie umiała się w nim odnaleźć. Jak spłoszony zając uciekający przed światłami samochodu, zamiast usunąć się z drogi, pchała się prosto pod koła. Na zmianę płakała i trzaskała drzwiami. Prowokowała, a potem zamykała się w pokoju. Obawiała się, że mężczyzna, z którym przeżyła w małżeństwie siedem lat, jest kłamcą, a jednocześnie brakowało jej odwagi, by zapytać, jaka jest prawda. Tysiące pytań bez odpowiedzi. Strach i niepewność, i to, że nie ma nikogo, komu mogłaby zaufać. Czuła się opuszczona i bezradna. Miała w ręku jakieś karty i nie wiedziała, czy chce nimi grać. Schowała wszystko do torebki, by przedwcześnie nie wpadło w ręce Jerzego. Wtedy zauważyła wyciągi z banku. Sprawdziła konto. Zobaczyła, że brakuje dużej sumy pieniędzy. Przejrzała kopie przelewów. Poznała charakter pisma. To pisał Jerzy. Przelał pieniądze na czyjeś konto i nic nie powiedział. Do tego podrobił jej podpis. Pojechała za miasto. Był pogodny dzień, dość ciepły, jak na koniec października. Liście jeszcze skąpo okrywały leśne ścieżki, a nad jeziorem soczysta zieleń wcale się nie poddawała panującej jesieni. Woda klarownie czysta, pozbawiona letniego nalotu kwiatowych pyłków, połyskiwała w promieniach słońca delikatnymi refleksami. Powietrze prawie nieruchome, potrącało łodygami trzcin, szumiąc przyjemnie, a zatrzymana w bezruchu woda usypiała. Lubiła ten zakątek, latem zaludniony turystami, ale o tej porze roku zapomniany i cichy. Przyjeżdżała tu sama, by w spo-

183

koju przemyśleć trudne sprawy. Czuła, jak odpoczywa, odpręża się w tej cudownej ciszy i spogląda na wszystko bez tego nerwowego dreszczu, jakie wywierało na niej miasto. Stary pień, po odciętym już dawno dębnie, nieco spróchniały, służył jak zawsze za fotel, kawałek gazety za ochronę przed barwiącą zielenią mchów, kleistością porostów, pokrywających martwy kikut. Było cicho. Ptaki nie chciały śpiewać. Pograżona w zadumie, wdychała zapachy przyrody, rozróżniając w nich woń spleśniałej ziemi, mulistego brzegu i kory drzew, nasączonej jesienną wilgocia. Wszystko takie stabilne, przypisane do pory roku i powtarzalne, dalekie od zwątpienia, które szarpało sercem Marii. Tutaj wszystko wydawało się lepsze i prostsze, a jej wątpliwości rozwiewały się jak nitki babiego lata i odfrunęły poza zasięg wzroku. To miło móc zapomnieć na chwilę i uwierzyć, że to, co zalega na dnie serca, jest tylko mrzonką i głupim wymysłem chorej wyobraźni. Maria chciała choć na kilka chwil odsunąć od siebie wszystko, z czym tu przyjechała. Wiedziała, że gdy zostawi za sobą tę ciszę i błogi spokój, to zwali się na jej głowę całe życie. W jednej kieszeni miała list od Brzeskiego, w drugiej zdjęcie Adama Dorny – pensjonariusza Domu Opieki Społecznej. Wszystko związane z jednym człowiekiem. Jeden człowiek i dwa różne życia. Jak to możliwe? Gdyby można było wybrać tylko jedno z nich, Maria nie wahałaby się. Niestety, rzeczywistość była bezlitosna i pozostawiała ją w beznadziejnej niepewności. Jerzy tak skąpo dzielił się swoją przeszłością, że każda z wersji mogła być prawdziwa. Rozdarcie, które przeżywała, musiała znosić w samotności. Jedynie Julianowi wyznała całą prawdę. W nim była nadzieja. Gdyby tylko wrócił. Mogłaby się

poradzić – czy otwarcie zadać Jerzemu pytanie, czy samemu dojść prawdy? A jeśli wyprze się wszystkiego, co wtedy? Uwierzyć, pozostawić w sobie tę wieczną niepewność, przekreślić inną możliwość, potraktować jako absurd, kłamstwo, zbieg okoliczności? Maria, żyjąca w oparach przeszłości, teraz zmagająca się samotnie z czasem teraźniejszym. Wybierała jedną z możliwości – czy dociekać prawdy, wyłuskać z dokumentów dowody na istnienie Jerzego Nieziołowskiego, czy pozostawić wszystko losowi i zdać się na to, co przyniesie następ-

184

ny dzień? Jak ma się zachować, czy zapytać o pieniądze? Na co je wydał? Natura nie wyposażała jej w spryt i przebiegłość. Knucie jakiegoś podstępu nie wchodziło w rachubę. Stała teraz nad brzegiem wody i czekała na olśnienie, na cud, który wskaże jej właściwe rozwiązanie.

Powinna już wracać do domu i wyjaśnić całą sprawę do końca. Jak długo jeszcze będzie się dręczyć? Zagra w otwarte karty. Muszą sobie wszystko wyjaśnić. To wydawało się całkiem proste, a przecież nic już nie będzie takie samo. Nawet jeśli on zaprzeczy, wyśmieje jej podejrzenia, dowiedzie prawdy, ich małżeństwo stanie przed wielką próbą. Cały ten koszmar, który obecnie przeżywała, w kontraście z urlopem, spędzonym wspólnie kilka tygodni temu, wydawać się mógł wielką pomyłką. Gdyby nie ta gazeta, która dziwnym trafem wpadła jej do rąk, byłiby nadal przykładnym małżeństwem, które wspomina przyjemne chwile spędzone na alpejskich szlakach albo planuje kolejny wypad do Paryża.

Skręciła w stronę osiedla, na którym mieszkał Julian Brzeski. Chciała jeszcze raz porozmawiać z jego żoną. Brzeska znała Nieziołowskich. Pamiętała ich z czasów, gdy była dzieckiem. Pokaże jej zdjęcie Dorny. Może go rozpozna. Może Dorna coś sobie ubzdurał? Musi to sprawdzić, koniecznie. Po raz drugi w ciągu kilku dni zadzwoniła do jej mieszkania. Czekala dość długo na otwarcie drzwi. Na próżno, nie otwierała. Marii wydawało się, że słyszy za drzwiami hałas, lecz cóż mogła zrobić? Widocznie Brzeska nie miała ochoty na jeszcze jedno spotkanie.

*

Był poniedziałek. Dzień odpoczynku. W hotelu, po pracowitej sobocie i dość męczącej niedzieli, poniedziałek był dniem odsypiania. Jerzy wrócił do domu wcześniej i z niepokojem czekał na powrót Marii. Dłużej nie zniesie takiej atmosfery. Postanowił porozmawiać z nią, wyjaśnić wszystko, nawet jeśli miałoby to dla niego oznaczać kłopoty. Kręcił się po pokoju, zmieniając tylko okna, z których spoglądał na ulicę. Słońce zaszło już za dachy domów, zbliżał się wieczór. Październikowy zmrok zapadał coraz szybciej. Szybka zaparowana oddechem zamazywała widok. Raz

185

po raz wycierał ją brzegiem rękawa. Maria wciąż nie wracała. Złość na nią powoli zamieniała się w strach. Dzwonił już do instytutu, tam jej nie było, telefon komórkowy nie odpowiadał, a w domu Anny odezwała się automatyczna sekretarka. Nie miał szczęścia. Zlokalizowanie żony było niemożliwe, pozostało czekanie. Na szybie znów pojawiła się para. Zaskłoniła widok na uliczkę i bramę wjazdową. Jerzy podniósł rękę i wskazującym palcem zaczął rysować. Na szybie pojawiły się dwa serca, w każdym inne imię. W pierwszym napisał jej imię, w drugim swoje. Światło ulicznych latarni prześwieślało rysunek na wylot. Dwa splecione ze sobą serca migotały wyraźnie w samym środku okna.

Muszę się czymś zająć, postanowił, zaciągając zasłony. Przecież w końcu wróci, pocieszał się. Nie jest małym dzieckiem. Zrobił sobie herbatę i włączył telewizor.

Przynajmniej czas szybciej zleci, pomyślał, siadając w fotelu.

Po kilkunastu minutach usłyszał, jak wchodzi do mieszkania.

– Cześć – rzuciła, jakby nigdy nic, unikając jego wzroku.

– Cześć – odpowiedział. Dyskretnie śledził jej ruchy. Chciała ukryć zdenerwowanie. Powiesiła płaszcz, zdjęła buty i bosą weszła do kuchni. Na szyi pozostał jej jeszcze jedwabny szalik. Zajrzała do garnków i włączyła wodę.

– Jadłeś coś? – zapytała.

– Tak – odpowiedział. – Mogę ci podgrzać, jeśli jesteś głodna.

– Zjadłam coś w mieście – skłamała.

– Gdzie byłaś tak długo? Dzwoniłem do pracy. Nie odbierasz komórki?

Spojrzała na niego dziwnie i szybko spuściła wzrok.

– Byłam nad zalewem. Miałam ochotę na spacer po świeżym powietrzu.

– Jak tam jest? – Uśmiechnął się zalotnie.

– Pięknie, cicho i pusto.

– Dawno tam nie byłem. – Jerzy trzymał się kurczowo tematu. – Chyba od wiospy. Maria nie odpowiadała. Krzątała się w korytarzu, ustawiając buty. Zdjęła szal i długo patrzyła na swoje ręce. Trzymała w nich

186

fotografię i list. Nie wiedziała, co robić. Czuła, że lepszego momentu już nie znajdzie. Jerzy siedział odprężony, spokojny. Czy zadać mu cios od razu, czy poczekać? Drżała z emocji.

– Chciałam z tobą porozmawiać – powiedziała, stojąc tyłem do niego. Jerzy nie usłyszał, co mówi, podniósł się więc z fotela i podszedł. Odwróciła się z wyciągniętą ręką. Wziął zdjęcie i spojrzał. W korytarzu było ciemno. Zapalił światło.

– Znasz tego człowieka? – zapytała. Chwila przedłużała się w nieskończoność. Jerzy obracał zdjęcie do światła i milczał. Maria czekała wstrząśnięta tym, co zrobiła.

– Nie rozumiem. Dlaczego o to pytasz? – Podniósł wysoko brwi i oddał zdjęcie.

– Po prostu chciałabym wiedzieć – nie ustępowała. Jerzy wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem, co to za przesłuchanie. To stare zdjęcie, znalazłem je w papierach moich rodziców. Na odwrocie nie ma podpisu, gdzie zostało zrobione ani kogo przedstawia, nie wiem.

– Więc dlaczego leży od lat w twojej szufladzie, a nie w pudełku z ich zdjęciami?

Jerzy spojrzał z pobłażaniem na rozgorączkowaną żonę.

– Przyplątało się kiedyś przypadkowo i leży – wyjaśnił oględnie.

– Obce zdjęcie pomiędzy twoimi paszportami? – Była twarda, nie ustępowała. – Obcych zdjęć nie trzymaj przy sobie tak blisko.

– A ty? – Jerzy zaatakował. – Dlaczego nosisz przy sobie zdjęcie Brzeskiego?

– Przeglądasz moją torebkę?

– Przeglądasz moje szuflady. – Nie był dłużny. Maria weszła do pokoju i wyłączyła telewizor.

– Więc nie powiesz mi, kto to jest?

– Uparłaś się. – Czuł, że traci cierpliwość. – Nie wiem, kto to jest – powtórzył. – Prawdopodobnie ktoś z rodziny albo znajomy, może wujek, sąsiad albo ogrodnik z naszego domu na Mazurach, albo rybak, albo stróż? Masz jakieś propozycje? – zapytał ze złością. Marię opanowały wątpliwości.

187

Czuła, jak myśli rozsypują się i pochłaniają pustką, zwątpiła. Jerzy wydawał się taki szczery. Nie dostrzegła w jego twarzy wahania. Chyba mówił prawdę. A więc co dalej? Jak ma się zachować, jakie zadać pytanie? Przetarła nerwowo twarz i usiadła. Jerzy spacerował za jej plecami. Kroki, tłumione grubą wykładziną, gubiły rytm, a mimo to czuło się w nich nerwowość.

– Co w ciebie wstąpiło? – pytał, przerywając ciszę. Maria nie umiała odpowiedzieć. Teraz ona czuła się osaczana.

– Boję się, że mnie okłamujesz – wydusiła wreszcie. – Nie tylko dzisiaj. Odnoszę wrażenie, że okłamujesz mnie od dawna.

– W jakiej sprawie cię okłamuję? Czy to, że nie znam jakiegoś faceta z fotografii, nazywasz kłamstwem?

– Nic mi o sobie nie mówisz. Twoja przeszłość to kilka scen, które pamiętasz, marka samochodu twojego ojca i kolor oczu matki. Jacy oni byli, skąd pochodzili, gdzie się poznali, jak się do siebie zwracali, jakich mieli znajomych? Nie wiesz tego, nic nie pamiętasz, nie chcesz na ten temat ze mną rozmawiać.

– I nagle ci to przeszkadza? – Spojrzał zadziornie. – Po latach zauważyłaś, że nie rozmawiam z tobą o swoim dzieciństwie?

– Zawsze to wiedziałam, ale teraz oczekuję wyjaśnień. Chcę wreszcie wiedzieć dlaczego. Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Jerzy był wściekły i już nie próbował tego ukrywać.

– Ustaliliśmy zaraz po ślubie, że nie będziemy na ten temat rozmawiać. Obiecałaś, że będziesz cierpliwa i przestaniesz dociekać.

– No właśnie – potwierdziła. – Ale minęło już kilka lat i dalej nic nie wiem.

– Nie pamiętasz, jak wyglądały moje noce na początku naszej znajomości? – kontynuował z wyrzutem. – Nie mogłem spać, krzyczałem, płakałem, wciąż na nowo przeżywałem dzień śmierci rodziców. Wtedy postanowiliśmy nie rozmawiać o tym. Wykreśliłem z pamięci to zdarzenie. Walczyłem ze sobą długo, żeby zapomnieć. Usypiałem naszpikowany środkami nasennymi. Ciężko pracując, oszukiwałem pamięć, podejmowałem wciąż nowe wyzwania, chciałem wypełnić myśli nowymi wrażeniami.

Jak myślisz, skąd wciąż te nowe pomysły, dlaczego tak miotam się od lat i wyszukuję sobie ciągle coś nowego? Maria wstrzymała oddech. Słuchała przerażona.

– Chciałeś zarobić dużo pieniędzy, mieć swoją firmę, marzyłeś o wielkich interesach. Powtarzałeś, że to cię bawi i wciąga

– wyszeptała.

– A więc nic nie zrozumiałaś – rzucił jej w twarz.

– Jak długo można spoglądać wstecz? Czy do końca życia chcesz wspominać coś, na co nie miałaś wpływu? Czy to normalne? – zapytała.

Jerzy uderzył ręką w oparcie fotela.

– Zrozum – wyglądał na zniecierpliwionego – widziałem śmierć swoich rodziców. Razem z nimi straciłem dzieciństwo i wszystkie wspomnienia. Przez wiele lat oczyszczam pamięć, a ty boczysz się od kilku dni o to, że trzymam w szufladzie zdjęcie obcego człowieka. – Zerwał się wzburzony. – Wiem, że masz swoje kłopoty, że nie wiesz, co zrobisz ze swoim życiem po utracie książki, że obawiasz się odejścia Brzeskiego, ale odczep się ode mnie. – Uderzył się w piersi. – Mnie zostaw w spokoju.

– Podszedł do okna. Światła przejeżdżających samochodów przesuwają się wzdłuż szyby, oświetlając jego twarz. Brwi ściśnięte u nasady nosa podrygiwały nerwowo. Maria czuła się podle. Jak żywe stały jej w oczach nieprzespane noce Jerzego, zgrzytanie zębów i jęki, które wydawał. Zapomniała już, jak bardzo przeżywał wypadek rodziców. Jej wydawało się to takie odległe i nieistotne, a rany dawno zagojone. A jednak on pamiętał. Patrzyła na szczere cierpienie w jego twarzy. Zapomniała o zdjęciu. Miała przed sobą zgnębnionego człowieka, a nie przestępcę. Jak mogła zwątpić... Przytuliła się do jego pleców.

– Przepraszam – powiedziała cicho i pogłaskała go po ramieniu. Poszła za wzrokiem w czarną otchłań za oknem. Tylko światła samochodu oświetlały szybę. Ujrzała na niej dwa narysowane serca, w środku nich imiona, na jednym Maria, a na drugim Irek.

A więc stało się... Po tym, jak opowiedział jej historię swojego dzieciństwa, bez przerwy płakała. Okropności, które wywłókł i z całą szczerością wyznał przed nią tej nocy, jego samego przyprawiły o mdłości. To było tak dawno, a jakby zdarzyło się wczoraj. Żywe obrazy stanęły mu przed oczami i już wiedział, że prędko nie znikną. Sam się dziwił, jak dobrze wryły się w pamięć, choć usuwał je cierpliwie, zastępując innymi. Bał się ruszyć z miejsca, bał się oddychać i myśleć. Słuchał płaczu Marii i nie potrafił jej pomóc. Nie przygotował się na taki scenariusz. Brał pod uwagę różne możliwości, tylko nie tę. Przecież chciał być dobrym człowiekiem, nie poczuwał się do winy. Nikt nie staje się koniem, tylko dlatego, że urodził się w stajni. Znał swoją wartość, na wiele było go stać, brakowało mu jedynie środków. Czyja to wina, że tak niesprawiedliwie podzielono na ziemi wszelakie dobra? Kto sprawia, że jedno naczynie jest piękne i zawsze po brzegi wypełnione, a drugie straszy jak okaleczona skorupa? To znaczy, że Bóg siedzi w niebie i bawi się ludźmi? Gdy jest niezadowolony z czegoś, co stworzył, wyrzuca na śmieci? A więc jesteśmy gliną w rękach Boga, jesteśmy uzależnieni od Jego łaski? A może On jest nieudolny, może zasypia czasem nad robotą?

Twórca perfum potrafi wyczarować niebiański afrodyzjak, mieszając ze sobą zapachy piękne z obrzydliwymi. Miesza wyciągi z kwiatów, liści, korzeni, owoców, nasion, igieł, mchu i ziół w odpowiednich proporcjach, ze składnikami pachnącymi okropnie, zwierzęco-piżmo albo cybet, cuchnący niczym kocie łajno, szara ambra z jelita kaszalota o woni krowiego nawozu, kastore-um z odbytu bobra, pleśń. Od wiedzy, odwagi i cierpliwości kompozytora zależy, czy to, co stworzy, będzie niepowtarzalnym dziełem sztuki, urzekającym pachnidłem czy banalną imitacją lub tylko cuchnącym łajnem?

Kto myśli o tym – Jerzy roztkliwiał się – że zbieracze kwiatów wędrują po całym świecie. Penetrują pola, o każdej porze roku, różnych porach dnia i nocy. Jedne rośliny inaczej

pachną chłodnym świtem, w kroplach świeżej rosy, inaczej parną nocą, gdy opary dnia przepływają przez ich liście i łodygi. Od zbiorów i jakości materiału zależy końcowy efekt. Na jeden kilogram jaśminu trzeba zebrać dziesięć tysięcy kwiatów, sześćset kilogramów na kilogram absolutu. Jednej tony kwiatów

pomarańczy, sześćset kilogramów płatków róży, sto osiemdziesiąt kilogramów lawendy na każdy kilogram esencji. A Stwórca?, znów miał pretensje do Boga. Dlaczego choć twierdzi, że jest niedościgniony w swej miłości do człowieka, rzuca demony pomiędzy ludzi i anioły. Tak niefrasobliwie mnoży, dzieli i miesza, że aż sam nie potrafi poskładać swoich dzieł w logiczną całość i poskromić. Daje za wiele i odbiera za wiele. Rozdziela kary tam, gdzie nie ma winy, a nagradza, gdy nie ma zasługi.

Jerzy cicho pojękiwał. Zwinięty w kłębek leżał na podłodze i toczył w myślach pojedynek z Bogiem i z historią. Miał pretensję do całego wszechświata za niesprawiedliwość, która w nim panuje. Teraz na dobre powrócił w swoje strony. Odsłoniły się przed nim kolejne obrazy z życia i już nie bał się spojrzeć prawdzie w oczy. A ona, pomyślał o Marii, musi się z tym pogodzić. Prawdziwy ojciec Jerzego był rzeźbiarzem. Moczył swe wielkie dłonie cały dzień w mokrej glinie i poza tą gliną niczego nie widział i nie pragnął. Wizje, które przelewał w mazistą substancję, zastygały, zanim zdecydował się na właściwą formę. Nigdy nie były skończone. Jakby rzeźbiarzowi nie starczyło pomysłu na puentę. Sam ledwo rozumiał, co oznacza ich zatrzymany w akcie tworzenia wizerunek, o czym chce powiedzieć światu, co udowodnić. Gлина wypełniała każdą porę jego skóry. Oblepiała rzadko myte włosy, wbijała się za paznokcie, wchodziła do oczu, kalecząc spojówki. Była sensem każdego rozpoczynającego się dnia, wypełniała wizjami nie przespane noce, cuciała, gdy deliryczny stan rzucał go w ramiona upiornych omamów. Myśl o glinie była myślą najśłodsza, jedynym lekarstwem i afrodyzjakiem, a jednocześnie ucieczką od prawdy, która w trakcie krótkich przeblysków świadomości ukazywała stan degradacji i całkowitego odczłowieczenia, w jaki popadł. Wyparł się więzi

191

z rzeczywistością znajdującą się za progiem piwnicy. Z pogardą porzucił tych, którzy nie zaufali jego talentowi, raz na zawsze zatrzasnął drzwi przed tymi, którzy nie rozumieli jego sztuki. W zapale, tracąc rozsądek, łamiąc wszelkie kanony, tworzył dzieło życia. Tkwiło gdzieś na dnie oszalałej duszy jak promyk nadziei. Był przekonany, że w kolejnej rzeźbie ujrzy wreszcie tę najlepszą. A potem? Tworzył, lecz nie ogarniał myślami dalszych planów. Ograniczył wrażliwość tylko do instynktu twórczego, czekającego na największe objawienie, po którym przyjdzie sława.

Ignorował syna, który kręcił się nieporadnie u jego stóp, i żonę, chudą, zaniedbaną kobietę, jedyną osobę doceniającą ze ślepa wiara jego genialny talent. To ona wypalała w szamotowym piecu talerze i miski wszelakich rozmiarów, potem malowała i zanosila do cepeliowskiej centrali, by dostać kilka marnych groszy, jedynych zarabianych w tej rodzinie pieniędzy. Gliniane głowy, powykręcane w dziwacznych konwulsjach ludzkie torsy, nogi bez ciała, ciało bez członków, rozdarte i zniekształcone, okaleczone jak dusza ich twórcy, tarasowały wąskie przejścia pomiędzy pozostałymi pomieszczeniami. Gлина była wszędzie. W szafach, w naczyniach, w łóżku, w każdej kromce chleba, w każdym łyku lurowatej herbaty, na dnie grubych musztardówek, w ostatnich kroplach wódki, towarzyski doli i niedoli, w łzach płynących z oczu, gdy rzewna tkliwość ogarniała ich wystudzone sumienia, gdy poczucie krzywdy, której zaznali do syta, doskwierało aż do utraty przytomności.

Obok tych ochłapów człowieczeństwa, jak młody wilk, prężny i gotowy do skoku, rwał się do życia ich syn. Owoc dziwnej miłości i czysty przykład opuszczenia, świadectwo związku ludzi opętanych chorobliwą obsesją, niezaradnością i nałogiem. Chłopak przyzwyczajony do relacji panujących w domu nie dziwił się niczemu. Był czysty, jak czyste jest dziecko w dniu narodzin. Gliniany świat rodziców był częścią jego świata. Poruszał się po nim jak lis i ustalał własne prawa. Wyposażony w garnitur zdrowych chromosomów, chciał jak inni poznawać zawilosci życia. Był dzieckiem zaniedbanym, lecz nie zakompleksionym. Przystosował się do warunków, w których wyrastał, i nie martwił go

192

różnice. Pojętny i zaradny, choć nieco zbyt porywczy i nieco płochliwy, radził sobie w trudnym życiu. Przyjął do wiadomości fakt, że los obdarzył go parą kalekich rodziców, żył obok nich i w miarę dorastania przejmował kontrolę nad domem. W swojej jeszcze dziecięcej głowie próbował poskładać fakty i zrozumieć dziwny związek dwojga ludzi, których na pierwszy rzut oka już nie łączyło, a którzy w rzeczywistości bez siebie nie umieli żyć. Prawie nie rozmawiali. Choć odnosili się do siebie ze spokojem, czuło się w powietrzu zawieszony jakiś

mroczny całun. Ich ciężkie i wolno unoszące się powieki odsłaniały całkiem zimne oczy, w których trudno było doszukać się jakiegoś uczucia. Byli cały czas obok siebie, a jednak zawsze siedzieli odwróceny tyłem i spali do siebie plecami, jakby się bali spojrzeń w oczy i wzajemnych wyrzutów, które mogłyby z tych oczu popłynąć. Jedyną rzeczą, którą robili razem, było maniackalne piłowanie paznokci, dużym i długim pilnikiem. Jerzy wciąż zastanawiał się, dlaczego robią to z taką regularnością. Siedzieli wtedy w dwóch różnych kątach pokoju i pochyleni nad swoimi rękami powoli i bardzo dokładnie nadawali paznokciom idealny kształt. Jerzy miał lepszy kontakt z matką, ona okazywała mu większe zainteresowanie i troskę. Bardziej przytomna od ojca dbała o pozory i resztkami świadomości, pomiędzy jednym a drugim upojeniem, prała, gotowała, doglądała syna. Najpierw zarabiała sama, a potem, gdy podrośł, przy jego udziale. Pomagał jej pomnażać szeregi glinianych misek, wymyślał nowe wzory, modniejsze kształty. Odwoził część w umówione miejsca, a resztę sprzedawał przed sklepami, na targowiskach, na dworcu. Obracał się wśród ludzi nie brzydzących się niczego, unikał za to szkoły i nauczycieli. Przesiadywał w penerskich melinach, na ulicach, w parkach pośród kolorowej fauny ludzkich typów, choć mocno się od nich różnił. Mówili na niego „pański”, bo głowę nosił wysoko, pierś do przodu, oczami błędził w obłokach i żył marzeniami. A potem wracał do swojego domu, gdzie na progu witał go znajomy zapach i swojski zgrzyt piasku pod butami. W tej rodzinnej piwnicy zawsze było coś do zrobienia. Gdy uporali się z kolejną porcją grzechoczących skorup, otwierał

193

zdobywane jakimś cudem gazety i czasopisma, czytał je i myślał, jak to zrobić, by świat z kolorowych obrazków stał się dla niego rzeczywistością. Bo gdy marzył, te obrazy nagle ożywały, a on bez trudności wchodził w nie do środka i niejako gość, raczej jak gospodarz korzystał z ich uroków. Czasami te myśli przerywał mu bełkot pijanego ojca, który z głową wspartą na mokrym glinianym postumencie, resztkami woli próbował przypomnieć wszystkim, że jeszcze żyje i że jego zażółcone oczy widzą wszystko wyraźnie, a umysł rozumie, co one zobaczą. To był najlepszy moment, by wynieść z domu i zniszczyć w starej wannie stojącej w ogrodzie kolejne, zbyt liczne, teraz już zawsze pokraczne figury, niechciane, przeznaczone do kasacji gliniane potworki. Z nich, po wymoczeniu, można było bez końca wyrabiać ich okropne sobowtóry.

Szkołę podstawową skończył z trzyletnim opóźnieniem. Trochę wiedzy, zapamiętanej z niewielu lekcji, w których uczestniczył, lektura gazet wszelakiego rodzaju i doświadczenie życiowe musiały mu wystarczyć do zaliczenia ósmej klasy.

Najsukuteczniejsza w edukacji okazała się szczerą chęć nauczycieli, by pozbyć się go wreszcie ze szkoły, i ona sprawiła, że otrzymał świadectwo, a wraz z nim wolność. To oznaczało, że teraz może zrobić ze swoim życiem, co będzie w zasięgu jego możliwości. Zaczął szukać pracy. Myślał, że własne pieniądze to klucz do szczęścia i tylko one otworzą mu okno na świat. A świat ciągnął jak magnes. Z każdym dniem trudniej nosił warunki życia. Buntował się przed tym, co los przeznaczył mu w udziale, i pytał, czym się naraził, że tak srogą wymierza mu karę?

Uciekał z czeluści piekieł, w których żyli. Bał się, że piętno ich szaleństwa odcisnie na nim swoją pieczęć, że zmieni go w milczącą postać, snującą się wśród glinianych potworów. Dręczył się, czy aby jest normalny? Czy obłęd rodziców, alkoholizm, nieprzystosowanie nie ujawni się kiedyś u niego jak wrodzona wada i pewnego dnia nie da o sobie znać? Miał wielkie plany, pragnął dla siebie czegoś lepszego, czuł, że ma ku temu możliwości. Brakowało mu jedynie łuku, z którego jako celna strzała mógłby wystrzelić w świat. Patrzył na rodziców i wiedział, co

194

znaczą te bezmyślne oczy wpatrzone godzinami w ścianę, z której kilkadziesiąt lat wcześniej opadła farba i tynk, milczące twarze odwrócone od siebie. Dlaczego już z nim nie rozmawiają, nie pragną jego towarzystwa i naiwnych pochwał, którymi nagradzał bohomaszowate dzieła zdobiące każdy centymetr zaklejonej podłogi w ich domu. Może czuli, że już go tracą, a może nie czuli już nic tym swoim odurzonym ciałem. Czasami tylko zdarzało się, gdy z powodu braku pieniędzy matka nie mogła wystarczająco mocno się upić, szukałajego towarzystwa, siadała obok i bez słowa gładziła jego męską rękę. Miała w oczach łzy, a na twarzy wyraz winy. Chyba błagała nim o przebaczenie za lichy los, jaki mu zgotowała. Pracę w stoczni, przy budowie kutrów rybackich, rozpoczął, gdy skończył siedemnaście lat. Poznał wtedy nowych, ciekawych ludzi i zaznał prawdziwego

męskiego życia. Pracował sumiennie, więc szybko się na nim poznali. Ktoś go polecił i z kutrów przenieśli go na statki handlowe, a potem pasażerskie. Firma, w której pracował, wykańczała wnętrza, montowała podłogi, ustawiała meble. Otarł się o świat z filmowych kadrów, dotykał eleganckich przedmiotów, oddychał przepychem przeznaczonym dla kogoś innego, i to mu imponowało. Był zwykłym pracownikiem fizycznym. Starał się, lecz brakowało mu wiedzy. Praktyczne rady kolegów nie zawsze sprawdzały się w życiu, szczególnie gdy przydzielano mu trudniejsze zadania. Czasami wpadał w panikę, ponosiły go nerwy i wtedy chciał wszystko rzucić. Innym razem wystarczyła jedna pochwała, by znów nabrał pewności i z ochotą brał się do pracy. Poznawał wciąż nowych ludzi. Oddalał się od życia w koleżeńskich spelunach, a coraz częściej trafiał do normalnych, robotniczych domów. Patrzył, jak żyją zwykli ludzie, i dopiero wówczas zrozumiał patologię, która była jego codziennością.

Właśnie wtedy zaprzyjaźnił się z Lucjanem, człowiekiem dużo od siebie starszym i samotnym. Był szefem ich zmiany. Jerzy chętnie słuchał ojcowskich porad, opowiadał o przeszłości, o polityce. Gdy tylko mógł, spędzał wolny czas w jego towarzystwie. Lucjan, samotnik i oryginał, chętnie przyjmował to jego

195

chłopięce oddanie, nagradzając względami. Zapraszał Jerzego do domku na działce, do rodziny na niedzielny obiad, do baru na piwo. Opowiadał o swoich losach i uczył życia jak mężczyzna mężczyznę. Powiedział mu, co robi się z kobietą, gdy jest chętna do figli, jak gra się w pokera, wytłumaczył, co się w życiu liczy najbardziej, a do czego nie powinien wcale przykładać wagi. Dał mu naukę *savoir-vivre'u*, właściwą swoim kręgom towarzyskim, ubrał jak należy, uczeszał. Był mu ojcem i matką, nauczycielem i spowiednikiem, wzorem i drogowskazem. To Lucjan rozbudził w nim ludzkie potrzeby i nauczył o nie zabiegać. Los nie dał mu się we znaki, więc nie narzekał. Powtarzał młodszemu koledze, że warto zająć się swoim życiem, by nie przetrwonić go na bzdury. Sam nie zdziałał wiele. Wracał każdego dnia do domu, mył się, przebierał i wychodził, by spędzić czas w towarzystwie. Ciągnęło go do kobiet, i to takich śmiałych, którym nie trzeba nawijać zbyt długo, o co chodzi. A chodziło zawsze o jedno. Gdy sprawy męsko-damskie miał już za sobą, odprowadzał szczęśliwą wybrankę do domu, wracał do lokalu i zaczynały się wtedy męskie rozrywki. Soboty i niedziele spędzał na działce, nocował w altanie, a po południu, co tydzień chodził na obiad do siostry. Uśmiech gościł niezmiennie na jego twarzy i do uśmiechu zachęcał tych, którzy stracili nadzieję. Choć nie był już taki młody i błyskotliwy, snuły mu się po głowie wielkie plany. Od młodych lat prześladowała go i dodawała skrzydeł pewna idea. Pragnął wyruszyć w świat. Marzyła mu się podróż do Australii. Ciągnęło go tam niemiłosiernie. Miał dalekiego krewnego, który przed wielu laty wyemigrował i osiadł w małym miasteczku na południu kontynentu. Był zwykłym robotnikiem i pracował przy wydobywaniu opali. Czasami przysyłał listy albo pocztówki. Były jak ożywcze tchnienia w szarym życiu Lucjana. Czytał je wiele razy, a pocztówkami wytapetował ścianę w kuchni. Zazdrościł kuzynowi i w skrytości ducha myślał, żeby do niego dołączyć. Zamieszkać gdzieś w australijskim buszu, w małym domku, i pracować w kopalni opali. Pieniądze na podróż zbierał od lat. Nie założył rodziny, nie chciał odebrać sobie możliwości decydowania o własnym losie i musiał zaoszczędzić dużo pieniędzy. Utrzyma-

196

nie rodziny zazwyczaj sporo kosztuje. Znosił cierpliwie trudy życia w pojedynkę, bo wiedział, że czeka go w zamian nagroda. Wierzył w głębi duszy, że życie może zmienić się w piękną bajkę, a czasami odmienić na lepsze ludzki los.

To obudziło w Jerzym zachwyt i głęboką zazdrość. Zrozumiał, że gdy się chce, wszystko się może zdarzyć, a to, że brak mu środków, niczego nie wyklucza. I on przecież może uzbierać na piękną podróż. Niestety, to nie było takie proste. Pieniądze rozplływały się w rękach i na koniec miesiąca zostawały tylko grosze. Jerzy bał się, że Lucjan pierwszy uzbiera odpowiednią sumę i odjedzie. Bał się, że zostanie sam. Z rozpacz zaczął popełniać błędy.

Nawiązał kontakt ze złodziejami, którzy okradali sklepy i hurtownie. Proceder był ryzykowny, lecz zarobek szybki. Wiele razy ledwo uratował swoją skórę. Wojna złodziejskich gangów nasilała się z każdym tygodniem, lecz Jerzy nie zrezygnował. Wciąż mu było mało. Musiał nazbierać na wyjazd i wygodne życie tam, na antypodach. Pieniądze gromadził jak relikwie i chował. Były biletem w lepsze jutro. Zaczął zaniedbywać przyjaciela na korzyść złodziejskich kumpli. Tłumaczył się przed sobą z tej zdrady, łudząc nadzieją, że gdy uzbiera potrzebną sumę,

pomoże mu finansowo i pojedą razem. Tymczasem los inaczej pokierował sprawami. Pewnej nocy, w pijackim uniesieniu, opowiedział kolegom o swojej przyjaźni z Lucjanem. Zapomniał, do kogo mówi, dał się podejść jak gówniarz, rozsiewając przed złodziejskim audytorium jego życiowe plany. Zanim zrozumiał swój błąd, było już za późno. Następnego nocy, zanim zdążył wytrzeźwieć, ktoś wdarł się do mieszkania Lucjana, pobił go dotkliwie i okradł z oszczędności. Przyjaciel trafił do szpitala częściowo z powodu poniesionych ran, lecz głównie wskutek załamania. Jerzy stracił wtedy głowę i stchórzył. Wiedział, że był sprawcą tego nieszczęścia. Bał się o swoją skórę.

Wtedy postanowił zerwać z procederem. Znalazł sobie pracę na budowie. Pracował za marne grosze, kłócił się z szefem i popadł w konflikty z nowymi kolegami. W domu miał piekło. Rodzice, całkiem zdegenerowani i bezsilni, zdani na jego łaskę,

197

stali się przeszkodą w realizacji dalszych planów. Z dnia na dzień pogrążali się bardziej w swoim wyimaginowanym świecie i popadali w alkoholowy obłąd.

Zniszczone mieszkanie wyglądało teraz jak wydrążona w skale jaskinia. Spali w barłogach, jedli w puszkach i pili z obciętych plastikowych butelek po napojach. Jerzy karmił ich ze swojej niedużej pensji, a na otarcie łez kupował po jednym piwie, które wystarczyło, by wprowadzić ich w błogi nastrój. Ta odrobina szczęścia, którą im fundował, miała rozgrzeszyć go z tego, że tak niewiele mógł im ofiarować. Zamykało się wokół niego błędne koło, zniewalało wolę i uniemożliwiała pójście własną drogą, wolną od rodzinnego garbu. Nie zaznał nigdy macierzyńskiej miłości ani ojcowskiej opieki. Nieliczne wspomnienia z wczesnego dzieciństwa wyidealizował do tego stopnia, że nabrały znaczenia prawdziwych przykazań i drogowskazów, niewiele mających wspólnego z osobami rodziców, abardziej z jego własnymi przemyśleniami. Sam już nie wiedział, czy winni byli oni, że porzucili go na samym progu życia, czy on, że ich tak mało przypominał? Ta gehenna trwała zbyt długo. Jerzego zaczynało ogarniać rozgoryczenie i gniew. Wszczywał w domu awantury i wyładowywał swoją wściekłość na rodzicach. Już zapomniał, że nimi byli. Stali się dla niego prawdziwą udręką i ich obwiniał za swoje niepowodzenia. Lata mijały i o poprawie nie było mowy. Ubogi w uczucia, pozbawiony marzeń, jak zlepek przypadkowo pozszywanych cech, gubił się i rozpadał, czując, jak tuż przed nim umyka nadzieja na lepsze dni. Jeszcze trochę i dołączy do duetu, uwali się obok i zapije na śmierć. Musiał gdzieś uciec, wyjechać, narodzić się na nowo, sam, bez tej niewoli, bez garbu. Wiedział, że wyda wyrok na własnego ojca i matkę. Gdy go przy nich zabraknie, umrą z głodu. Pozostaną w barłogu, na dnie swojej piwnicy, która stanie się ich grobowcem, do którego żaden normalny człowiek na pewno nie zajrzy.

Wyjechał pewnego wiosennego dnia w poszukiwaniu lepszego zajęcia i nowego życia. Gdy zamykał za sobą drzwi mieszkania, oni jak zwykle spali i nie czuli, że od tej chwili coś się zmieni na gorsze. Koło łóżka zostawił skrzynkę piwa i kilka puszek. To

198

wszystko, na co zdobył się w ostatnim odruchu. Nawet się nie obejrzał za siebie, wskoczył do tramwaju i pojechał prosto na dworzec.

Przez miesiąc tułał się bez celu, nigdzie nie zagrzebał miejsca i niczego nie osiągnął. Jakby poza tym kawałkiem nieba świecącym nad jego glinianym domem nic nie miało znaczenia ani wartości. Tyle lat marzył o wolności i ucieczce.

Wreszcie, gdy odważył się na nią, coś nie dawało mu spokoju. Po nieudanych próbach, zrezygnowany, postanowił wrócić. Potrzeba powrotu tak bardzo ciążyła mu na sercu, że bez strachu przyjechał pewnego dnia do swojego rodzinnego domu i zszedł jak zwykle po schodach wprost do piwnicy. Nic tu się nie zmieniło. Ten sam bałagan, znajomy zapach glinianej zaprawy i ciemność. Poczł nagły spokój, jakby radość z powrotu. Znajome kąty budziły odrazę, lecz kojarzyły się z czymś własnym, oswojonym, choć wiedział, że to dla niego nic dobrego, a odczucie swojskości nie jest budujące. Starym zwyczajem skierował się do sypialni. Zobaczył łóżko, a na łóżku ciało. Poznał ją po nogach, bo reszta od pasa w górę zaklejona była glinianą skorupą. Głowa i ramiona zamknięte w trumnie z gliny i rozłożone szeroko nogi, całkiem sine, bez butów i pończoch. Była martwa. Leżała w barłogu, w okropnej duchocie, gdzie zapach gliny mieszał się z odorem rozkładającego się ciała. Obok matki leżała pusta butelka z zaschniętą na dnie zielonką ciecżą. Stał, zbierając w popłochu myśli, przerażony. Potem obszedł zakamarki w poszukiwaniu ojca. Zniknął, zapadł się pod ziemię. Zostawił po sobie

dziesiątki rozbitych skorup, góry pokruszonej gliny. Jeszcze do końca nie rozumiał, co się stało. Patrzył na martwą matkę – ostatnie dzieło ojca. Obok łóżka zobaczył skrzynkę pełną nie tkniętego piwa. Wyjął odruchowo jedną butelkę, otworzył i wypił. Spojrzał jeszcze raz, jakby chciał ten widok zapamiętać na całe życie, zamknął za sobą drzwi i wyszedł. W rękę zaciskał znaleziony na ziemi długi pilnik do paznokci –jedyną rodzinną pamiątkę. Obejrzał go ze wszystkich stron, a potem włożył do kieszeni i ruszył przed siebie. Po plecach ściekał mu pot, a po nogach mocz, który bezwiednie oddał w spodnie. Na niebie świeciło jasno słońce, a jego dusza była jak mroczna studnia, której dno wypełniała bagnista ziemia

199

i gęsty szlam. Z grymasem wstrętu do wszystkiego, co w sobie nosił, przemierzył miasto przez środek i dotarł na drugi koniec. Nigdy wcześniej tam nie był. Wędrował przed siebie, bez celu. Mijał małe zaniedbane domki przedmieścia i wychodził nieuchronnie ze znienawidzonego, a jednocześnie jedynego miasta, z którym go naprawdę coś łączyło. Daleko za plecami miał miejskie zabudowania, przed sobą pogrążone w mroku chałupy. Szedł drogą wysadzoną chudymi topolami, które przedwcześnie pogubiły liście, i sam nie wiedział, dokąd zaniosą go nogi. Z lewej strony ciągnął się głęboki rów, a dalej niski świerkowy zagajnik. Tam postanowił spędzić noc. Zszedł z drogi do rowu. Uszedł może kilometr, gdy zobaczył przed sobą ludzki kształt. Świeże przeżycia nasuwały na myśl najgorsze skojarzenia. Podeszedł i przyjrzał się z bliska. W wysokiej trawie leżała dziewczyna, rozebrana do naga, a obok niej torebka, ubranie i pusta butelka po winie. Dziewczyna spała głęboko, nie słysząc ani nie czując niczego. Olbrzymie, białe ciało poruszało się w rytm oddechu, spokojnie i miarowo. Jerzy zapragnął nagle czyjejś bliskości. Chciał się wtulić w coś ciepłego i zasnąć. Położył się obok dziewczyny, objął rękami jej masywną talię i jak niemowlę przylgnął do miękkich piersi.

*

Lampa przy telewizorze oświetlała niewielki skrawek pokoju. Od kiedy padły pierwsze słowa wyznania, Maria się prawie nie odzywała. Opowieść Jerzego przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Wracając do domu ze zdjęciem Dorny, nie podejrzewała, co kryje w sobie jego historia. Gdy Jerzy ze skrucą wyjawiał prawdę o sobie, nie przypuszczała nawet, że to dopiero wierzchołek góry lodowej. Milczał, próbował skończyć, chciał, żeby więcej nie pytała. Czekał na współczucie, zrozumienie. Lecz ona nie zrezygnowała. Wiedziała, że to nie koniec historii. W kieszeni miała list od Brzeskiego i namacalny dowód występku. – A to? – zapytała głośno i podała mu do ręki białą kartkę. Wbiła w nią wzrok i nie cofała. W piśmie wystawionym przez amerykańskiego urzędnika było krótkie wyjaśnienie, że Michał

200

i Elżbieta Nieziołowscy, obywatele polskiego pochodzenia, zginęli w 1986 roku w wypadku na Florydzie, w pobliżu miejscowości St. Augustine. Nad miejscowością, przez którą przejeżdżali swoim samochodem, przechodził akurat huragan o nazwie „Queen”. To on zmiotł ich samochód z drogi. W wypadku został ranny Jerzy Nieziołowski – ich syn – którego przewieziono do szpitala. Oprócz nich śmierć na miej scu poniósł młody pracownik warsztatu samochodowego, również Polak – Ireneusz Dorna.

Zaczął mówić. Zło weszło w niego. Wymknęło się jak padał ec z mokrej dłoni i wpełzło kolejny raz w jego umysł. Był zły. Wściekał się, że tak łatwo dał się zaskoczyć. Chciał walić głową w mur, za jedną chwilę słabości. Fotografia ojca, którą zachował na pamiątkę, głupie zdjęcie, nic już dla niego nie znaczące, pomieszało szyki misternego planu. A tak się wszystko układało.

Był doskonałością, budowlą wzniesioną na zwłokach ludzkich, którym nic już nie było trzeba oprócz pochówku. On żył, chciał żyć, lepiej, godniej, jak żyli ludzie z lepszej gliny, w podarowanej im przez Boga krainie szczęśliwości. Tak bardzo jej pragnął. Przedzierał się w kogoś innego, przywłaszczając sobie cudze imię, pieniądze, wykształcenie. Maria nie rozumie, gdy o tym opowiada, nawet nie próbuje. Patrzył, jak z jej twarzy schodzi cała krew, jak słucha i niczego nie pojmuje.

– Do Stanów wyjechałem bez przeszkód, jako statysta w ekipie filmowej. Potem bywało różnie, najczęściej źle. Aż do tego wypadku – opowiadał w pośpiechu, jakby go to mówienie bolało. Tłumaczył, jak to było, gdy strzępki karoserii przygoździły go boleśnie do muru.

– Byłem trochę pokaleczony, ale żywy.
– A oni? – pytała wstrząśnięta.
– Oni już nie żyli – wyjaśniał. – Mały Nieziółowski wypadł z samochodu i zatrzymał się na białej ścianie, jeszcze oddychał. Coś mówił do mnie, a z ust ciekła mu krew. Nic nie rozumiałem. W końcu wykrwawił się na śmierć. Zamieniliśmy się tylko koszulkami. Dałem mu swoje dokumenty. Był trochę do mnie podobny. Potem wczolgałem się do samochodu i czekałem.
Nie chciała dalej tego słuchać. Uciekła na strych. Tam mogła

201

bez świadków dać upust swojej rozpacz. Całą noc wysłuchiwała jego opowieści, i ta jedna noc sprawiła, że nagle stał się kimś całkiem obcym, jakby go pierwszy raz ujrzała. Czuła do niego obrzydzenie za to, co zrobił, a do losu żal, że postawił go na jej drodze. Myślała już tylko o sobie. Brakowało w niej współczucia, narodził się gniew. Świadomość, że przez kilka lat żyła z „fantomem”, przesłoniła nawet najlepsze wspomnienia. W ciągu jednej nocy zapomniała, że kiedyś go kochała. Wyrzuciła z siebie to uczucie jak zbędny balast, by nie pójść na dno. Czuła się jak skażona, trędowata, zaplątana w gęstej pajęczynie, z której nie było ucieczki. Chodziła w kółko po strychu i nie wiedziała, jak sobie dalej poradzi, co zrobi, jak się zachowa. Gdyby mogła wyjechać, zostawić wszystko, uciec i zacząć od nowa. A praca, dom, książki? O wspólnym życiu nie było mowy. Nie zostanie z nim pod jednym dachem. A co jeżeli nie zechce odejść? On nawet nie ma gdzie odejść. W odruchu rozpacz, wiedziona jakimś przeczuciem, w strachu o swoje dalsze życie, by się oczyścić, rozgrzeszyć, by ujrzeć wszystko czarno na białym, włączyła stary komputer, który stał w kącie i zaczęła pisać, jak w malignie, we śnie, na wszelki wypadek, dla siebie, dla Brzeskiego. Wciąż zaciskała w rękach protokół z wypadku. Treść pisma również przepisała, wszystko zgrała na dyskietkę i podpisała. Potem schowała w kopertę i włożyła do skrzynki z rupieciami. Poczowała ulgę, jak po dobrej spowiedzi, jakby znalazła powiernika i obarczyła ciężarem wyznania. Kiedy wróciła do mieszkania, na dworze wstawał dzień. Jerzy spał na dywanie i cicho pochrapywał. Wyglądał tak zwyczajnie. Stała nad nim i było jej żal tego, co przepadło bezpowrotnie. Gdyby dało się cofnąć czas, gdyby nie pojechała z tym zdjęciem, gdyby nie kupiła gazety, gdyby ktoś nie ukradł jej dyskietek, gdyby, gdyby... Mogłaby teraz leżeć obok niego w łóżku i przytulać się do ciepłego ciała, bezpieczna i spokojna. A tak. Co się z nimi stanie?

– Jerzy – powiedziała głośno. – Co się z nami stanie? – Pochyliła się nad nim i jeszcze raz zapytała. Otworzył oczy nieprzytomny. Zobaczył ją i wszystko sobie przypomniał. Wsta-

202

jąc, potrafił krzesło. Upadło z hałasem na podłogę. Podniósł je bez słowa i usiadł.

– To zależy od ciebie – wycedził powoli. Czuła, że się wykręci.
– Nie zrzucaj na mnie odpowiedzialności. Mam być twoją następną ofiarą?
– A ja. Kim ja jestem dla ciebie?
– Człowiekiem z cudzą tożsamością – odpowiedziała.
– To cię tak brzydzi? – Zakrył twarz i westchnął. – Nie wstydź się, powiedz śmiało.
– Przestań – podniosła głos. – Oszukiwałeś mnie. Wszystko, co nas łączy, oparte jest na oszustwie.
– Oszustwem jest moje życie, nasze małżeństwo jest prawdziwe.
– Jest jak kraina wyłączona. Pływa oderwane od tego, co było wcześniej.
– Więc żyjemy w krainie wyłączonej, mnie to nie przeszkadza. Maria krążyła po pokoju.
– Nie mogę, to dla mnie zbyt trudne.
– Daj mi szansę. Wiesz o mnie wszystko, nie pozwól, bym wrócił na dno.
– Nie mogę żyć z człowiekiem obarczonym taką przeszłością.
– Przecież przeszłość to twoja specjalność. Zawsze mówiłaś, że jest najlepsza, bo niezmienna. Ja tak traktuję swoje życie. Było, minęło, to przeszłość. Już jej nie zmienisz. Teraz może być tylko lepiej.
– Ty się zastanów, co mówisz. – Zdenerwował ją tymi słowami. – Nie można bezkarnie tworzyć historii i usprawiedliwiać w ten sposób swoich czynów.
– Czasami nie ma się wyboru.
– Zawsze jest wybór. – Zrozumiała, że w nim nie ma skruchy i nigdy nie będzie.
– Nie zaplanowałem tego, zrozum, to była okazja.

– Okazja?! Ukradłeś wszystko, co mieli, podszyłeś się pod ich syna. To okropne!
– Już nie żyli – odpowiadał wiele razy, żeby jej uświado-

203

nić, że ten czyn był niewinny i usprawiedliwiony. – Już nie żyli. To, co ze sobą wieźli, nie było im potrzebne, było niczyje. A on był bardzo do mnie podobny.

– Ukradłeś cudzą tożsamość – powtórzyła.

– Bo moja do niczego się nie nadawała.

– Nie dałeś sobie szans.

– Więc co mam teraz zrobić? Czasu nie cofnę. – Stawiał sprawę jasno. – Nie zmyję swojej winy. Mogę jedynie wrócić do szamba, z którego wyszedłem, i pozostać w nim na wieki. – Uderzył się ręką w czoło i syknął. – Przecież jestem nikim, facetem bez wykształcenia, bez zawodu, wobec prawa, kompletne zero. Wszystko, co osiągnąłem, należy do Jerzego Nieziolo-wskiego. Nie ma dla mnie powrotu. Powrót oznacza dno. Zrozum – chwycił ją za rękę – pójdę do więzienia, a w najlepszym przypadku stracę wszystko, zostanę zwykłym śmieciem. Będziesz chciała mieć przy sobie śmiecia?

Z całej siły wyrwała mu rękę.

– Zostaw mnie. – Oparła się plecami o ścianę i zamilkła. Przed oczami miała całe mieszkanie. Piękne, funkcjonalne, urządzone według zasad feng shui – by utrzymać w nim harmonię z pozytywną energią – co za paradoks. No bo co my w nim mamy: pozorne szczęście, prawda okrutna i bolesna, kłamstwa i brudy. Dwoje ludzi uwikłanych w swoje półprawdy, omotanych siecią pokus i słabości, zamkniętych, bezwartościowych, egocentrycznych. Nawet na dziecko ich nie stać – a więc wygodni. Dobrana z nas para, pomyślała.

– Musisz się przyznać. – Maria zaproponowała po chwili wahania. – Ja nie mogę zatrzymać tego dla siebie. To, co zrobiłeś, jest okropne. Nie wymagaj ode mnie, żebym zapomniała.

– Więc mam odejść? – zapytał.

– Odejść? – Podniosła głos. – Chcesz odejść, tak po prostu zabrać, co twoje, i odejść? Żyć dalej cudzym życiem i korzystać z cudzych pieniędzy? – Maria złapała się za głowę. Czowała mdłości. Nie mogła pojąć ogromu potworności, których się dopuścił, i tego, że żyła pod jednym dachem z obcym człowiekiem. Nie знаła swojego męża. Nie wiedziała, jaki jest naprawdę. Teraz

204

sprawy same odsłoniły jego prawdziwą naturę. Maria powtarzała w kółko te same słowa: – Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś korzystać z cudzych pieniędzy?

Jerzy pospieszył z odpowiedzią. Nie był nawet zawstydzony.

– I kto to mówi? – zwrócił się do niej. – Az czego ty żyjesz? Przecież nie ze swojej uniwersyteckiej pensji. Wybierasz z konta pieniądze rodziców.

– To nie to samo – zaprotestowała Maria.

– Mów, co chcesz, nazywaj, jak chcesz, ich pieniądze, dom, ziemię nad morzem i działkę budowlaną za miastem.

– Nikomu tego nie ukradłem. Jerzy, ty wszystko opacznie interpretujesz.

– Ja też nie ukradłem. Wziąłem coś, co było niczyje. – Odsunął się od niej i przycichł. – Jeśli tak trudno ci to zrozumieć, odejdę. Nie wymagaj jednak ode mnie zbyt wiele. – Zerwał się z krzesła i rzucił nim o podłogę. Maria ominęła bez słowa przeszkodę i wyszła do przedpokoju. Wyjęła z torebki wyciągi, które ostatnio pobrała z banku.

– No, a jak wytłumaczysz się z tego. – Podała mu. – Tego też nie nazywasz kradzieżą?

Jerzy skrzywił się i parsknął.

– Cóż za manifestacja. Zachowujesz się jak bohaterka opery mydlanej.

– To moje pieniądze i moje konto. Dlaczego mnie okradasz? Przecież miałeś ich dość. Nigdy nie robiłam z nich problemu.

Stali się sobie wrody. Maria przyglądała się kamiennym rzeźbom stojącym na półkach, patrzyła na alabastrowe kule – nieskazitelnie wytoczone, niezwykle gładkie. Jak daleko im było do takiego ideału. Jedynie ich dusze miały z kamieniami wiele podobieństw – były tak samo zatwardziałe. Spojrzała teraz na Jerzego. Miała przed sobą obcego człowieka. Podświadomość wywoływała dziwne skojarzenia. Czowała zapach gliny i pleśni. Zobaczyła przez skórę Jerzego jego mroczną duszę wtłoczoną w piwniczną otchłań. Nawet teraz, gdy siedział skruszony i przybity, miał w sobie ten mrok. Jak dwie skały z zimnego granitu stali obok siebie, planując przyszłość bez siebie.

205

Jerzy walczył. Próbował się odnaleźć i nie mógł. Rozpłynął się w historii, która umarła wczorajszego wieczora razem z Jerzym Nieziołowskim. Został tylko on – Irek Dorna – dziecko chorych psychicznie artystów, obciążone genetycznie alkoholizmem, człowiek bez szans. Czy ma teraz położyć głowę na szafot? Tak wiele przeszedł. Zacisnął pięści, poczuł siłę i złość. Odejdzie, postanowił. Wstał i wszedł do sypialni. Wyjął walizki i pootwierał szafy. Maria słyszała, że się pakuje. Czują się całkiem wypalona. Cała energia uleciała z niej jak powietrze z dziurawego balonu. Osłabiona płaczem i przygnębiona nową sytuacją, postanowiła się poddać. Niech robi, co chce, pomyślała. Nie miała siły dalej z nim walczyć. Co będzie, gdy go zabraknie? Tego jeszcze nie wiedziała. Rany były zbyt świeże. Prawda zbyt bolesna. Może pomyśli spokojniej za kilka dni. Lepiej, że zostawi ją samą. Oboje potrzebują trochę czasu na przemyślenia.

– Znowu uciekasz? – Chciała wiedzieć, co zamierza.

– Pakuję się – rzucił krótko. – Wyjeżdżam.

– Jak mam to rozumieć?

– Jak chcesz. – Wszedł do łazienki. – Mam dość tego domu – mówił głośno. – Ten dom mnie przytłacza. Jest zimny jak te kamienne kule i jak ty. – Zbierał swoje rzeczy.

– To prezenty, to ty je kupowałaś.

– Bo są podobne do ciebie. Wszystko w tym mieszkaniu jest zimne i martwe. – Chodził po pokoju i dotykał różnych przedmiotów. – Tu nie ma ani jednej ciepłej rzeczy. Nawet ten okręt. – Wziął go do rąk. – Bardziej kochasz tę kamienną bryłę niż mnie.

– Co za bzdury. Wygadujesz bzdury. – Zdenerwował ją. – Odłóż go na miejsce. Uśmiechnął się chytrze.

– Boisz się?

– Uszkodzisz go. Proszę cię zostaw.

Zrobił dziwną minę, a potem powoli odstawił. Maria odetchnęła z ulgą. Jerzy śmiał się dalej.

– Albo nie – powiedział nagle i ruchem ramienia stracił go z blatu na podłogę. Delikatnie rzeźbione maszty rozsypały się w kamienny pył.

206

Alabastrowe żagle rozsypały się na drobne kawałki, bryła kadłuba pękła przez środek i potoczyła się w drugi koniec pokoju. Zaległa cisza. Uśmiech zniknął z twarzy Jerzego. Wszedł do sypialni i trzasnął drzwiami. Zadał Marii kolejny cios. Przepelnił czarę gniewu, potwierdził tylko to, czego się domyślała. Był złym człowiekiem. Upewniła się teraz ostatecznie. Już nie miała wątpliwości. Dobrze wiedział, jak kocha ten żaglowiec. Dostała go od Juliana, był bezcenny. – Teraz możesz już naprawdę odejść. – Otworzyła drzwi do sypialni. – To była ostatnia rzecz, którą mi zabrałeś. – Nie mogła sobie darować tych słów. Choć serce waliło jej w piersiach z wściekłości, powiedziała to spokojnie, żeby nie dać mu satysfakcji.

– Szalejesz, bo to prezent od twojego kochanka – wycedził przez zęby.

Specjalnie nie zaprzeczyła.

Jerzy znieruchomiał. Zawieszony w pół gestu nad walizkami, podnosił powoli głowę.

– Już dawno się domyśliłem. To przez niego wszystko. Przeszkadzałem mu. Widziałem, jak patrzycie na siebie.

– Nie opowiadaj głupstw – próbowała jednak protestować.

– Zdradzałaś mnie z Brzeskim, wiem to od dawna. Jestem podłym draniem, więc mi się należy. – Zbliżał się wściekły. – Jak mogłaś? Niewinna, nieprzytomna, wiecznie zagubiona i bezradna. – Zaśmiał się upiornie. – Chciałem ci tyle pokazać, a ty wolałaś stare próchno. – Popychał Marię w kierunku łóżka. – Spałaś z nim? – pytał natarczywie. – No, powiedz, spałaś?

– Przestań! – krzyknęła. Śmiał się bez końca i ją popychał.

– Więc zobacz, co się robi z niegrzecznymi żonami, które zdradzają swoich mężów. – Z całej siły przewrócił ją na łóżko. Upadła na wznak. Jerzy syczał niezrozumiale i szarpał ją za ubranie. Nie broniła się. Nie chciała potęgować wściekłości. Zaraz się uspokoi, pomyślała i poddała się bez buntu. Jerzy jeszcze przez chwilę wił się i groził, zdierał z niej sukienkę, szarpał. Nagle opadł z sił i znieruchomiał. Maria poczuła przewagę i wtedy powiedziała zupełnie niepotrzebnie:

207

– Zostaw mnie, nie chcę zająć w ciążę. Teraz to już by nie miało sensu.

Natychmiast pożałowała tych słów. Czuła, jak ciało męża pręży się i sztywnieje. Zamknęła oczy, przypuszczając, co nastąpi. Jerzy odchylił się i z całej siły uderzył ją w twarz. Poczowała ból i strach. Zaczął zdzierać z niej ubranie, wstąpiła w niego siła, której się nie spodziewała.

– Zabiłaś mnie! – krzyczał, wdzierając się w nią, opętany i zamroczony nienawiścią. – Zabiłaś – powtarzał wiele razy. Wyrzucał z siebie niechciane ojcostwo i napełniał nim brzuch Marii, obojętny, miękki i zimny. Robił to, tracąc poczucie czasu, bez odpoczynku i bez końca wypluwając słowa żalu. Uderzał w jej uda, rozstawione przemocą, jak dwa kamienne posągi. W końcu poddał się. Zlany potem i łzami, leżał na jej brzuchu, z którego ciurkiem wyciekało jego nasienie.

W tym czasie Julian Brzeski wrócił do kraju. Nie zastał Marii w pracy, więc tego samego dnia poszedł do niej, do domu. Nie otwierała i nie odbierała telefonów. Wpadł w panikę. Targały nim obawy, że Maria skorzystała z przysłanych informacji i poróżniła się z Jerzym. Może wyprowadziła się z mieszkania, może z miasta? Ale dlaczego nie szuka z nim kontaktu? Chciał zadzwonić do Anny, czy ma jakieś wieści. Niestety, nie orientowała się w sytuacji siostry, bo dopiero wróciła z zagranicy. Julian nie wiedział, co robić.

Zofia była wściekła na niego i na siebie. To za jej przyczyną ten wyjazd doszedł do skutku, to ona przechowywała jakieś wycinki z gazet, w których była wzmianka o wypadku za oceanem. Chciał jak najszybciej dotrzeć do źródła. Skorzystał z możliwości służbowych i zanim żona zdążyła zaprotestować, siedział w samolocie. Po kilku dniach wiedział wszystko. Przywiózł zdjęcia wypadku i ofiar oraz dokładny opis obrażeń Jerzego Niezio-łowskiego. Dokładnie obejrzał ksero paszportów i nie miał żadnych wątpliwości. Podobieństwo było, owszem, ale bez przesady. Dziwił się, jak można było przeoczyć coś takiego. Jedynie fakt,

208

że ranny trafił natychmiast do szpitala, usprawiedliwiał niedopatrzenie policji. Bardzo przeżył tę wyprawę. Wrócił wykończony. W tajemnicy przed Zofią zażywał nitroglicerynę i biegał po mieście w poszukiwaniu Marii albo Jerzego. Oboje zniknęli bez śladu. Następnego dnia rano poczuł się jeszcze gorzej. Zofia wezwała lekarza, zaraz potem pogotowie. Zanim przyjechało, Julian Brzeski już nie żył.

*

Maria obudziła się obolała. Za oknem było jasno. Poszukała wzrokiem zegarka. Była dwunasta. Leżała z poszarpaną sukienką, w brudnej pościeli. W mieszkaniu było zupełnie cicho. Nie mogła wstać, była przywiązana do łóżka. Myślała, że jeszcze śpi, że to tylko sen. Dopiero po chwili zrozumiała swoją sytuację. Długo nie mogła pozbierać myśli. Kilka razy odezwał się telefon. Później ktoś dzwonił do drzwi. Cóż mogła zrobić?

Opuściła ją odwaga. Niczego nie była pewna. Jedyna osoba, której bezgranicznie ufała, zmieniała jej życie w piekło. Czekala cierpliwie na jego powrót. Przecież nie może jej tak zostawić.

Jerzy wrócił pijany. Już w drzwiach słyszała, jak bełkocze. Najpierw walczył z drzwiami, które nie chciały go słuchać, potem potraçał sprzęty, przewracał krzesła. Do Marii nawet nie zajrzał. Nastawił czajnik i otworzył lodówkę. Poczekała jeszcze chwilę i zawołała. Jerzy wszedł na chwiejnych nogach i spojrzał na łóżko.

– Zaraz się spakuję–bełkotał niewyraźnie.–Wyjadę, a ty tu zostaniesz. – Machnął ręką i wyszedł do kuchni. Maria była zrozpaczona.

– Jerzy, odwiąż mnie, muszę wstać! – wołała kilkakrotnie. Nie pojawił się więcej. Słyszała, jak wyśpiewuje na cały głos jakąś piosenkę, a właściwie melodię. Śpiewał ją na całe gardło, darł się, aż w końcu stracił głos. Po kilku minutach usłyszała z sąsiedniego pokoju głośne chrapanie. Czuła się strasznie. Męczyło ją pragnienie, bolała głowa, całe ciało zdrętwiało od leżenia w tej samej pozycji. Płakała bez końca. Próbowwała przewrócić się na bok. Sznury były zbyt napięte, ograniczały ruchy. Potem

209

krzyczała, najpierw na niego, żeby przyszedł, potem wołała ratunku, na końcu wyła. Mijały godziny, nic się nie zmieniało. Minęła noc, dzień, wciąż to samo. Ból ciała był tak dotkliwy, że z jej ust słychać już było tylko jęk. Powoli traciła czucie w palcach i stopach. Potem spała. Urywany sen dawał przelotnie uczucie ulgi. Maria popadała w psychiczne odrętwienie, w którym już nie było

ciała. Zaczynała tracić z nim kontakt. Pozostały jej tylko uczucia i strach o siebie. Potem coś w niej pękło.

Opuściła ją odwaga i wiara, że coś jeszcze da się naprawić. Jerzy wychodził z domu, potem wracał, nie zważając na jej błagania, jakby to upodlenie, które jej zafundował, sprawiało mu przyjemność, dawało satysfakcję. Straciła złudzenia. Myślała, że jest mocna i wytrzyma. A jednak pękła. Całą noc leżała z otwartymi oczami, wciąż oczekując wybawienia. Brudna i mokra, jak zranione zwierzę popiskiwała w ciemności. Wszyscy ją opuścili, Jerzy okazał się fantomem, Anna gdzieś daleko budowała własne życie. Brzeski zniknął bez śladu.

Przez cztery dni Jerzy nie trzeźwiał. Opróżniał butelkę za butelką i spał. Zapomniał o niej albo chciał zapomnieć. Zagłuszał sumienie wódką, nie wchodził do pokoju i wciąż nucił tę okropną melodię.

Maria wołała o pomoc, resztkami sił próbowała się oswobodzić, bez skutku. Wreszcie zrezygnowała. Głodna i poniżona, wyłączała stopniowo swoją świadomość i zamykała drzwi do swojego świata. Po czterech dniach nieludzkich zmagani powoli traciła świadomość. Błądziła pamięcią w dzieciństwie, wracała w odległe lata, gdzie wszystko było takie piękne, kolorowe. Bawiła się kalejdoskopem, ulubioną zabawką, na dnie której tańczyły drobne szkiełka. Gdy sieją zwróciło w stronę nieba i obracało, w środku powstawały piękne kolorowe figury. Zmieniały swój kształt i układały się w cudowne kwiatowe pejzaże. Teraz chciałyby pozostać tam na zawsze. Schować się wśród tych kolorów i zasnąć. Czasami odzyskiwała świadomość, próbując resztkami woli kontrolować sytuację i rejestrować czas. Pojękiwała wtedy cicho, licząc na jego litość, na resztki przyzwoitości. On jednak okazał się okrutny do końca. Któregoś dnia wrócił do domu już

210

pijany, a zaraz potem zadał ostatni cios. Zajrzał do niej przez szparę w drzwiach i głośno zawołał:

— Brzeski nie żyje. Dostał zawału i umarł, wczoraj rano.

Odpływała w swój daleki kraj, do lepszego świata, pozbawionego dźwięków, kolorów, uczuć. Odprężona i szczęśliwa, z martwymi oczami wbitymi w niewidzialną przestrzeń, leciała rozpostarta, wciąż niżej, gdzie nie docierają wrażenia, gdzie człowiekowi jest wszystko jedno. Ze świadomości obolałego mózgu wymazywały się wspomnienia o sobie, o najbliższych, o obowiązkach i przyjemnościach, aż nie pozostało już nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Niebycie w bycie, to był stan, w jakim dopiero po tygodniu znalazła się w szpitalu, lecz tego już nie pamiętała.

XIII

Czas mijał nieubłaganie. Kończył się maj. Anna, zarzucona papierami, zapomniała o Bożym świecie. Uzgodniła z hurtownikami nowe ceny na kosmetyki i chciała sprawdzić, czy zostały uwzględnione w rozliczeniach za ten miesiąc. Piętnastego czerwca był ślub córki. Natłok obowiązków odrywał ją od spraw przyziemnych. Czula się zmęczona organizacyjną krzątaniną i odsuwała od siebie wszystko, co wydawało się w tym momencie mało istotne. Zaproszenia były już wysłane, goście policzeni, tylko Jerzy nie potwierdził swojej obecności. Zaszły się gdzieś i nie dawał znaku życia. Anna długo myślała, czy wypada zadzwonić i zapytać.

Za miesiąc wracała do Polski Maria i już czyniono ku temu przygotowania. Nie obyło się bez kłopotów. Wykonano wiele telefonów, zanim udało się załatwić dla niej miejsce w szpitalu. Przypadek był skomplikowany. Trudności ze znalezieniem odpowiedniego zespołu lekarskiego, gotowego przyjąć na siebie całą odpowiedzialność, stawiały wszystko pod znakiem zapytania. Powstał nawet pomysł, żeby zostawić ją w Austrii aż do rozwiązania. Ale sprawy finansowe przesądziły. W końcu załatwiono wszystkie formalności i klamka zapadła. Z Marią przyjeżdżał także Szc. Chciał asekurować pacjentkę w podróży i pomóc w przystosowywaniu się do nowych warunków. Wprawdzie jej stan wydawał się zadowolający, wolał jednak dmuchać na zimne, by nie zaprzepaścić dotychczasowych efektów leczenia. Niestety, mimo starań Maria wciąż nie mówiła. Szc przypuszczał, że to manifestacja. Maria w sobie tylko wiadomym celu postanowiła milczeć. Umówił się z Anną, że gdyby zaszły jakieś zmiany, zadzwoni. Był też w ścisłym kontakcie z Jerzym. To on znalazł dla żony odpowiednie miejsce i załatwił męczące formalności.

212

W domu panowała cudowna cisza. Tego było Annie trzeba. Milczał telefon i Stefan skończył kosić przed domem trawnik. Z ogrodu dochodził delikatny zapach irysów, które tego roku wyjątkowo bujnie kwitły, i konwalii, ścielących się gęstym

kobiercem po drzewami. Słońce odbijało się od okiennej szyby uchylonego w pokoju okna i wpadało wprost do szklanki z herbatą. Na powierzchni zimnego płynu unosił się opalizujący nalot. Anna odsunęła od siebie szklankę i spojrzała w kierunku światła. W promieniach słońca zawsze rozkwitała. Kołysała się lekko w fotelu, kontemplując rozkoszne chwile samotności. Na moment przysnęła. Na ścieżce pod domem zaskrzypiał żwir. Ktoś szedł w kierunku drzwi. Usłyszała czyjeś kroki w holu i głos Stefana.

– Nie, oczywiście, że nie przeszkadzasz. Odpoczywamy. Właśnie robię kawę. Rozgość się. Pójdę po Annę.

– Już idę – zawołała, wstając od biurka. Wyjrzała przez okno. Na tarasie w pełnym słońcu siedział Jerzy. Ściągnęłam go myślami, stwierdziła i, poprawiając odruchowo sukienkę, wyszła przed dom.

– Witaj – powiedziała ciepło. – Przed chwilą o tobie myślałam. – Uśmiechnęła się. – Co słyhać?

Jerzy był strasznie poważny.

– Nic ciekawego. Przyszedłem tak sobie, porozmawiać. Mam wolny weekend i nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić – oświadczył zmieszany. – Trochę się denerwuję. – Przyglądał zmierzwiłone włosy.

– Rozumiem – odpowiedziała współczująco. – My też jesteśmy niespokojni. Mamy nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży.

– Oby – odpowiedział jednym słowem i zapatrzył się w niebo. – Piękna pogoda, wiosna na całego – próbował zmienić temat.

– Tak, cudownie ciepło.

– Jak idą interesy?

– Teraz nie mam do nich głowy. A no właśnie. Dobrze, że wspomniałeś. Chcieliśmy cię zapytać, czy przyjdiesz na ślub?

– Słucham? – zapytał roztargniony. – Ślub? – Zmarszczył brwi. – Ach, przepraszam. Zupełnie zapomniałem o ślubie.

213

No tak... Chciałbym, ale raczej nie. – Miał niewyraźną minę. – Zrozum...

– Oczywiście, że rozumiem – zapewniała Anna gorliwie.

– Nie mam nastroju.

– No tak, to zrozumiałe. Ja też wolałabym, gdyby można to było przesunąć.

Niestety, młodym się spieszy. Nic nie poradzę.

– Daj spokój. Po co zaprzętać im głowę moimi problemami. Stefan wszedł z tacą. Z wprawą kelnera układał na stole nakrycia.

– Nieźle ci idzie. – Jerzy spoglądał ciekawie.

– No widzisz, zostałem gospodynią domową – skarżył się Stefan. – Anna zarabia, a ja podaję do stołu.

– Bywa i tak. – Błady uśmiech rozjaśnił twarz Jerzego.

– Spróbuj placka – zachęcał gościa. – Sam go upiekłem. – Uśmiechnął się pod nosem.

Jerzy popatrzył z niedowierzaniem. Anna robiła dziwną minę i mrugała do niego.

– Nie wierz mu – uprzedzała. – Kłamie jak z nut. Ciasto kupiłam w piekarni.

Nawet go nie pokroił. – Pogroziła mężowi palcem.

Zrobiło się całkiem przyjemnie. Jerzy rozmawiał z większą swobodą i zapomniał na chwilę o kłopotach. Wypytywał o różne sprawy, jakby nagle życie Anny i Stefana stało się dla niego bardzo ważne.

– Zazdroszczę wam tego ogrodu. Wygląda jak przedsiónek raj. Jest pięknie utrzymany.

– To moja robota. – Stefan uderzył się w piersi. Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Czy jest coś w tym domu, czego ty nie robisz? – próbowała ustalić Anna. – Niedługo się okaże, że nie jestem tu wcale potrzebna. – Przyglądała się Jerzemu dyskretnie. Miał nie umyte włosy i zakurzone buty. Był nie ogolony i pachniał jakoś nieświeżo. Zmęczonymi oczami wodził po twarzach i wciąż poprawiał wystającą ze spodni koszulę. No cóż, nie jest mu łatwo, pomyślała. Cokolwiek można o nim powiedzieć, widać, że naprawdę cierpi. Może doceni wreszcie swoją żonę. Czują lekką satysfakcję.

214

Czas upływał przyjemnie.

– Może zostaniesz na obiedzie – zaproponował Stefan. – Przygotowałem dziś wspaniałą pieczeń. – Droczył się z żoną.

– No właśnie. – Anna podtrzymała zaproszenie. – Zostań, będzie miło. Po co masz

siedzieć sam w pustym domu. Stefan wieczorem wybiera się na ryby. Możesz mu towarzyszyć.

Jerzy spojrział na zegarek.

– Późno już – stwierdził. – Dziękuję, może innym razem. – Rozłożył bezradnie ręce.

Stefan serdecznie przygarnął go ramieniem.

– Wpadaj, jak tylko będziesz mógł. U nas zawsze znajdzie się życzliwa dusza, a ja znowu coś dobrego upichcę – żartował na odchodnym i odprowadził gościa do furtki. Anna została na progu, żegnając ich spojrzeniem. Dziwne, pomyślała. Co mu się stało, że nas odwiedził?

Przed samą furtką Jerzy zatrzymał się i zawahał. Popatrzył na Annę, a potem obrócił się w kierunku Stefana.

– Właściwie... – Zastanawiał się przez moment, jakby nie mógł sprecyzować myśli. Wyjął coś z kieszeni i trzymał w zaciśniętej dłoni. – Przyniosłem ze sobą klucz – wydusił wreszcie.

– Klucz? – Stefan nie rozumiał, o co mu chodzi. – Jaki klucz? – zapytał zaskoczony.

– Do mieszkania. Maria chciała sprezentować go waszej córce. Powiedzcie jej, że jest odnowione i może się wprowadzać.

Ambulans z pacjentką przyjechał punktualnie o dziewiętnastej. Pod szpitalem czekali Jerzy, Anna i Stefan. Marię wyniesiono na noszach. Podróż mimo wygod i troskliwej opieki była dość męcząca i pełna wrażeń. Teraz czekało Marię najważniejsze zadanie. Postanowiła wykonać je najlepiej, jak umiała, i miejsce nie miało tu żadnego znaczenia. Swoje przywiązanie kojarzyła jedynie z pomieszczeniem, w którym właśnie przebywała. Nie budowała gniazda, bo nie czuła więzi z żadnym punktem na ziemi. Cały jej świat mieścił się w niej samej.

Wyglądała na zmęczoną i chyba trochę stremowaną. Nowe miejsce nie było

215
takie ładne jak to, w którym spędziła ostatnie miesiące. Za oknem brakowało pięknych widoków i słychać było uliczny hałas. Do pokoju wpadało duszne powietrze. Czuć było kurz i dym zatłoczonego miasta. Szpital, do którego trafiła, przypominał budynek miejskiego więzienia, a z okien rozciągał się widok na dworzec kolejowy. Przez cały czas słyszała przejeżdżające pociągi, a nawet głos kobiety podającej godziny ich odjazdów.

Na oddziale zrobił się ruch. Wszyscy by li ciekawi, jak wygląda zapowiadana od dłuższego czasu pacjentka. Lekarze zaraz po jej przyjeździe zbrali się na naradzie u ordynatora. Wszystkie dane dotyczące stanu, w jakim obecnie się znajdowała, dotarły wcześniej. Wyznaczeni lekarze znali przypadek. Doktora Szyca poproszono o ustne przekazanie pozostałych szczegółów i uzgodniono rozkład kolejnych dni jego pobytu. Zakwaterowano go w szpitalnym hotelu, przylegającym do jednego ze skrzydeł budynku. Obskurny pokój, w którym przyszło mu mieszkać, przypominał dawne czasy. Wytrzyma jakoś te kilka dni. Zżył się ze swoją pacjentką i wiedział, że niełatwo będzie im się rozstać. Przywiązali się do siebie. Choć nie udało się całkowicie wyprowadzić Marii z depresji, miał nadzieję, że teraz to tylko sprawa czasu. Wierzył w kobiecą naturę i w jej niesamowite oddanie. Choć był mężczyzną i obce mu były podobne doświadczenia, wierzył, że kobieta, rodząc, nie myśli o sobie i własnych wygodach. Jej zamiarem jest urodzenie zdrowego dziecka w taki sposób, by moment przejścia granicy dwóch światów był dla niego jak najmniej przykry i bolesny. Szyc wierzył w Marię. Wiedział, że wewnątrz milczącej kobiety bije serce wojownika. Czuł, patrząc w czarną głębię jej oczu, że trzyma na ich dnie niespodziankę, a gdy wypowie wreszcie pierwsze słowo, wszystko będzie jasne. Męska wrażliwość podpowiadała mu również, że pomiędzy nią a Jerzym niczego już nie ma. Ich spojrzenia były puste, pozbawione żaru i czułości. Szyc miał wrażenie, że Maria nie widzi męża. Patrzy na niego, jak się spogląda przez szybę, na daleki krajobraz za oknem, jak się patrzy na ducha, nie przeczuwając jego obecności.

Zgodnie z tym, co przypuszczał od początku, sprawa Marii Jaros była przełomem w jego praktyce psychiatrycznej. Wypro-

216

wadzenie pacjentki z głębokiej depresji to w pewnym sensie medyczny sukces, lecz tajemnica, która legła u podstaw tragedii, nie została do końca wyjaśniona. Żałował, bo jej poznanie byłoby z pewnością kolejnym doświadczeniem określającym, do jakiego stopnia przeżycia duchowe, bądź fizyczne, mogą wpływać na zahamowanie życiowych procesów. Jakiej miary muszą to być ciosy, by

skutecznie odebrać człowiekowi nadzieję? To, jak przypuszczał, pozostanie dla niego tajemnicą.

Sprawa Marii Jaros dla Szyca, oprócz doświadczeń zawodowych, miała jeszcze jeden pozytywny aspekt. Sprawiała, że analizując jej przypadek, spojrzął na swoje życie z innego punktu. Zawsze kierował się rozumem, wszystko kalkulował i oceniał według zasad zdrowego rozsądku. Jako lekarz przyzwyczył się, że jedynie w ten sposób może podchodzić do ludzkich problemów. Małostkowe uczucia, niepotrzebne tkliwości, racje serca, zamiast umysłu, to zbędny balast, wprowadzający w życie galimatias i chaos. Teraz poczuł nagle, jak bardzo brakuje mu ciepła i miłości. Bo cóż z tego, że rozsądniej nie utrudniać sobie życia. Przed wyjazdem do Polski uporządkował więc swoje sprawy sercowe i dzięki temu pomiędzy nim a Joanną powróciła dawna zażyłość. Widać kochała go ciągle, bo niezbyt długo opierała się zalotom. Zrozumiał, patrząc na transformację dokonującą się na jego oczach, jak wielką sprawą dla kobiety jest urodzenie dziecka. Poczuł się podle, uświadamiając sobie, w jaki bezduszny sposób się z nią obszedł, jak szybko dał sobie wmówić, że ciąża to skutek niewierności, której dopuściła się w stosunku do niego. Wtedy było prościej, rozsądniej podejść w ten sposób do sprawy i nie komplikować sobie życia. Odsunął się od niej, usprawiedliwiając to wiekiem i wiernością w stosunku do pamięci żony. Tymczasem było to zwykłe tchórzostwo. Wystraszył się konsekwencji i wybrał samotność.

Przykład Marii uświadomił mu, że nie tylko Jerzy Nieziolo-wski ma na swoim sumieniu jakiś grzech wobec kobiety, z którą był. On również ponosił odpowiedzialność za to, że w najgorszym momencie pozostawił Joannę samą, udając, że już go nie obchodzi. Na szczęście nie należała do osób zawziętych i mściwych, a może bardziej dorosła do ich związku. W każdym razie

217

już po pierwszej próbie odnowienia znajomości, dała się namówić na małżeństwo. Szyca oczami duszy widział, jaką będzie piękną panną młodą, a może i matką jego dzieci. Potrafi jeszcze sprawdzić się jako ojciec, choć wiek już może nie pozwoli zbyt długo się nimi nacieszyć.

Stał się ostatnio bardzo refleksyjny. Popadał w stany melancholijne i coraz częściej myślał o śmierci. Od tego czasu, gdy zagłębił się w problemy filozoficzne, gdy poszerzył swoją wiedzę o jakiś mały skrawek ładu, odzyskał spokój i uwierzył, że jedynie wierność pewnym potwierdzonym prawdom może uporządkować wszystko, co dzieje się między ludźmi.

Labirynt korytarzy nie stanowił już dla niego żadnych tajemnic. Przez te kilka dni przeszedł je dziesiątki razy. Krokami przemierzył długość, przeliczył drzwi, krzesła, poznał dokładnie treść plakatów, nazwiska lekarzy z wywieszek, twarze pielęgniarek, salowych, pacjentów. Znał godziny poszczególnych posiłków i jadłospis wywieszany przed siódmą w holu. Wypełniał czas oczekiwania, by zagłuszyć w sobie smutek. Zadawał sobie w kółko to samo pytanie i wciąż nie potrafił na nie odpowiedzieć: Czego oczekiwał od skrzywdzonej kobiety? Na co liczył, stojąc tu i modląc się o przebaczenie? Czy ma prawo prosić o cokolwiek? Nieme usta Marii mówiły za wszystko. Wyrzuciła go ze swojej głowy, przekreśliła, jakby nie istniał. Na zawsze odeszła z jego życia i nic nie może tego zmienić. Na co więc czekał? Wyrok, który nosił w sobie od wielu lat, odmierzał cierpliwie czas jego wolności. Ucieczka w nową tożsamość już nie wydawała się taka nęcąca. Nadszedł w końcu czas pokuty, za lata nadziei okupionej wiecznym strachem. Marzył mu się wysoki tron, chciał być panem świata. Nie udało się. Takie rzeczy nigdy się nie udają. Zawsze zdarzy się coś, co pomiesza szyki i zniszczy misternie tkany plan. Teraz już wiedział, wypróbował to na własnej skórze, że nie da się do końca wymazać przeszłości. Można porzucić wszystko, zmienić twarz, nazwisko, zwyczaje, a jednak w którymś momencie prawda wypłynie, a ofiary upomną się zza grobu o swoje prawa.

218

Dzień, w którym przyjdzie na świat nasze dziecko, będzie dniem mojej klęski, powtarzał to sobie bez końca. Mimo to nie chciał uronić tej chwili. Bez względu na konsekwencje swoich czynów i na karę, której się spodziewał, musi zobaczyć narodziny dziecka – jedynej dobrej rzeczy, której był współtwórcą. Chciał zobaczyć dziecko poczęte w akcie gwałtu, zadanego kobiecie jego życia, chciał spojrzeć Marii w twarz i przeprosić. To niewiele, a jednak potrzebował przebaczenia, zanim rozprawi się ze swoją duszą. Modlił się z pokorą o jej życie i miał nadzieję, że Bóg spojrzy choć raz w stronę, z której dochodzi modlitwa podłego Irka.

– Niech pan odpocznie, prześpi się trochę, odświeży. Jak można tak całymi dniami koczować na korytarzu? – podpowiadały wzruszone pielęgniarki, patrząc na jego poświęcenie.

– Panie Nieziołowski, nic pan tym żonie nie pomoże. Proszę wracać do domu. Zadzwonimy w razie czego – radzili zniecierpliwieni lekarze.

– Ja nie mam domu – odpowiadał pod nosem i robił kolejną rundę dookoła szpitala.

Dyskietka w końcu się znalazła. Od pamiętnego dnia, gdy Anna bawiła z nieproszoną wizytą na strychu, dyskietka zniknęła bez śladu. Odnaleziona przypadkiem za okładką notesu, uwolniła Annę od wyrzutów sumienia. Teraz za to kusiała zawartością. Bez namysłu uruchomiła komputer. Chciała chociaż zerknąć na to, co Maria postanowiła ukryć przed światem. Przeczytała wszystko z wielką uwagą, zdając sobie sprawę z powagi informacji. Nieco chłodniej niż Maria przyjęła wiadomość o rodzicach Jerzego, trudniej było pogodzić się jego bezwzględnością. Nie miała pojęcia, co począć z tą wiedzą i jak się zachować? Dręczyło ją pytanie, czy właśnie to, czego się dowiedziała, doprowadziło jej siostrę do załamania nerwowego?

Biła się z myślami. Poznała prawdę o Jerzym i wcale nie czuła satysfakcji. Może kiedyś byłoby inaczej. Schowała dyskietkę do torebki i postanowiła czekać.

Skrucha, którą zauważyła w zachowaniu szwagra, chęć naprawienia krzywd, starania, które czynił,

219

by pomóc żonie wrócić do zdrowia, działały na jego korzyść. Więc może nie jest do końca zły? Może powinien dostać jeszcze jedną szansę. Wybierała się właśnie do szpitala. Przemyśli to po drodze i zadecyduje.

Była niedziela, czas odwiedzin. Źle wybrała. W takim hałasie nie dawało się myśleć. Wąskie korytarze, przez które trzeba się było przeciskać, śmierdziały ludzkim potem i sosem grzybowym. Za chwilę przywiozą obiad. Słyszała z oddali pobrząkiwania metalowych wózków z kotłami i talerzy. Weszła na drugie piętro. Tu było ciszej. Zaraz obok był oddział noworodków, tam odwiedziny są zakazane. Z ulgą zaczerpnęła powietrza. Zapach grzybów ulotnił się pomiędzy piętrami. Minęła dyżurkę pielęgniarek, zadowolona, że nikt jej nie zatrzymał. Przy łóżku siostry zobaczyła dziwne poruszenie. Lekarze powtarzali cierpliwie, że nic się nie dzieje, lecz przewrażliwiona Anna wszędzie wietrzyła podstęp. Do porodu nie zostało już wiele czasu, więc na wszelki wypadek zadzwoniła do Szyca.

Powiadomiła go telefonicznie o dziwnym zachowaniu lekarzy i prosiła o pomoc. Obiecał, że następnego dnia zadzwoni i wszystkiego się dowie. Może przyjazd nie będzie konieczny.

Gdy nazajutrz przyszła na oddział, Marii nie było w pokoju. Pielęgniarka zdawkowo wyjaśniła, że pani Jaros jest na USG. Po godzinie wróciła. Obok jej łóżka ustawili aparat do EKG. Pielęgniarka podłączała kroplówkę i zaraz pojawił się lekarz.

– Jakież komplikacje? – zapytała Anna przestraszona. Lekarz musnął ją nieprzychylnym spojrzeniem.

– Wszystko jest pod kontrolą – stwierdził, pisząc coś w karcie chorobowej. – Trochę podskoczyło jej ciśnienie, to wszystko. Pojawiły się kłopoty z moczem. Jakiś zastój w nerkach.

– Jest przytomna? – Anna z niepokojem spoglądała na zamknięte oczy siostry.

– Tak, teraz śpi. W nocy wymęczyliśmy ją cewnikowaniem.

– Co z porodem?

– Czekamy na decyzję szefa, ale chyba nie będziemy się trzymać terminu.

– Będziecie prowokować? – zadała kolejne niewygodne pytanie.

220

– Raczej rozwiążemy cięciem. Zbyt duże ryzyko dla osłabionego organizmu. Miesiące leżenia w łóżku, zwiotczałe mięśnie, a do tego nie możemy być pewni, czy kontakt z pacjentką będzie na tyle dobry, by mogła urodzić w sposób naturalny.

– Czy to będzie dzisiaj? Chciałabym jakoś się do tego przygotować, zawiadomić jej męża.

– Pan Jaros był przy niej całą noc. Odwiedził ją wieczorem i został do rana, zanim nie zasnęła – wyjaśnił lekarz pośpiesznie. – Nie opuszcza w ogóle szpitala.

– A czy dzwonił do pana doktor Szyca?

– Wcześniej rano – potwierdził. – Czekamy na niego. Anna pełna obaw myślała o

kolejnej nocy. Dopóki dzień przyjscia na świat maleństwa był oddalony w czasie, jakoś z nadzieją myślała o jego przyszłości. Teraz miała wątpliwości. Co będzie, gdy Maria nie podoła obowiązkowi? Myślała z przerażeniem o losie dziecka. Czy człowiek z taką przeszłością może być poprawnym ojcem?

Wróciła do pracy. Zmęczyła ją nerwowa atmosfera oddziały, musiała zmienić otoczenie. Cały dzień zajęta była swoimi sprawami, lecz do czegokolwiek by się wzięła, wychodziło nie tak, jak należy. Postanowiła wrócić do domu i odłożyć wszystkie sprawy na później. Musi się skupić na rzeczach najważniejszych. Zaparkowała samochód pod garażem i szła w kierunku domu. Na progu stał Stefan. Wyglądał dziwnie. Zmroził ją strach.

– Co się stało? – zawołała z daleka, nie mogąc znieść niepewności. Czekał aż podejdzie.

– Musisz jechać do szpitala. Jakies problemy z Marią. Dzwonił lekarz.

– Mówił coś więcej? – pytała zasapana.

– Był zdenerwowany. Rzuciła torebkę na stół i usiadła.

– Czułam, że tak będzie.

– Mam jechać z tobą? – zaproponował.

– Pojadę sama, tylko zmienię buty. Może będzie trzeba zostać dłużej. – Kręciła się bezradnie po korytarzu. – Jeszcze

221

wzmę coś na ból głowy. Dokuczają mi od samego rana. Ty zostań i zadzwoń do dzieci. Trzeba odwołać jutrzejszy obiad. Nie będę miała kiedy się nim zająć. Przez całą drogę nachodziły ją złe przeczucia. Ziarna nadziei, które od jakiegoś czasu zaczęły obiecująco kiełkować, zostały poddane kolejnym próbom na wytrzymałość. Anna zmęczona huśtawką emocji z rezerwą spoglądała w przyszłość. Miała już dość szpitali i lekarzy. Czekanie i bezsilność doprowadzały ją do szału.

W szpitalu panował błogi spokój. Wieczór był parny, Annę dręczyły złe myśli. Szła wolno wzdłuż korytarza, bojąc się, co ujrzy na końcu.

– Biedna Maria – pomyślała. – Czemu tak niewiele mogę dla niej zrobić?

Pokój Marii wyglądał jak laboratorium. Drobne ciało ginęło wśród aparatów. Leżała na wznak z podniesioną wysoko głową. Krople spadającej cieczy bezlitośnie odmierzają czas, a ona nieruchomo patrzyła przed siebie. Widok Anny wywołał ożywienie i radość na bladej twarzy. Metalowe ramiona urządzeń jak maszty żaglowca unosiły ją nad ziemią i wiodły ku nieznanej wyspie. Anna podeszła do łóżka. Zobaczyła ułożone na pościeli drobne dłonie pokłute igłami, spojrzęła na wychudzoną szyję, na błękitne żyły pulsujące w rytm bicia serca i wiotką skórę. Wyraszy z rezygnacji zmaścił ciemne oczy i zalśnił chorobliwym blaskiem. Wydawało się, że Maria zwątpiła, poddała się chorobie, zrezygnowała z walki. Anna pogłaskała siostrę po głowie, tyle tylko mogła dla niej zrobić. Pod palcami poczuła gładkość zaczesanych włosów, pozbawionych blasku i sprężystości. Choroba zmieniła młodą twarz w zmęczoną i zrezygnowaną. Drobne piegi, zdobiące latem jej policzki, zniknęły bez śladu, a zamiast nich pojawiły się krwiste wybroczyny i nieregularne różowe plamy.

– Cóż za koszmar – szepnęła i oparła się biodrem o kant łóżka. Za plecami miała całą płataninę kabli i podłączoną do nich siostrę. Wyczuła, że Maria szuka z nią kontaktu. Patrzyła, jak wątłym ciałem wstrząsają dreszcze, a blade usta próbują coś wyszeptać. Przestraszyła się, a potem pochyliła, nasłuchując.

222

– Pomóż mi. – Usłyszała zmieniony głos siostry.

Anna znieruchomiała ze wzruszenia. To były pierwsze słowa, jakie słyszała z jej ust.

– Nie mogę ci pomóc, nie wiem, co zrobić? – To było wszystko, co potrafiła wydusić.

Maria z wysiłkiem przełknęła ślinę. Pulsowanie w głowie nie pozwalało normalnie myśleć. Chciała jeszcze coś zrobić, zadbać jakoś o bezpieczeństwo swojego dziecka.

– Możesz – próbowała dalej.

– Mój Boże – szepnęła Anna. Cóż mogła poradzić? Przecież była zwykłą kosmetyczką, kobietą nie znającą się na niczym poza makijażem, masażami i wychowywaniem dzieci. Nie mogła patrzeć na pobieranie krwi, a co dopiero na rodzącą kobietę. – Lekarze ci pomogą. Nic się nie bój. Doktor Szyca już do ciebie jedzie. Nie opuścimy cię. – Głaskała lodowatą rękę siostry.

– Muszę ci o czymś powiedzieć. – Zakaszlała, a czerwone światelko na monitorze zaczęło intensywnie pulsować.

Do pokoju weszła pielęgniarka i lekarz. Anna wyszła na korytarz.

Wszystko, co działo się dokoła, zaczynało powoli przerastać wyobraźnię Anny. Przeżywała huśtawkę emocji i coraz gorzej to znosiła. Historia, która się toczyła obok, czekała na ładne zakończenie. Gdyby Anna była pisarzem, mogłaby je napisać, wykreślając od razu najgłupsze kawałki. Sprawa z Jerzym, nie do końca wyjaśniona, kładła cień na małżeństwo Marii. Czy kręte ścieżki prawdy doprowadzają kiedyś do końca? W torebce Anny leżała dyskietka. Czy obwieścić światu te kompromitujące fakty, czy lepiej pograżyć je w zapomnieniu? Wciąż się wahała.

Przez otwarte drzwi słychać było rozmowę.

– Sabina, poproś lekarza dyżurnego.

Po chwili w pokoju byli już dwaj lekarze i dwie pielęgniarki.

– Co się dzieje?

– Są bóle w nadbrzuszu, nadwrażliwość na światło i wzrost ciśnienia do dwustu mm Hg.

– Cholera! – zaklął. – A więc rzucawka.

– Rano zbadaliśmy mocz i krew. Wyniki fatalne, wysoki

223

poziom białka w moczu, we krwi podniesiony poziom mocznika, kreatyniny, kwasu moczowego i zaburzenia elektrolitowe.

___ już mi się nie podobała od kilku dni. Wyraźnie podniosła się we krwi wielkość hematokrytu, a zmniejszyła objętość osocza. Niech nam tylko nie wpadnie w śpiączkę. Trzeba podawać większe dawki leków obniżających ciśnienie i na wszelki wypadek przeciwdrgawkowe. Jak tylko przyjedzie Szyc, zaczynamy.

Anna wszystko słyszała. A więc to nie koniec kłopotów. Nie tak łatwo zasłużyć sobie na wytchnienie. Musi wziąć się w garść i czekać. Usiadła na sofie ustawionej przy drzwiach. Nogi miała jak z waty- Po chwili zasnęła, uciekła od zmartwień w krainę nocy. Taffl wszystko było możliwe i nikt się niczym nie przejmował. Z góry było wiadomo, że to tylko senne bajanie, które o świecie rozplynie się i uleci.

Czasami lepiej byłoby już nigdy się nie budzić i trwać w tym świecie absurdu aż po kres życia albo po prostu umrzeć, to dużo łatwiejsze niż borykanie się z życiem, pomyślała po przebudzeniu.

Ze snu wyrwał ją hałas, w pokoju przesuwano sprzęty. Podenerwowani lekarze wydawali szybkie dyspozycje.

___ Czy izolatka przygotowana? – Usłyszała. – Można przewozić pacjentkę?

___ Wszystko gotowe.

Anna złapała za rękaw przechodzącą pielęgniarkę.

– Co się dzieje?

___ Ma silne drgawki, wystąpił zespół nadpobudliwości. Musimy przenieść ją do specjalnego pokoju. Musi mieć ciszę, specjalną pościel i inne łóżko.

___ Dlaczego inne? – krzyknęła Anna. – Będzie rodzić?

Pielęgniarka machnęła ręką, zła, że Anna tak wypytuje.

___ Ona ma silne drgawki, może się skaleczyć albo uderzyć
___ zawołała i pobiegła wzdłuż korytarza.

___ Panie doktorze, przynieśli wyniki gazometrii.

___ pokaż. – Czytał w popłochu. – Wzrost wartości CO₂ i obniżenie O₂ i pH.

___ No to odsysamy, nie ma na co czekać.

Poszły w ruch jakieś rurki, najpierw do gardła, a potem do

224

nosa. Zaczęła się szamotanina, z której Anna nic nie rozumiała. Miała nadzieję, że nie robiącej krzywdy.

Jerzy pojawił się dopiero wieczorem. Gdy zobaczył Annę, zmieszał się i szybko wszedł do toalety. Widocznie nie miał nastroju na rozmowę. Annie też nie chciało się gadać. Spędziła w szpitalu Tcilka godzin i miała serdecznie dość. Do tego zamknęli szpitalny baryk i nie było gdzie napić kawy.

Stan Marii trochę się poprawił. Teraz spokojnie spała, więc można było wreszcie odpocząć. Ciśnienie spadło, drgawki ustąpiły, wszystkim zrobiło się lżej na duszy. Anna wciśnięta w ciemny kąt próbowała zasnąć. Nie było łatwo. Przyjmowała najróżniejsze pozycje, w końcu zaczęła spacerować. Po drugiej stronie korytarza

spał Jerzy. Patrzyła na niego i czuła niepokój. Może za bardzo bagatelizowała jego osobę, może szczegóły z jego życia powinny być dla niej ostrzeżeniem. Czy człowiek z takim życiorysem może być porządnym ojcem? Dobrze wiedziała, ile trudu wymaga wychowanie dziecka. A Jerzy, człowiek, którego przeszłość kładła się strasznym cieniem na całym jego życiu, jak temu podoła? Ciekawe, co na to Maria? Jakie jest jej zdanie w tej sprawie. Nagle się przestraszyła. Czy dobrze robi, że bagatelizuje szwagra? A jeśli jest naprawdę draniem? Co wtedy będzie z Marią, co się stanie z dzieckiem? Anna wpadła w panikę. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała. Czy nie jest za późno? Przemierzała korytarz w tę i z powrotem. Spojrzała na zegarek. Była piąta. Wszyscy spali. Uchyliła drzwi pokoju, w którym spała siostra. Słyszała jej równy oddech. Patrzyła w ekran monitora, jak bije Marii serce. Czuła, że musi z nią porozmawiać. Nie powinna wprawdzie wpadać w panikę, lecz myśl, że mogłaby cokolwiek przegapić, zbagatelizować, nie dawała jej spokoju. Maria poruszyła się niespokojnie. Widocznie wyczuła czyjąś obecność, bo otworzyła oczy i spojrzała w kierunku drzwi. Myślała, że śni. Usłyszała głos siostry, dochodził gdzieś z daleka. Mówiła coś o Jerzym i jakiejś dyskietce. Nic nie mogła zrozumieć.

– Znalazłam dyskietkę – powtarzała Anna kilka razy, tak długo, aż się nie upewniła, że słyszy. – Co mam z tym zrobić? – Czekwała cierpliwie na odpowiedź.

225

Maria milczała.

– Jeżeli nie możesz mówić, kiwnij głową. Czy mam ją wykorzystać? – Maria kiwnęła. – Przeciwno Jerzemu? – Dwukrotne potwierdzenie upewniło ją w podejrzeniach. – Boże, co się stało? Dlaczego nie chcesz o tym mówić?

*

Doktor Szyc przyjechał o siódmej rano. Twarz poszarzała mu ze zmęczenia i mrużył zaczerwienione oczy.

– Jechałem czternaście godzin. – Tarł ręką ciemny zarost. – Muszę się choć godzinę przespać.

Winda była popsuta. Bez skargi wspinał się na trzecie piętro. Prosił w duchu, żeby Maria pozwoliła mu zmyć z siebie podróżny pot, odpocząć choć przez chwilę i zastanowić się spokojnie nad sytuacją. Jechał tu pełen złych myśli i obaw. Zastanawiał się, czy może cokolwiek pomóc. Jego obecność miała właściwie charakter symboliczny. Rzucawka u ciężarnych to była ogromna komplikacja. Nie miał pewności, czy Maria w stanie takiego osłabienia poradzi sobie z tą przypadłością. Pozostało tylko oddać się w ręce Opatrzności i liczyć na to, że wszystko się na czas uspokoi. Zabieg rozwiązania zaplanowano na godzinę dwunastą.

Od samego rana padał deszcz. Było bardzo gorąco, woda spadająca z nieba gotowała się w atmosferze sierpniowego przedpołudnia. Mokra szyby parowały, nieruchome powietrze dławiło swoim przygniatającym ciężarem. Lekarze osłabieni upałem snuli się sennie po oddziałach. Pacjenci bezsilni i zdani na własną wytrzymałość ciężko znosili szpitalny zaduch.

Cisza na oddziale oznaczała, że sytuacja jest opanowana. Ponieważ poziom ciśnienia ustabilizował się nieco wyżej, niż powinien, przez cały czas przy jej łóżku siedziała pielęgniarka, by w razie potrzeby zaalarmować lekarzy.

Szyc zjawił się na oddziale koło jedenastej i pierwsze kroki skierował do pokoju Marii. Zajrzał tam w chwili, gdy się obudziła. Był wstrząśnięty jej wyglądem. Obrzęknięta twarz, rozpalone usta i mętne spojrzenie ogłuszone lekami, to wszystko, co po niej pozostało. Przez całą chorobę nie wyglądała tak źle jak teraz.

226

Patrząc na nią, zwątpił, czy te wszystkie zabiegi, którym ją poddano, miały sens, może lepiej by było dać jej spokojnie odejść. Widział, co się z nią stało, i przeczuwał, że życie, które zgotował jej los, nie będzie wiele warte. Aż trudno pogodzić się z faktem, że początkiem wszystkich kłopotów jak zwykle była miłość. Gdyby została wierna książkom, nie zawiodłaby się tak bardzo. Maria cicho postękiwała. Podeszedł do niej i próbował dodać otuchy. Otarł spocone czoło, próbował wlać w zaciśnięte usta trochę wody. Posłusznie otwieralaje, przełykając ostrożnie drobnymi łykami. Okazywała w ten sposób, że ufa mu bez granic. Cierpliwie, łyżeczka po łyżeczce, wlewał w zaschnięte gardło mdły napój z nadzieją, że zaspokoi jej pragnienie i potrzebę czyjejś bliskości. Ciemne oczy, niespokojnie błędzące po ścianach, czekały na chwilę intymności. Maria bez cienia obłędu i skrępowania odezwała się do niego. Szycowi ze zdenerwowania

zadrżała ręka i wylał na pościel trochę wody. Mówiła wyraźnie, ale jednostajny szum aparatury zagłuszał każde słowo. To był dzień, na który czekał od dawna. Nie mógł sobie pozwolić, by uronić choć jedno z jej słów. Usiadł przy niej na łóżku.

– Dziękuję – powiedziała. – Przykro mi, że zawiodłam. Szyc milczał. Brakowało mu słów.

– Mój świat się zawalił – powiedziała. – Nie mam siły dalej się bronić.

– Jak to? – zaprotestował szybko. – Właśnie teraz, kiedy dobrnęłaś tak daleko. A co z dzieckiem? Potrzebuje matki. Nie możesz zrezygnować w takiej chwili.

– Wiem – potwierdziła.

– Więc nie rezygnuj – prosił.

– To ponad moje siły. – Przymknęła powieki. Fioletowa żyła na szyi pulsowała miarowo. – Jestem coraz słabsza. Nie zobaczę chyba tego dziecka.

– Ależ zobaczysz, na pewno zobaczysz. Tylko musisz w to wierzyć, z całych sił.

– On nie może go zabrać – powiedziała twardo.

– Nie rozumiem.

– Jerzy. Nie wygram z nim. Zabierze to dziecko i skrzywdzi.

227

– Dlaczego miały skrzywdzić własne dziecko? – Szycowi wydawało się, że majaczy. Pomyślał, że Maria znowu traci przytomność.

– Potrafi być okrutny. – Ścisnęła go za rękę. – Ja nie zwariowałam – powiedziała, bo wyczuła w jego głosie wahanie.

– Dlaczego tak sądzisz? Czy skrzywdził już kogoś? – Patrzył w jej nieruchomą twarz i czekał w napięciu. – Czy skrzywdził ciebie?

Spod powiek zaczęły płynąć łzy. Próbowała je zdusić, lecz żal coraz większą falą ogarniał jej ciało. Zamknęła w sobie te słowa i na kilka miesięcy wymazała z pamięci. Teraz, w obliczu swojej słabości, postanowiła wyjawić. Bała się zrobić to wcześniej, bo nie wiedziała, komu je powierzyć. Nie miała już wyboru. Intuicyjnie czuła, że Szycowi może zaufać. To on spędził przy jej łóżku najwięcej godzin i poświęcił więcej, niż można było wymagać. Musiał być dobrym i wrażliwym człowiekiem.

– Czy on jest ojcem tego dziecka? – Szyc chciał poznać szczegóły i zrozumieć, o co chodzi.

Potwierdziła.

– Więc nie mogę nic zrobić. Dostanie to dziecko, bo ma do niego prawo.

– Nawet jeżeli jest draniem? – wykrztusiła.

– Nawet wtedy.

– Nawet kiedy ja się nie zgodzę?

– Jeżeli nie będziesz mogła się nim zająć, to Jerzy przejmie opiekę.

– Więc nie ma sposobu?

– W tej sytuacji trudno będzie cokolwiek udowodnić.

– A jeżeli są dowody?

– Za późno, sam nic nie załatwię.

Chciała mu odpowiedzieć, ale wzruszenie nie pozwoliło. Na czole pojawił się kroplisty pot, powrócił świszczący oddech.

Szyc przestraszył się nie na żarty. Maria zaczęła jęczeć. Rozmowa z nim zbyt ją wycieńczyła.

– Uspokój się, to tylko pogarsza sprawę. Musisz zachować siły.

228

Mimo poprzednich ustaleń, termin zabiegu został przesunięty na następny dzień.

Lekarze robili, co mogli, żeby uregulować ciśnienie. Zaaplikowali jej środki uspokajające i postanowili poczekać. Ryzykowali w każdym przypadku. Zarówno zwłoka, jak i pośpiech mogły okazać się fatalne.

Szyc postanowił odrobić straty i wrócił do pokoju, żeby się przespać. Ktoś szedł za nim po schodach. Obejrzał się i zobaczył Annę. Była zdenerwowana.

– Muszę z panem porozmawiać – oświadczyła. – To nie może czekać. – Włożyła rękę do torebki i wyjęła białą kopertę. Szyc wpuścił ją do pokoju. Usiedli. Położyła przed nim czarny kwadracik. – To jest właśnie powód mojej wizyty.

Brzeska stała przy oknie i patrzyła na podwórko przed blokiem. W strugach deszczu mokła pościel, której na czas nie zdjęła ze sznurka. Nic się jej ostatnio nie chciało. Mogła bez końca wpatrywać się w mętny krajobraz, który rozpościerał się przed jej oknami. Bloki stały na granicy miniaturowego osiedla prywatnych domków i starego osiedla mieszkaniowego, gdzie w ciasnych mieszkankach gnieździły się najlepsze uniwersyteckie mózgi. Kiedyś wybudowano to

osiedle dla młodych asystentów, a dziś ci sami, tylko sporo starsi, pędzili w nich skromny żywot, bez strajków i głódówek o prawa dla naukowej elity. Nigdy nie ziściło się jej marzenie, by przenieść się z tych betonowych ścian do jednego z małych domków, z własnym płotem, ze skrawkiem swojego trawnika i z psem na progu. Marzyła o tym jak pijak o kolejnym łyku wódki. Nie doczekała się. Za to los dał jej życie dostatnie i ustabilizowane u boku człowieka minimalisty, który ożenił się chyba tylko po to, by nie tracić czasu na sprawy zbyt przyjemne i mało ambitne. Czuła się oszukana i opuszczona. Krótkie chwile, które spędzała u boku męża, nie zaspokajały jej kobiecych potrzeb, ani uczuciowych, ani ambicjonalnych. Jego świat i jej to jak dwa okręty płynące każdy w innym kierunku i do innego portu.

Dopóki w jego życiu nie pojawiła się Maria Jaros, nie było

229

jeszcze tak źle. Julian miał dla żony więcej czasu, cierpliwości i troski. Wyjeżdżali razem za granicę, na wczasy, do rodziny. Dawali sobie namiastkę miłości małżeńskiej, nie tęskniąc do wielkich uniesień i wybujałych przeżyć. Później, gdy w instytucie pojawiła się ta smarkula, wszystko się zawaliło. Żona nie wystarczyła zapalonemu naukowcowi, potrzebna mu była kobieta intelektu. Wtedy wszystko się skończyło. On stał się gościem w domu, a jej rola spadła do funkcji służącej i tylko w tej postaci figurowała w rozkładzie dnia. Zawsze chciała się za to zemścić. Czuła z każdym dniem, że uczucia Juliana do Marii przechodziły metamorfozę, od pedagogicznych i opiekuńczych, do koleżeńskich, ojcowskich, aż do...? – tak to sobie wyobrażała.

Dobrze znała swojego męża, czuła, jak go stopniowo traci, i nie mogła nic poradzić. Julian cały swój czas poświęcał Marii. O niej bez przerwy mówił, ją wychwalał, rozmawiał całymi dniami, opowiadając, jaka jest bystra, inteligentna, jakim jest skarbem dla instytutu. Robił to bez wycucia. W okrutny sposób obchodził się z przewrażliwionym i zranionym sercem starzejacej się kobiety. A w tym zranionym sercu rosła zazdrość i wściekłość. Niesiona na falach gniewu, ciskana o twarde skały opuszczenia, modliła się w ciemnych krużgankach kościoła o śmierć, żarliwie i bezlitośnie. I udało się. Niestety, Bóg opacznie zrozumiał intencje.

Czas płynął teraz dużo wolniej. Na brzegu tego czasu pozostały wszystkie nadzieje i nieugaszone emocje. Serce, nieutulone smakiem zemsty, łomotało w piersi miarowo. Modliła się do swojego szatana o kolejne nieszczęście, choć czuła, że on zajęty własnymi sprawami, nie zwraca już na nią uwagi. Podróżując w czasie, jak archeolog odkrywała nowe dowody zdrady, popadała w przesadne rozgoryczenie i zajadłą wściekłość, przeciwko tej, która nie mogła się już obronić. Jak skarb tuliła do siebie kilka płyt kompaktowych opatrzonych pieczątką instytutu, nazwiskiem jej męża i Marii oraz tytułem:

„ARMENIA”.

XIV

Następnego dnia, dokładnie o godzinie czternastej dziesięć, pacjentka została przewieziona na salę operacyjną. Zespół lekarzy czekał w pogotowiu na wykonanie cięcia. Na korytarzu, skuleni, każdy w swoim kącie, czekali najbliżsi. Potencjał uczuć unoszący się dookoła elektryzował powietrze. Wszyscy próbowali opanować przyspieszone bicie serca i tłącą się nadzieję na szczęśliwy koniec udreki. Jerzy wymyty i gotowy na przyjęcie potomka czekał cierpliwie pod drzwiami, a Anna, spoglądająca na niego z ukosa, przeplatała ręce, szepcząc cicho słowa modlitwy. Szyc zawieruszył się gdzieś i nie można było go znaleźć. Korytarz zaległa całkowita cisza. Niewidzialne pole wielkiej energii, zgromadzone we wnętrzach ciał, wymknęło się ich woli i przenikało ściany.

Nieruchome ciało Marii, ułożone na stole, pod wielką lampą wiotczało i opadało w bezpieczną otchłań. Odpływało daleko w poczuciu bezsilności i powierzało siebie obcym. Przecudowne uczucie poruszania się w powietrzu opanowało słabo broniącą się świadomość i przeniosło ciało Marii daleko od zmartwień. Przed sobą miała przestrzeń, nie kończąca się i ciepłą jak poranek w pogodny dzień. Wyobraźnia pobudzona narkozą wywoływała szalone wizje. Ciepło otaczało ją zewsząd jak gęsta masa budyniowa. Powoli przesuwały się w głębokiej podświadomości twarze i sylwetki znajomych osób. Niektóre spoglądały i bez jednego słowa oddalały się w nieznane, inne zapraszały skinieniem ręki.

Uczucie błogości powoli mijało. Zrobiło się zimno i mokro. Rozległ się dziwny dźwięk, jakby ktoś wyrzucił rybę na suchy brzeg. Marię ogarnął strach. Poczowała, że jest pustajak opakowanie po drogich słodyczach, jak jajko z niespodzianką bez

niespo-

231

dzianki. Łapała rozpaczliwie powietrze, żeby zachować spokój, by nie płakać. Przez sen zrozumiała, co jej zrobili, co straciła i dlaczego tak musiało być. Dziecko przyszło na świat bez większych komplikacji. Wyjęto je kilkoma ruchami z ciepłego mieszkanka, z miłej, przytulnej cieczy na suchy i niebezpieczny świat. Przebyło granicę czasu bezboleśnie, nie oznajmiając tego swoim głosem. Zacięło się i milczało, choć było wiadomo, że teraz czas milczenia skończył się dla niego na zawsze. Wylądowało w chłodnym świecie ludzi i musiało sobie jakoś poradzić.

Miesiące niepewności ukoronowano sukcesem. Wszyscy patrzyli przez szybę na drobną istotkę, spokojnie leżącą w pieluszkach, i czuli ulgę. Oni też chętnie zrzucą z siebie ciężar odpowiedzialności, spoczywający na ich barkach od jakiegoś czasu. Dziecko urodziło się zdrowe. Czepiało się małymi rękami życia i dopominało nachalnie o jedzenie. Maria bardzo osłabiona nie karmiła. Nie miała pokarmu. Dziecko karmiono z butelki. Leżało w jednym pokoju z matką, duża szyba odgradzała je od ojca. Jerzy stał godzinami i patrzył. Uwierzył, że szczęście jeszcze raz uśmiechnęło się do niego. Szybko oswoił się z nową sytuacją, a czas oczekiwania na potomka podziałał na niego jak katharsis. Był pewien, że teraz wszystko jakoś się ułoży. Maria wydobrzeje, wróci z dzieckiem do domu, a on zaopiekuje się wtedy obojgiem. Już wiedział, jakie będzie jego nowe wyzwanie. Perspektywa misji podnosiła go na duchu. Jakże się cieszył, że nie dał za wygraną, że z uporem walczył o żonę i dziecko. To, że Maria w najbliższym czasie będzie od niego uzależniona, było mu nawet na rękę. W ten sposób udowodni, że zasłużył na jej wybaczenie. Wszystko dokładnie zaplanował. Za kilka tygodni do mieszkania na parterze wprowadzi się córka Anny z mężem. Zapewni Marii w ten sposób towarzystwo i opiekę popołudniami, gdy on będzie pracował. Czuł się całkiem bezkarny. Nie zdawał sobie sprawy, że jego szanse na zaufanie żony już dawno zostały pogrzebane. Jakimś cudem wmówił sobie, że ona o wszystkim zapomniała, a jeśli nawet nosi jeszcze w sercu żal, to i tak nie ma dla niej

232

innego wyjścia. Jest zbyt chora, by odejść, i zbyt dumna, żeby zwierzyć się komuś ze swoich problemów. Brzeski nie żyje, nie będzie jej buntował i łudził powrotem do pracy. Maria już nie musi pracować. Będzie wychowywać ich dziecko, a on zajmie się zarabianiem pieniędzy.

*

Następnego dnia całe szczęście prysło. Powróciły objawy sprzed porodu. Z samego rana Maria straciła przytomność. Znowu pojawiły się drgawki. Najpierw były to delikatne skurcze mięśni twarzy, gałek ocznych, a później objęły tułów i kończyny. Leżała wyprężona jak struna z powyginanymi palcami obu rąk i usztywnionymi nogami. Okresowo dochodziło do zatrzymania czynności oddechowej. Lekarze nie mieli wyboru. Trzeba ją było wprowadzić w oddychanie kontrolowane. Znowu poszły w ruch aparaty, rurki, wężyki, kroplówki. Podawano środki uspokajające. Pogarszał się jej ogólny stan. Nerki odmawiały posłuszeństwa, rosło ciśnienie i obawiano się najgorszego.

Apogeum rozpaczy nastąpiło, gdy Maria wpadła w śpiączkę. Znowu przy jej łóżku zebrali się wszyscy, prosząc o nadzieję.

Niestety, nic nie zapowiadało poprawy. Organizm wycieńczony i bezbronny poddawał się wyrokowi losu. Drgawki nie ustępowały. Zachodziły nieodwracalne zmiany, które wykluczały w pewnym stopniu szansę na całkowite odzyskanie zdrowia. Czynność serca na skutek zmian chemicznych wywołanych zaburzeniami stawała się niemiara. To zapowiadało kolejne komplikacje.

Całą dobę trwała walka o jej życie. Nad ranem, gdy wszyscy stracili nadzieję, Maria nagle ocknęła się ze śpiączki. Godzina po godzinie jej stan się poprawiał. Po południu wszystko ustąpiło. Lekarze myśleli, że to cud. Patrzyli na wrak człowieka, czepiający się rozpaczliwie życia, i nie mogli uwierzyć. Pytali sami siebie: Ile razy można rodzić się na nowo? Widać nie nadszedł dla niej odpowiedni czas i pozostało trochę do zrobienia. Najważniejsze, że miała przy sobie dziecko. Spoglądała wciąż w kierunku łóżeczka z nadzieją, że może nie będzie tak źle, że jakoś podoła. Maleństwo wciąż spało. Gdy najadło się do syta, odpływało do

233

krainy snów i nie dręczyło sobą otoczenia. Maria zastanawiała się, jakie będzie, gdy dorośnie? Chciałaby tego doczekać, lecz to, jak ułożą się sprawy, zależało

jedynie od zdrowia. Cud, że miała tyle wiary w swoje możliwości. Jeszcze kilka godzin wstecz dała za wygraną i odeszła bardzo daleko od swojego dziecka. Poddała się, próbowała uciec. Lecz już wie, że musi wytrwać, za wszelką cenę. Analizowała swoje życie. Przyglądała się mu ze wszystkich stron. Otepiąca środkami, co chwilę przysypiała i mieszała fakty z sennymi majakami. Radość, że jakoś przetrwała, dodawała jej wiary. Może to znak, że wszystko da się pokonać? Czuliła w sobie życie i czepiała się go z całą siłą. Próbowała ułożyć sobie jakiś plan i wierzyć w jego wykonanie. Powróciła do swojego dzieciństwa. Takie świeże były te wspomnienia, jakby nurzała się w nich przez cały czas. Analizowała siebie, gdy była dzieckiem, a potem, gdy dorastała. Jakie będzie jej dziecko, gdy dorośnie? Wspominała ten moment, gdy poczuła nieuchronny upływ czasu, i zaczęła myśleć inaczej. Ujrzała siebie stojącą pod ścianą na szkolnej zabawie. Uczucie pewności i beztroski charakterystycznej dla wieku młodzieńczego nagle minęło i musiała zdecydować się na którąś z dróg. Bo życie jest zbyt krótkie, by na nim przeprowadzać doświadczenia. Trzeba wybrać przetarty szlak, przetestowany przez innych.

Wybrała książki, a potem miłość. Ani jedno, ani drugie nie dało jej pełni szczęścia. Książek wciąż przybywało, trudno było ogarnąć je jednym umysłem, a miłość okazała się ślepą uliczką. Komu przydadzą się wiadomości zgromadzone w jej głowie. Olbrzymia wiedza zebrana przez lata ślęczenia nad książkami, tu była nieprzydatna. Tak wiele pragnęła.

Przebłąski świadomości, splątane z marzeniami, koily zmęczone ciało Marii. Zapadała się i budziła z uczuciem szczęścia. Kwilenie dziecka jak najcudowniejsza muzyka towarzyszyło jej w podróży. Cóż za ulga, gdy ma się za sobą taką długą drogę.

*

Sytuacja zmieniała się tak szybko, że Anna nie nadążała. Wpadała w zmienne nastroje w zależności od tego, co działo się dokoła. Rozglądała się niespokojnie i czekała na spotkanie z siostrą. W kącie

234

pod oknem stał Jerzy. Jakiż był zmieniony! Schudł i zszarzał. Kąciki wąskich ust opadły, a wielka bruzda na czole dodawała mu lat.

Nikt się nim nie zajmował. To go niepokoiło. Stał z boku jak persona non grata i czuł w powietrzu czający się spisek. Dlaczego, przecież wszystko jest w porządku, a on, po Marii i dziecku, jest tu najważniejszą osobą, więc skąd ta obojętność wobec niego? Wszyscy go unikali. Miał wrażenie, że jest tylko powietrzem albo kimś zupełnie przezroczystym. Maria go nie zauważała. Choć był tuż obok, traktowała go jak powietrze. Trwał i czekał, co się będzie działo. W południe zadzwonił do niego Szyc i zaprosił na ostatnie spotkanie. Jutro z samego rana wracał do Austrii. To miło z jego strony. Przynajmniej jedna osoba potrafiła docenić moją dobrą wolę, pocieszał się nieustannie.

Gdy wchodzili, Maria siedziała na łóżku podparta poduszkami. Ręce uwięzione w pajęczynie kroplówek leżały wzdłuż tułowia. Z obu stron szpitalnego łóżka zwiślały dreny i plastikowe pojemniki. Wyglądała jak pajak, który dał się złapać we własną sieć. Była bardzo blada. Głowa ciążyła jej i przeszkadzała w zachowaniu należytej godności i raz po raz wstrząsały nią dziwne dreszcze. Obok, w malutkim łóżeczku, leżało dziecko.

Szyc wszedł pierwszy. Miał przy sobie dokumenty. Po nim weszła Anna i Jerzy. Pielęgniarka poprawiła pościel i bezszelestnie wyszła z pokoju. Na świadka poproszono dyżurnego lekarza.

– Tu są dokumenty, o które pani prosiła. – Szyc zwrócił się oficjalnie do Marii. Rozłożył wszystko na pościeli i podał długopis. Maria uniosła rękę i powoli złożyła kilka podpisów. Potem podpisała się Anna, Szyc i lekarz. Jerzego pominięto.

– Wszystko zostało załatwione zgodnie z pani wola – kontynuował Szyc – a my jako świadkowie ręczymy za to, że przeprowadzono to zgodnie z prawem. – Podał rękę i uśmiechnął się, puszczając do niej oko.

To było wszystko. Stało się coś, o czym Jerzy nie wiedział. Patrzył zdziwiony na zebranych i czuł, że wystawiono go do wiatru.

Maria, choć bardzo słaba, próbowała włączyć się do rozmowy. Zwróciła się do siostry. Chciała jej tak dużo powiedzieć, lecz nie miała sił. Powiedziała tylko najważniejsze.

235

Cie, w J^ne Lżony. Tak

PS wtedy, pя

K oBcach zapal

,ło deszczem.

Knik-Wparl

I» al rzewną ir

. uwyaly sic

uwerturę. Sie

Szypceobejmow:

e przez chwilę tr pierzy Patrzy» Odleałość pomięd ^e kroki, pewi spostrzegł,

Postaw III. Delikatne drew

Maria umarła dziecko i porządi Nazajutrz wstał s chłodny powiew prawdziwie letni

W ręce ściskał k podróży. Jasne

Gdzieś wysoko

– Mógłbyr

IŃC na błękitne i

^^

– Anno, przepraszam cię za to, co muszę ci zrobić. Wiem, że nie jesteś już młoda, że nadszedł dla ciebie czas odpoczynku, ale ty jedna możesz wychować moje dziecko. Kochaj je tak samo, jak kochałaś własne dzieci – prosiła. – Zostawiam ci wszystko, co mam. Dziecku i tobie zapisuję pieniądze i cały majątek.–W oczach miała rezygnację. Słowa ledwo przechodziły jej przez gardło. – Myślałam, że dam radę. – Chciała się wytłumaczyć. – Ale nie mogę. Tak mi przykro. – Opadła na poduszki. Ból rozsadał jej głowę.

Anna zaciskała dłonie na oparciu krzesła. Nie wiedziała, co powiedzieć. Była szczęśliwa i przerażona. Czy potrafi dokończyć tę historię? Ludzie od pięknej książki oczekują wzruszającego zakończenia. Ale przecież to jest prawda, a prawda zawsze jest banalna. Z torebki wyjęła dyskietkę. Była to winna Marii. Podniosła ją do góry i zapytała:

– A co z tym zrobić? Maria wykrzywiła usta.

– Zrób z tym, co chcesz.

Jerzy był śmiertelnie blady. Jego piękna twarz zastygła w grymasie zdziwienia. Stał jak posąg i czekał, co będzie dalej. Świat, który zamykał się w tej sali, miał wymiar jakiegoś absurdu. On widział wszystkich, a jego nikt, jakby go tu wcale nie było. Uśmiechali się do siebie, rozmawiali, dziecko płakało, Maria tuliła je do siebie. Zakryła twarz kawałkiem kołdry i próbowała się śmiać. Patrzyła ze słodyczą na śpiące maleństwo, cmokające przez sen niewidzialną pierś, i wydawała się szczęśliwa. Cóż robi z tą miłością, którą była przepełniona, gdy jej ciało oddzielone od duszy połączy się na powrót z naturą? Może jak motyl będzie każdej wiosny fruwać nad łąkami, może ukryta w pyłkach kurzu wpadnie do czyjegoes domu, może co noc, razem z wdychanym powietrzem, tańczyć będzie w myślach jej dziecka taniec miłości.

*

Jerzy wyszedł, trzaskając drzwiami. Lekki mrok, który go otoczył, jak towarzysz niedoli pozwolił dać upust wściekłości. Działo się z nim coś straszego.

Wszystko, na czym budował

236

swoje życie, w jednej chwili legło w gruzach. A więc został wydziedziczony. Tak po prostu wyrzucony na bruk. Szedł przed siebie, jak wtedy, przed laty, lecz robił to wbrew własnej woli.

Na ulicach zapalały się latarnie. Ludzie snuli się leniwie, pachniało deszczem. Przed chwilą ostatnie krople spadły na spalony trawnik. W parku naprzeciw kościoła niewidomy skrzypek wygrywał rzewną melodię. Twarz miał skupioną, palce jak nakręcone uwijały się po wąskim gryfie, wydobywając coraz wyższe dźwięki. Galopowały szybko, jakby chciały oznajmić światu nową uwerturę. Ślepiec z przymkniętymi oczami poddawał się urokowi muzyki i jak natchniony kołysał na boki chudym ciałem. Skrzypce obejmował ostrożnie jak małe dziecko. Skończył. Jeszcze przez chwilę trzymał je w górze, a potem powoli położył na kocu. Jerzy patrzył obojętnie na nieruchomą postać. Zbliżał się. Odległość pomiędzy nimi malała. Wszedł na trawnik. Stawiał długie kroki, pewny siebie i zdesperowany. Zanim ktokolwiek spostrzegł, postawił swoją nogę na drewnianym pudle instrumentu. Delikatne drewno cicho westchnęło pod ciężarem buta.

*

Maria umarła tej samej nocy. Zostawiła po sobie testament, dziecko i porządek, a

w pamięci najbliższych swoją tajemnicę. Nazajutrz wstał słoneczny dzień. Wiał lekki wiatr i niósł ze sobą chłodny powiew czekającej za progiem jesieni. To był ostatni prawdziwie letni dzień. Szyc stał na schodach przed szpitalem. W ręce ścisnął kluczyki od samochodu i myślał o czekającej go podróży. Jasne powietrze poranka orzeźwiało zmęczone oczy. Gdzieś wysoko na niebie przeleciał sznur białych łabędzi.

– Mógłbym być ptakiem – powiedział do siebie, spoglądając na błękitne niebo.

<#D0& Drukarnia Narodowa S.A.

Kraków, ul. Marszałka J. Piłsudskiego 19 Drak z dostarczonych diapozytywów
Krystyna Januszewska (ur. 1953) z wykształcenia jest biologiem. Maluje, pisze. W 1998 roku zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie na pamiętniki Polek ogłoszonym przez „Twój Styl”. Jej opowiadanie ukazało się w zbiorze Historie prawdziwe wydany przez Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”. Przytulać kamienie zostało wyróżnione przez Zysk i S-ka Wydawnictwo w 2000 roku w konkursie na najlepszą powieść polską.